

# Od kobiety do kobiety



GIOVANNI GIACOMO CASANOVA

# Od kobiety do kobiety

WYJĄTKI ZE SŁYNNYCH PAMIĘTNIKÓW

TŁUM. CZESŁAW JANKOWSKI

Wybrał, ułożył i słowem wstępnym poprzedził Czesław Jankowski.

*J'ai toujours eu la faiblesse de composer les quatre-cinquième de mes jouissances de la somme de celle que je procurais à l'être charmant qui me les fournissait.*<sup>1</sup>

Casanova, *Memoires I*, 12.

## WSTĘP

Jest w mowie francuskiej wyraz brzmiący *aventurier*, lecz bardzo daleki od dawnego polskiego przekładu: awanturnik.

Polski „awanturnik” nasuwa wyobraźni naszej człowieka wyprawiającego mniej lub więcej szalone brewerie<sup>2</sup>. Francuski *aventurier*, włoski *aventuriere*, niemiecki *Abenteurer* nie wyprawia bynajmniej, niejako zawodowo, awantur; nie jest bynajmniej urodzonym zabijaką, kłótnikiem, hałaburdą. „Awanturnik” w rozumieniu zachodnioeuropejskim nie wyprawia awantur, lecz tylko szuka nadzwyczajnych przygód, hazardów i przypadków osobliwych; nie wszczyna bynajmniej burd, lecz łaknie życia awanturniczego, prowadzi życie awanturnicze, jest, wyrazić się wolno, typowym „błędym rycerzem”, aczkolwiek nie żadnym w guście Donkiszota szermierzem cnoty. Pasję ma zaplątywania się w niepospolite przygody dlatego, aby... wydostawać się z nich bez szwanku. Życie uprawia pełne zmian i wydarzeń, jak sztukę dla sztuki. Nie potrafiłby żyć inaczej... Wciąż też „zmienia miejsca, widoki”; wciąż podróżuje; nienasycony z niego globtroter. Stałego miejsca pobytu nie ma i ani mu się śni zatęsknić kiedy do „własnego domu”. Człoby się „u siebie” jak w więzieniu. Stałych też środków do życia nie posiada; żyje z dnia na dzień; to na wozie, to pod wozem. Nie gardzi wszelką następczą mu się „dobrą aferą” i uważa za całkiem zbyt cenne skrupulatne badanie jej wartości moralnej. Przepadając za każdym hazardem, jest oczywiście namiętym graczem — a szczęśliwym. Niedalekim jest krewnym po duchu włoskich kondotierów<sup>3</sup> i francuskich korsarzy<sup>4</sup>, zwanych flibustierami. Cygan — zawsze; a gdy pole po temu — zawołany szarlatan.

Poprzedza go zazwyczaj rozgłos; otacza tajemniczy urok.

Zwłaszcza wiek XVIII obfitował w tego pokroju „awanturników”. Takim był przede wszystkim słynny paryski hrabia de Saint-Germain<sup>5</sup>, który uniósł do grobu tajemnicę i swego pochodzenia, i swej olbrzymiej fortuny; takim był Cagliostro<sup>6</sup>, którego generał

<sup>1</sup>*J'ai toujours eu la faiblesse...* (fr.) — Zawsze miałem słabość do komponowania czterech piątych mojej radości z sumy szczęścia, jakie dałem uroczej istocie, od której je czerpałem. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>*brewerie* — awantury, kłótnie. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>*kondotier* — dowódca oddziałów wojsk najemnych we Włoszech w XIV–XVI w. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>*korsarz* — kapitan prywatnego okrętu, który na podstawie pisemnego upoważnienia władcy lub miasta zwalcza statki nieprzyjacielskie, a jego wynagrodzenie stanowią zdobyte na przeciwniku łupy; w przeciwieństwie do pirata korsarz prowadził legalną działalność, usankcjonowaną prawnie. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>*hrabia de Saint-Germain* (zm. 1784) — europejski poszukiwacz przygód, alchemik, artysta; osiągnął rozgłos w wyższych sferach połowy XVIII w.; jego pochodzenie i prawdziwa tożsamość są nieznane. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>*Cagliostro, Alessandro di*, właśc. *Giuseppe Balsamo* (1743–1795) — włoski awanturnik, alchemik, samozwańczy magik, zasłynął na wielu królewskich dworach Europy, gdzie uprawiał różne sztuki okultystyczne. [przypis edytorski]

Dąbrowski, zdobywszy szturmem San Leo, nie zdążył wyzwolić z oków Inkwizycji rzymskiej; takim był do znacznego stopnia kawaler d'Eon<sup>7</sup>, słynniejszy z intrygi i mistyfikacji niż z roli swej politycznej. Takim wreszcie był, najslynniejszy może z nich wszystkich i najpopularniejszy do dziś dnia w pamięci ludzkiej: Jan Jakub Casanova de Seingalt.

\*

Na wstępie do swych pamiętników wywodzi imćpan Giovanni Giacomo vel Jacopo ród swój niemal od Adama i Ewy. Fanfaronskie<sup>8</sup> to dygresje w najczystszy styl XVIII stulecia. Sam sobie arystokratyczne „de Seingalt” przydał do nazwiska bardzo nawet wątpliwie szlacheckiego. Faktem jest to tylko, że Casanovowie pochodzą z Hiszpanii, że sporo ich jest do dziś dnia na Półwyspie Iberyjskim, tudzież we Włoszech, dokąd się chętnie przesiedlali.

Giovanni Giacomo ujrzał światło dzienne w Wenecji z kwietnia roku 1725. Ojciec jego był miernym aktorem, matka cudnej piękności szewcówną, nazwiskiem Farusi. Też występowała na scenie; złośliwi twierdzili, że „na scenie ją pokazywano”, gdyż talentu aktorskiego nie posiadała wcale. Jeszcze złośliwi zaklinali się, że drugi jej syn Franciszek, późniejszy, wcale nawet słynny malarz-batalista, miał za ojca samego króla angielskiego Jerzego I. Mniejsza jednak o Franciszka Casanovę; wystarczy przypomnieć, że zarabiał krocie, że sywał złoto garściami i że jest twórcą wcale nie pospolitego *Zdobycia Oczakowa*.

Jan Jakub piękny nie był. Postawę miał jednak okazałą, oczy pełne wyrazu, doskonale manieri, wytworną ogładę towarzyską, łatwość i zręczność w obcowaniu z ludźmi i dar jednania ich sobie. Umysł posiadał niezmiernie lotny i bystry, świetną pamięć, żywą wyobraźnię, zdolności wcale nie przeciętne, a wykształcenie ogólne bardzo nawet szerokie. Casanova może służyć za wzór... dyletanta najwyższej rangi. Już w piętnastym roku życia potrafił wyborną łaciną skreślić rozprawę jurydyczną<sup>9</sup> o... testamentach! Kolejno: ksiądz, żołnierz, historyk, antykwariusz, publicysta, poeta, skrzypek, chemik, magik, przedsiębiorca, dyplomata... byłby niewątpliwie zaszedł daleko w którejkolwiek z tych licznych specjalności, gdyby nie rządził się przez życie całe — fantazją. Poświęciłby zbawienie wiekuiste dla dogodzenia chwilowemu kaprysowi, naglej zachciance. Życie jego to najciekawsza powieść, to jeden nieprzerwany romans...<sup>10</sup>

Wydalony z seminarium weneckiego za okazywanie zbytnej galanterii wobec płci pięknej, faworyzowany jednak przez patriarchę i bywalec najwykwintniejszych pałaców, wykreślił się od grożącego mu więzienia i puścił się aż do Rzymu w pogoni za karierą kapłańską. Przy boku kardynała Aquavivy, w łaskach u papieża Benedykta XIV miał istotnie otwartą drogę do nie lada stanowisk i zaszczytów, lecz łaska papieska ulotniła się rychło na przysłowiowym pstrym koniu i Casanova, zrzuciwszy sutannę, wstąpił do wojska weneckiego, stojącego załogą na wyspie Korfu. Wśród kosterów<sup>11</sup> i opojów zgrywa się do nitki, zastawia klejnoty i po drodze do Konstantynopola, zaznawszy przygód niemało z wędrownymi aktorkami, dostaje się w niewolę wojsk hiszpańskich; ucieka; dociera szczęśliwie nad Bosfor, zaznajamia się tam z hrabią Bonnevałem, słynnym awanturnikiem, wówczas (1743) istotnie już sturczonym, a urażony jakąś „niesprawiedliwością” służbową, rzuca mundur do licha. Dla chleba przyjmuje w Wenecji skromne stanowisko skrzypka w orkiestrze teatralnej, lecz ślepy traf daje mu w rękę nie lada atut życiowy. Senator Bragadino, zaleczany na śmierć przez największe powagi medyczne, jest umierający; Casanova wyrzuca odważnie za okno wszystkie lekarstwa i przywraca senatora do życia. Wdzięczny pacjent osypuje go złotem, które Casanova trwoni na skandalicznych hulankach, dokazując jak szalony. Pozwany przed trzy naraz trybunały, ucieka, napelniając kolejno rozgłosem swych przygód Weronę, Mediolan, Mantuę, Ferrarę, Bolonię.

<sup>7</sup>*d'Eon de Beaumont, Charles*, znany jako *kawaler d'Eon* lub *panna d'Eon* (1728–1810) — francuski dyplomata, szpieg i żołnierz; walczył w wojnie siedmioletniej, szpiegował na rzecz Francji podczas pobytu w Rosji i Anglii; zasłynął z noszenia damskich sukien i podawania się za kobietę. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>*fanfaron* — osoba zarozumiała, pyszałek, chwaliپیeta. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>*jurydyczny* — prawniczy, dotyczący prawoznawstwa. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>*Życie jego to najciekawsza powieść, to jeden nieprzerwany romans...* — dobrych i szczegółowych życiorysów Jana Jakuba Casanovy jest niemało. Tam też, kto ciekawy, znajdzie to wszystko, czego niniejszy najtreściwszy zarys zawierać nie może, więc np. w biografii *Jakub Casanova* napisanej po niemiecku przez Ottmanna (Stuttgart, 1900) lub w paryskiej monografii Samarana (1913). [przypis tłumacza]

<sup>11</sup>*kostera* (daw.) — gracz w kości, hazardzista. [przypis edytorski]

W Parmie ma za towarzyszkę jakąś wysoce tajemniczą i romantyczną młodą Francuzkę, z którą rozstaje się z okropnym skandalem w Genewie i wraca do Wenecji.

Próbuje utrzymać się z gry w karty; jeździ dwakroć do Paryża; sądy weneckie niasiadają nań ostro i z wyroku państwowej inkwizycji wtrącony zostaje do straszliwego więzienia, zwanego *I Piombi* („Ołowie”), znajdującego się, jak wiadomo, bezpośrednio pod pokrytym ołowianymi blachami dachem Pałacu Dożów. Z tragicznej tej awantury wybawia Casanovę iście genialna przytomność umysłu, połączona z żelazną energią, bajeczną wytrwałością i nietuzinkową odwagą. Udaje mu się zbiec!... W lat trzydzieści parę po tej przygodzie sam Casanova opisał ją po francusku w wydanej w Lipsku w 1788 *Histoire de ma fuite des prisons dela République de Venise* i książka, rozchwytywana i pochłaniana przez setki ludzi, obiegrała świat, jedając autorowi-bohaterowi rozgłos nadzwyczajny.

Uciekinier wenecki oparł się w Paryżu. Jego niewyczerpany humor, łatwość i układność towarzyska, jego iskrząca się inteligencja dały mu dostęp do najwytworniejszych środowisk wielkoświatowych. Obcuje z marszałkiem de Richelieu, z Crebillonem, z Fontenellem, z Janem Jakubem Rousseau<sup>12</sup>. Zabobonna księżna de Chartres wtajemnicza w praktyki kabalistyczne; de Bernis, piastujący wówczas tekę ministra spraw wewnętrznych, wielki pan w każdym calu, mąż stanu wytrawny i w szerokich lubujący się widnokręgach, natomiast poeta nieznośnie wymuskany, słodki i bagatelny, upatrzywszy w Casanovie nadzwyczajne uzdolnienie do spraw finansowych, polecił go Choiseulowi jako wynalazcę niezmiernie pomysłowej... loterii. Loteria ta była dla Casanovy istną złotą żyłą, przynoszącą mu z kilku kolekt, oddanych mu na wyłączną eksploatację, krociowe dochody. W misjach sekretnych, politycznych i finansowych posyła go Choiseul<sup>13</sup> to do Dunkierki, to do Amsterdamu, to w inną jaką stronę, a każda taka ekspedycja przynosi mu sumy, rzec wolno, bajońskie. Toteż żyje w Paryżu na stopie okazałej, we własnym pałacyku, pełnym służby, trzymając na stajni przepyszne konie cugowe. Cały ten jednak splendor, jak zajaśniał nagle z poniedziałku na wtorek, tak też rozwiewa się — jak sen jaki złoty. Moźni protektorowie przestają troszczyć się o Casanovę, który przerzuca się do... fabrykacji wzorzystych tkanin jedwabnych. Nie wie mu się. Wpada w szalone deficyty, zwalają się nań procesy, szarpany jest na wsze strony. Słowem: fiasko i pech na całej linii. Na domiar niepowodzenia, wzięty zostaje pod klucz i tylko osobliwa przychylność margrabin d'Urfe więzienne przed nim otwiera podwoje. Rozgoryczony i rozżalony opuszcza w 1709 r. Paryż, unosząc jednak z sobą do dyskontowania weksli Choiseula na sto tysięcy franków i tyleż w klejnotach. Jedzie do Hagi; tam pożyczka nie udaje się; spiesz się do Kolonii, gdzie go elektor przyjmuje łaskawie; z Kolonii udaje się do Stuttgartu, skąd, wdawszy się w pewną skandaliczną aferę, zmuszony jest uciekać i dopada Zurychu, postanawiając święcie — wstąpić do klasztoru.

Nowa przygoda miłosna udaremnia świętobliwy zamiar. Niedoszły mnich, popasawszy<sup>14</sup> krótko w Solurze u ambasadora Francji pana de Chavigny, podąża rzemiennym dyszlem przez Bazyleę, Berno, Lozannę do Genewy. Po drodze zawiązuje długotrwały w następstwie stosunek i przyjaźń ze znakomitym uczonym-fizjologiem Hallerem<sup>15</sup>. Z Genewy odwiedza wielokrotnie rezydującego w Verney Woltera<sup>16</sup>; rozmowy z nim skrętnie spisuje i da ich bardzo ciekawe streszczenie w *Pamiętnikach* swoich. Jest w Saubaudii, w Grenobli, w Awinionie. Intrygi miłosne zatrzymują go przez czas dłuższy w Aix, skąd *via*<sup>17</sup> Nizza<sup>18</sup>, Genua (gdzie grają jego przekład jednej ze sztuk Woltera) udaje się do

<sup>12</sup> marszałek de Richelieu, Crebillon, Fontenelle, Jan Jakub Rousseau — wybitne postacie życia Francji XVIII w.: Louis François Armand du Plessis, książę de Richelieu (1696–1788): arystokrata, żołnierz i dyplomata; Prosper Jolyot de Crébillon (1674–1762): poeta i dramaturg; Bernard Le Bouyer de Fontenelle (1657–1757): filozof, religioznawca, pisarz; Jean-Jacques Rousseau (1712–1778): pisarz, filozof. [przypis edytorski]

<sup>13</sup> Choiseul, Etienne François de (1719–1789) — minister spraw zagranicznych króla Francji Ludwika XV. [przypis edytorski]

<sup>14</sup> popasać — robić postój w podróży, szczególnie konno. [przypis edytorski]

<sup>15</sup> zawiązuje długotrwały w następstwie stosunek i przyjaźń ze znakomitym uczonym-fizjologiem Hallerem — do dziś dnia na zamku Dux, gdzie Casanova życie zakończył, leżą nietknięte stosy listów pisanych do niego przez mnóstwo ludzi z różnych stron świata. Domniemanie są tam i listy Hallera, poczytywane za zaginione. [przypis tłumacza]

<sup>16</sup> Wolter a. Voltaire, właśc. François-Marie Arouet (1694–1778) — czołowy francuski pisarz, filozof i publicysta epoki oświecenia, znany z walki o wolność słowa i wyznania. [przypis edytorski]

<sup>17</sup> *via* (łac.) — przez, poprzez. [przypis edytorski]

<sup>18</sup> Nizza (wł.) — Nicea, miasto nad brzegiem M. Śródziemnego (Riwiera francuska). [przypis edytorski]

Rzymu i Neapolu — na krótko. Zamierzał na czas dłuższy osiąść we Florencji; wygnano go na rozkaz wielkiego księcia... Próbował wędrowny swój namiot rozbić w Modenie; władze miejscowe i stamtąd go wydalily, nie bacząc na jego zażyłość z samym Suworowem. Tedy<sup>19</sup> przez Turyn wraca do Paryża. Pojedynek zmusza go opuścić stolicę i przez czas niejaki mieszka w Augsburgu. W 1761 znowu jest w Paryżu, a rychło potem w Metz, znowu jako konfident i doradca zwiariowanej, niezmiernie bogatej pani d'Urfe, wierzącej święcie, że Casanova... odmłodzi ją w postaci cudnego pacholecia. Widać stąd, jak dalece bohater słynnych *Pamiętników* mało był skrupulatny w używaniu i nadużywaniu szarlatanerii, a nawet ordynarnego oszustwa, gdy chodziło o zdobycie dla siebie dobrobytu — po linii najmniejszego oporu.

Zaledwie jednak oskubał co się zowie sfiksowaną wielką damę, puszcza się, szukając nowych przygód, morzem z Marsylii do Anglii i w Londynie prezentowany jest królowi Jerzemu III. Ma przed sobą otwartą drogę do szczytów i nie lada stanowiska, wiedzie jednak życie tak lekkomyślne, tak hulaszczcze, tak nad wszelki wyraz romansowe i romantyczne, a tak rozrzutne, że zaplątany w brzydką sprawę ze sfalszowanym (nie przez niego!) wekslem, uważa za roztropne ulotnić się nie tylko z Londynu, lecz w ogóle z Anglii. Na kontynencie spotyka się w Tournai z hrabią de Saint-Germain, czyniącym tam praktyki i eksperymenty alchemiczne w przebraniu czarnoksiężnika, z brodą czarną po pas i laszczką z kości słoniowej w ręku. Mag nad magami zmienia mu sam, osobiście miedziaka w dukata i — o ile wnosić wolno — wtajemnicza go w niektóre magii swej arkana. W Brunszwiku ratuje Casanovę ze srogiej finansowej opresji... królewicz pruski, a w Berlinie do tego stopnia znajduje w nim upodobanie Fryderyk II, że proponuje mu stanowisko... dyrektora w jednej ze szkół kadeckich. Ale gdzieżby kto przykuł do miejsca Ahaswera<sup>20</sup>! Niespokojny duch Casanovy unosi go wciąż dalej i dalej... Przerzuca się do Rosji i zaopatrzony w listy polecające ryzykiego Birona znajduje w Petersburgu dostęp do imperatorowej Katarzyny Wielkiej. Lecz nadnewskie „nuda, chłód i granity” uroku dlań nie miały. Wabiła go Warszawa. Streścimy obszerniej opis pobytu Casanovy w stolicy Stanisława Augusta, tu przeto wystarczy tylko nadmienić, że ostry pojedynek z potężnym hetmanem polnym koronnym Branickim zmusza Casanovę opuścić na rozkaz królewski Warszawę.

Z Warszawy udaje się do Drezna, z Drezna do Wiednia. Nad pięknym, modrym Dunajem obdarza go wyjątkową sympatią słynny już na świat cały Metastasio, poeta i dramaturg, autor *Dydony opuszczonej*, wielki faworyt cesarzowej Marii Teresy; zaprzyjaźnia się też z Casanową znakomity La Peyrouse, francuski naturalista. Nie przeszkadza to atoli<sup>21</sup> bynajmniej nieuleczalnemu amatorowi najwyszukańszych przygód ściągnąć na siebie niezadowolenia policji wiedeńskiej, która go z miasta wydalila. Powtórny pobyt w Paryżu nie udał się, jak pierwszy. Musiał raz jeszcze zmykać. W Madrycie, dokąd się schronił, przyjęto go w wielkim świetle z honorami, na jakie liczyć mógł protegowany ministra, hrabiego d'Arandy. Niestety, natura wilka znów pognała do lasu. Dwie, trzy przygody miłosne, owiane niedającym się zatamować skandalem, zaprowadziły ich bohatera do więzienia. Wypuszczony zeń, po to tylko przyjechał do Barcelony, aby w tamtejszej cytadeli odsiedzieć równo dni czterdzieści trzy, podczas których zdążył napisać rozprawę krytyczną o *Dziejach Wenecji* Amelota de la Houssaye. Pod koniec roku 1768 zawiera w Aix znajomość z Cagliostro, zaś w Rzymie spotyka się z przyjacielem swoim de Bernisem, ambasadującym hucznie i buńczucznie w purpurze kardynalskiej.

Widzimy potem Casanovę to w Neapolu, to w Bolonii, to w Ankonie, to w Trieście, pogodzonego z rządem weneckim i oddającego — podobno — swej ojczyźnie różne usługi dyplomatyczne. O tych politycznych usługach i zasługach Casanovy różnie mówią jego biografowie. Przypuśćmy, że istotnie Rzeczpospolita Wenecka korzystała z usług tak zręcznego i tak ustosunkowanego agenta, jakim mógł być Casanova. Rzeczą jest niewątpliwą, że opłacany był dobrze, mogąc na taką żyć stopę i na takie pozwalać sobie wydatki, wręcz rozrzutności, jak w Neapolu, w Ankonie, w Bolonii lub w Trieście. Latka zaś bie-gły...

<sup>19</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

<sup>20</sup>Ahaswer — Żyd Wieczny Tulacz, bohater legendy popularnej w Europie szczególnie w XVII–XIX w.; znany pod różnymi imionami m.in. Ahaszwerosz, Johannes Buttadeus, Isaac Laquedem. [przypis edytorski]

<sup>21</sup>atoli (daw.) — jednak. [przypis edytorski]

To, co wiemy o pobycie Casanovy w Paryżu w roku 1783, nie świadczy bynajmniej jeszcze o „zmierzchu” 58-letniego światowca, przywykłego tak nałogowo do zdobywania serc niewieścich, jak kto inny do palenia lub do kawy czarnej, lecz spoza wiecznej fety tego jedyne w swoim rodzaju żywota poczyna wyzierać cicha, wierna towarzyska starości: melancholia. We dwa lata potem francuski ambasador w Wenecji zaznajamia Casanowę z wnukiem księcia de Ligne, nieskończenie bogatym hrabią Waldsteinem, posiadającym między innymi rozległe dobra w Czechach. Hrabia, zachwycony Casanową, ofiarował mu posadę bibliotekarza w jednych ze swoich czeskich dóbr, mianowicie na zamku Dux<sup>22</sup>. Że Casanova zgodził się zagrzebać w zapadłym bądź co bądź kącie, na wsi, prawie na bezludziu, przypisać to należy istotnemu znużeniu, które i nad jego temperamentem, i naturą brać zaczęło górę.

W Dux zabrał się do spisywania głośnych w następstwie na świat cały *Pamiętników*, które atoli doprowadził tylko do roku 1774. W Dux też, coraz bardziej zapadając na zdrowiu i na humorze, cierpiąc srodze z racji pewnej, bądź co bądź służebnej od hrabiego zależności, zgorzkniały i przeczulony — życie zakończył. Jedni powiadają: w 1799, drudzy podają datę 4 czerwca 1798, jeszcze inni utrzymują, że Casanowę śmierć zaskoczyła nagle w Wiedniu, dokąd był się z Dux wybrał na krótkie odwiedzin w roku 1803.

Oprócz wspomnianego wyżej opisu ucieczki z więzienia weneckiego oraz rozprawy *De testamentis* napisał Casanova i drukiem ogłosił niejedną pracę z zakresu historii, krajoznawstwa, filozofii i etyki. Sporą zwłaszcza dozą zdrowego rozsądku i bynajmniej nie banalnych i powierzchownych zapatrywań wyróżnia się rzecz o lichwie, dedykowana cesarzowi Józefowi II; w innym *essai*, niewydanym dotychczas, traktuje Casanova kolejno o niewolnictwie, bogactwie, karze śmierci, władzy monarszej, chemii, matematyce, o ateizmie, astronomii, malarstwie, teozofii, budownictwie, językach starożytnych etc. etc. Dla nas oczywiście najciekawsze jest ogłoszone w 1774 roku studium o wypadkach zaszłych w Polsce: *Istoria delle turbulenze della Polonia dalle morte di Elisabeth Petrouna fino alia pace fra la Russia e la Porta Ottomana*.

Ale przetrwał Casanova w pamięci ludzkiej do dnia dzisiejszego i rozgłos zyskał wszechświatowy tylko i jedynie jako autor *Pamiętników*. Są też one istotnie urągającym czasowi monumentem wysokiej wartości obyczajowej i psychologicznej. Pisał je, jak się rzekło, sześćdziesięcioletni Casanova w Dux, w dalekim od świata, ustronnym *tusculum*<sup>23</sup>, w malowniczych okolicach czeskich Cieplic (Teplitz) nie w rodzinnym języku swoim włoskim, lecz po francusku, popełniając niejedną italianizm, niejedną latynizm, a nawet ordynarny błąd gramatyczny. Styl tylko pozostał dziełem istotnego, niepowszedniego talentu pisarskiego. Casanovy *Dzieje mojego życia (Histoire de ma vie)* ukazały się w druku dopiero w lat wiele po śmierci ich autora. Zaczęła je drukować w oryginale jedna z największych firm wydawniczych świata, F. A. Brockhousa w Lipsku, w roku 1826; ukończyła druk ostatniego, dwunastego tomu w r. 1838.

Od tej daty szło w świat *Pamiętników* Casanovy wydanie za wydaniem. Tłumaczono je, jeżeli nie od deski do deski, to w obszernych wyciągach we wszystkich cywilizowanych krajach. Tylko nie u nas, w Polsce. Pełnego przekładu rozgłośnych „memuarów” piśmiennictwo nasze nie posiada; nie istnieje też ścisły lub streszczony przekład polski poszczególnych rozdziałów.

\*

Ostatnimi czasy obiegał świat efektowny film kinematograficzny, będący transpozycją w czasy teraźniejsze wirtuozowskich przygód miłosnych Casanovy. Mniejsza o mniej lub więcej szczęśliwą pomysłowość układaczy i reżyserów filmu; chodzi o to, że *stosując się do utartych wyobrażeń*, zwano w anonsach reklamowych filmu, a we wszystkich językach świata Jana Jakuba Casanowę de Seingalt „królem donżuanów<sup>24</sup>”.

<sup>22</sup>Dux (niem.) — ob. *Duchcov*, miasteczko w pln.-zach. Czechach. [przypis edytorski]

<sup>23</sup>Tusculum — dawna miejscowość w Italii (5 km od Rzymu), dokąd wyjechał ze stolicy staroż. pisarz i filozof Ciceron i żyjąc samotnie w swojej posiadłości, pisał traktaty filozoficzne, m.in. *Rozmowy tuskulańskie*; tu przen.: ustronie, zaciszę z dala od świata i towarzystwa. [przypis edytorski]

<sup>24</sup>donżuan — uwodziciel, bałamut; od imienia Don Juana, legendarnego uwodziciela, XVI-wiecznego szlachcica hiszpańskiego, bohatera wielu dzieł literackich i muzycznych (m.in. Moliera, Mozarta, Byrona). [przypis edytorski]

Nic bardziej opaczego być nie może!

Nieśmiertelny bohater opery Mozarta i poematu Byrona ma to tylko wspólnego z autorem nieśmiertelnych pamiętników, że zarówno jednemu, jak drugiemu ulegała dosłownie każda kobieta, po którą spodobało mu się sięgnąć. Ma jeszcze to wspólnego jeden i drugi, że obaj byli, jak wyrażano się w Polsce przed wiekami, wielce płci niewieściej ciekawi, czyli wyrażając się najprościej, że obaj nad wszystko lubili kobiety.

Na tym się jednak kończy erotyczna analogia, ustępując miejsca bardzo, ale to bardzo wyraźnej antytezie.

Pierwowzór wszystkich w następstwie donżuanów świata, Don Juan Tenorio, nie tylko był *par excellence*<sup>25</sup>, lecz, wyrazić się wolno, był jedynie: zdobywcą. Prawy donżuan zdobywa kobietę, łamiąc opór jej z niewzruszoną bezwzględnością, często gęsto pastwi się nad swą ofiarą i porzuca ją, sięgając po następną. Chodzi mu nie tyle o nasycenie swego pożądania, ile o tryumf, o nasycenie bezgranicznej miłości własnej. Chodzi mu równoległe o możliwie największą liczbę tych, które padły mu w objęcia, mniejsza, czy oszołomione jego brawurowym atakiem, czy ujęte w sidła wyrafinowanej strategii, czy zmożone własnej krwi rozszaleniem się nagłym... mniejsza! Byłe posiąść!

Od pani w królewskiej purpurze,  
Kończąc na rybackiej córce,  
Uwodną siecią serdeczną  
Całą drabinę społeczną  
Przeszedłem. To nie są baśnie!<sup>26</sup>

powiada bohater fantastycznego dramatu Zorilli; a gdy jego współzawodnik Don Luis zwraca uwagę na brak w tej ogromnej liście konkiet<sup>27</sup>... nowicjuszek klasztornej, dotknięty w ambicji swej Don Juan ofiaruje się chępliwie dorzucić... gotującą się do ślubu narzeczoną przyjaciela! Byłe uwiedzionych była liczba nieprześcignięta przez nikogo! Wprost bajeczna! W słynnej arii *Madamina* da Leporello u Mozarta przepysznie złośliwy wyraz tej ambicji typowo donżuańskiej.

Donżuan pławi się z lubością nie tylko w tkliwych spojrzeniach, lecz i we łzach niewieścich. Donżuanem utarło się nazywać powszechnie wytrawnego, wykwalifikowanego, niejako zdobywcę serc: *le séducteur émérite*, wyraziłby się Francuz. Donżuan rzuca złoto, jeżeli nie garściami, to z gestem wielkopańskim, nosi wysoko głowę i do brylowania jak stworzony; epikurejczyk<sup>28</sup> i sceptyk do szpiku kości, kpi sobie z Pana Boga i diabła, uwodzając kobiety na prawo i na lewo, mordując ojców, mężów, braci, a wszystko bez cienia wyrzutów sumienia. Kobiety, odzyskawszy przytomność i równowagę, lżą i przeklinają donżuana. Wspomnienia o nim trapią je jak zmora. Desperują, że go na drodze swej spotkały... A on nic sobie z tego nie robi. Nasycił się i rekord zdobył. Niczego mu więcej do szczęścia nie trzeba.

Typem wręcz odmiennym jest Casanova. Jeżeli Don Juan ma wszelkie prawo do nazwy doskonałego uwodziciela, *parfait séducteur*, to Casanova natomiast jest doskonałym kochankiem, *l'amant parfait*.

Dla donżuana rzeczą jest główną, ba, jedyną: zdobycie kobiety. Dla Casanovy, i każdego posiadającego w mniejszym lub większym stopniu jego organizację duchowo-fizjologiczną, ma wartość bezcenną cały przebieg miłosnej przygody, choćby miała mu zgotować nie same tylko rozkosze i upojenia. Casanova sam kocha; Casanova samego siebie oddaje kobiecie ukochanej; Casanova dba w równej mierze o danie jej maksimum szczęścia, jak o zadowolenie własne; Casanova spleta i rozplata wiecznie nowy marywodaż<sup>29</sup> erotyczny, z upodobaniem, z pasją, z lubością, z maestrią wirtuoza, egzekwującego na koncercie najtrudniejszą i najświetniejszą zarazem kompozycję muzyczną.

<sup>25</sup>*par excellence* (fr.) — w całym tego słowa znaczeniu; w najwyższym stopniu. [przypis edytorski]

<sup>26</sup>*Od pani w królewskiej purpurze...* — przekład A. Langego [sztuki *Don Juan Tenorio* (1844), hiszpańskiego dramaturga Joségo Zorrilli; red. WL]. [przypis tłumacza]

<sup>27</sup>*konkieta* (daw., z fr. *conquête*: zdobycie, zdobycz) — podbój miłosny. [przypis edytorski]

<sup>28</sup>*epikurejczyk* — zwolennik filozofii Epikura (IV w. p.n.e.), dla którego najważniejsze jest szczęście upatrywane w dążeniu do przyjemności, korzystaniu z życia. [przypis edytorski]

<sup>29</sup>*marywodaż* — *marivaudage*, miłosna intryga przekomarzania się kochanków, flirt w stylu wyszukany i przesadny jednego z koryfeuszów teatru francuskiego z XVIII wieku, Piotra Marivaux. [przypis tłumacza]

On też, podobnie jak donżuan, wciąż i nieustannie przez życie całe ma do czynienia z kobietami. Czy tylko dla kolekcjonowania i kompletowania trofeów? Nie! Casanova tak żyć nie może bez stosunku miłosnego z kobietą, jak — wybaczyć proszę trywialne porównanie — jak palacz nałogowy bez papierosa lub cygara. Dnia nie przeżyłby bez kobiety. Casanova nie goni za coraz nową *liaison dangereuse*<sup>30</sup>; ona się sama mu nawija, jakby całkiem naturalnym rzeczy składem. Magnes po drodze wszystką stal przyciąga, zagarnia. Stu ludzi, zaaferyowanych lub niewrażliwych, przejdzie mimo najpiękniejszej, najciekawszej kobiety... Zatrzyma się jeden tylko: Casanova. I „epizod” gotowy. Z takich epizodów złoży się niepostrzeżenie życie całe.

Życie całe Jana Jakuba Casanovy było jedną, nieprzerwaną serią przygód miłosnych.

I żadna z nich nie zostawiła po sobie ani jemu... ani partnerce wspomnień przykrych, gorzkich, bolesnych. Wręcz przeciwnie! Kobieta, z którą Casanova przeżył w stosunku miłosnym choćby dzień jeden tylko, wspominać o nim będzie długo, długo bardzo, może do końca życia z uczuciem dziwnie tkliwym; jeżeli nie z melancholią tęsknoty za czymś bardzo cudnym, a niepowrotnym, to w każdym razie z przedziwnie szlachetną serdecznością. Kobiety z właściwą im instynktowną przenikliwością czują doskonale w mężczyźnie Casanovę lub Don Żuana. Zmożone, oddają się donżuanowi; same w ręce idą Casanovom. Z pierwszymi idą na emocjonującą grę hazardową i najczęściej przegrywają, opłacając słono i gorzko zaznane tylko... wrażenia; z drugimi idą jak na niewątpliwie znakomicie zaaranżowaną majówkę, pewne prześlicznych krajobrazów, wystawnego menu, rozkosznych rozrywek, urozmaiconej zabawy, chwil w miarę tkliwych i w miarę szalonych, a pewne dyskrecji... murowanej.

Wirtuozostwo miłosne w połączeniu z niespożytym temperamentem przedłuża, zda się, w nieskończoność życie erotyczne „wiczystego kochanka” z typu Casanovy.

Plomiennosc i głębia uczucia cudnych elegii siedemdziesięcioletniego Goethego<sup>31</sup>, rozkochanego w młodzieńczej Ulryce von Levetzow, towarzysze długich sam na sam spacerów po cienistych alejach Marienbadu i Karlsbadu, miłosne intermezzo mediolańskiego Kossutha<sup>32</sup>, liczącego niewiele mniej lat, przyjazd bez mała siedemdziesięcioletniego Kraszewskiego<sup>33</sup> w 1881 roku do Wiednia na kongres międzynarodowy w towarzystwie prześlicznej panny Negri, dialogi u kominka osiemdziesięcioletniego Fontenelle’a<sup>34</sup> z kochanką lat młodzieńczych, panią de Chevreuse, listy dogorywającego Heinego<sup>35</sup> do tajemniczej po dziś dzień panienci (może Kamili Selden, może Elizy von Krienitz?) którą zwał swoją najdroższą „Mouche” (muszka) — wszystko to jest przecie niegasnącym nigdy, wspólnym wszystkim krajom i czasom odblaskiem nieśmiertelnego casanowizmu. Nie donżuanerii, lecz tej właśnie całościowej *potrzeby kobiety*, tej odradzającej się nieustannie potrzeby narkotyzowania życiowej atmosfery stosunkiem z kobietą coraz innym, właśnie oczarowującym niewyczerpanym odmian swych bogactwem. Nie chodzi o kobietę coraz inną; chodzi o coraz to nowy, w nieśmiertelnej swej świeżości, stosunek do kobiety. A powiedziane już jest przez to, że nie to jest najcenniejsze, co się od kobiety bierze — a nawet otrzymuje — lecz to ma najprzedziwniejszą wartość dla natur o całe niebo szlachetniejszych i subtelniejszych niż Don Żuana, to mianowicie... co się kobiecie daje.

Nie za kobietami gonił przez życie całe Casanova, lecz — za miłością. Nie był on kolejnym kochankiem „dwóch czy trzech tysięcy kobiet”, jak woła przerażony Janin, lecz był do ostatniego tchu kochankiem, wielbicielem, najwierniejszym niewolnikiem Miłości.

<sup>30</sup>*liaison dangereuse* (fr., r.ż.) — niebezpieczny związek; nawiązanie do powieści Pierre’a Choderlosa de Laclos *Niebezpieczne związki* (*Les Liaisons dangereuses*, 1782) o parze wyrafinowanych uwodzicieli. [przypis edytorski]

<sup>31</sup>Goethe, *Johann Wolfgang* (1749–1832) — jeden z najwybitniejszych autorów niemieckich, poeta, dramaturg, prozaik, uczyony i polityk, reprezentant nurtu „burzy i naporu”, przedstawiciel klasycyzmu weimarskiego. [przypis edytorski]

<sup>32</sup>Kossuth, *Lajos* (1802–1894) — węgierski polityk, bohater narodowy; przywódca rewolucji węgierskiej 1848–1849, po jej upadku resztę życia spędził na emigracji; zmarł we Włoszech. [przypis edytorski]

<sup>33</sup>Kraszewski, *Józef Ignacy* (1812–1887) — przedstawiciel pozytywizmu, pisarz, dziennikarz i działacz społeczny, autor licznych powieści historycznych. [przypis edytorski]

<sup>34</sup>Fontenelle, *Bernard Le Bouyer de* (1657–1757) — francuski filozof, pisarz, religioznawca, popularyzator wiedzy. [przypis edytorski]

<sup>35</sup>Heine, *Heinrich* (1797–1856) — niemiecki poeta romantyczny, znany liryk, prozaik i publicysta. [przypis edytorski]



A że w tej nieustannej pogoni za ekstazą miłosną, podczas tych nad wyraz częstych wypraw do Cytery<sup>36</sup> „zniesławił”, jak wyraża się tenże Janin, tyle to a tyle „ofiar wyuzdanej namiętności”... Ach!... Czy nie wypadaloby raz przecie odzwyczaić się od upatrywania w każdej „uwiedzianej” kobiecie... ofiary mężczyzny? Zazwyczaj role są równe; odpowiedzialność, o ile w ogóle mowa o niej być może, jednakowa... Przeto też jeżeli już à tout prix<sup>37</sup> chcemy cisnąć gromem oburzenia w żywot Casanovy, weźmy w dłoń zamiast jednego gromu pęk cały i „ogniem z nieba” ogarnijmy całe cywilizowane społeczeństwo XVIII stulecia, którego obyczajowości jednym z najwierniejszych i najciekawszych odbić był awanturniczy żywot rozgłośnego „libertyna”.

Społeczeństwo XVIII stulecia poczytywało przecie za rzecz całkiem naturalną i logiczną pędzenie takiego żywota, jaki pędził Casanova. Powiedzmy więcej. Casanova posiadał nie jeden, lecz mnóstwo przymiotów otwierających przed nim wśród współczesnego mu społeczeństwa: sławę i kredyt. Był szarlatanem, jak Cagliostro magnetyzerem, jak Mesnier iluminatem<sup>38</sup>, magiem koptyjskim, posiadał niezmierny talent wyprowadzania ludzi w pole, mistyfikowania ich, wykierowywania na kpów<sup>39</sup>, a zarazem nie mniejszy dar wyszachrowywania od kobiet wszelkich „dóbr doczesnych”, tumanienia bogaczy i wyzyskiwania hojnych legatów. Obdarzył Francję loterią; miał wszystko po temu, aby być wynalazcą montekarlońskiej ruletki! Żył, nie oglądając się na nic; sto razy z cudzej kieszeni; sto razy jak „ptak niebieski”; niezliczoną ilość razy w zatargu z władzami bezpieczeństwa publicznego... I... fetowano go, ściskano, honorowano. Wszystkie drzwi stały przed nim otworem. Piersi miał zasypane orderami wszystkich włoskich księstw; kawalerem był krzyża papieskiego.

„Życie Casanovy — pisał Janin, najsurowszy i najniesprawiedliwszy ze wszystkich komentatorów jego *Pamiętników* — to jedno bagno, to jedno kazirodztwo, jedno wiarołomstwo od Paryża do Rzymu, jedna ruja i porubstwo, wszeteczeństwo i nierząd, praktykowane dzień po dniu, godzina za godziną. Urodzony z dziewczyny publicznej i ojca o niewiele większej wartości moralnej, w piętnastym już roku życia ojca przeszedł i matkę. Ileż wręcz nieprawdopodobnych przygód! Ileż okoliczności i wydarzeń sprzyjających, jak nie można lepiej, chuciom wyuzdanym! Ileż ten człowiek splugawił miejsc poświęconych i niepoświęconych, nie oszczędzając ani niskich chat, ani dumnych pałaców! Nie było dlań świętego miejsca ani w zajeździe, ani w klasztorze, ani na poddaszu, ani pod stropem katedry, w polu, w ogrodzie, na publicznej drodze!... Nie uszanował ani Paryża, ani Wenecji, ani wsi, ani miasta, ani monarszego dworu! Ani młodości zaledwie rozkwitniętej, ani lat podeszłych, ani dzieciństwa, ani starości, ani damy, ani pokojówki, ani komediantki, ani przeorzy!... Nic nie było w stanie pohamować impetu jego chuci wyuzdanej, niesytej, rozszalałej. Kochał w równym stopniu złoto i rozkosze miłosne, z jednakową zręcznością umiał przerabiać miłość na złoto, jak złoto na miłość”.

Rozmyślnie przytoczyliśmy sąd ten surowy, wyszły<sup>40</sup> spod pióra głośnego swego czasu krytyka paryskich „Debatsów”<sup>41</sup>, szermierza „zdrowego rozsądku” w epoce rozkwitania romantyzmu; przytoczyliśmy dlatego, aby szkic niniejszy nic nie miał — w niczyjej opinii — wspólnego z „apologią” Casanovy. Owszem, niech i Katon<sup>42</sup> przyjdzie do głosu! Od wymyślań: libertyn, deprawator, rozpustnik, debosz, farmazon, szuler, szarlatan, oszust! — podobnie jak dotąd nie rozsypała się w proch sława wszechświatowa Casanovy wespół z poczytnością jego nieśmiertelnych *Pamiętników*, tak też i wobec nieuniknionych

<sup>36</sup>Cytera a. *Kythera* — grecka wyspa na południe od Peloponezu; w starożytności jedno z centrów kultu Afrodyty, greckiej bogini miłości, która narodziła się z morskiej piany u brzegów tej wyspy. [przypis edytorski]

<sup>37</sup>à tout prix (fr.) — za wszelką cenę. [przypis edytorski]

<sup>38</sup>iluminaci a. *Zakon Iluminatów* (z łac. *illuminatus*: oświecony) — tajne stowarzyszenie założone w Bawarii w 1776, mające na celu propagowanie oświeceniowych idei równości i racjonalizmu; w 1784 razem z innymi tajnymi stowarzyszeniami zakazane przez państwo i zlikwidowane. [przypis edytorski]

<sup>39</sup>kiep — człowiek głupi, nierozgarnięty. [przypis edytorski]

<sup>40</sup>wyszły — dawna forma imiesłowu przymiotnikowego, dziś zastępowana raczej zdaniem podrzędnym, np.: który wyszedł. [przypis edytorski]

<sup>41</sup>„*Journal des Debats*” — gazeta francuska utworzona w 1789, początkowo jako główne źródło informacji o debatach Zgromadzenia Narodowego; w późniejszym okresie nosiła tytuł „*Journal des débats politiques et littéraires*” (Dziennik debat polityczno-literackich) i była najpoczytniejszą gazetą w kraju. [przypis edytorski]

<sup>42</sup>Katon Starszy, właśc. *Marcus Porcius Cato* (234–149 p.n.e.) — rzymski mąż stanu, mówca i pisarz; obrońca starorzzymskich cnót obywatelskich, znany z wielkiej surowości obyczajów. [przypis edytorski]

w dalszym ciągu wznoszeń oczu do nieba oraz załamywania rąk przy akompaniamencie sutych wyzwisk niechybnie się ostoi.

O wiele słuszniej chciano widzieć w Casanovie wiele cech Fausta<sup>43</sup>. On też był człowiekiem, którego interesowało wszystko, dosłownie wszystko, co umysł ludzki zaprzętało. On też mógł powtórzyć za legendowym bohaterem arcydzieła Goethego:

*Habe nun, ach! Philosophie  
Juristerei und Medicin,  
Und leider auch Theologie  
Durchaus studiert...<sup>44</sup>*

może nie z tak „gorącą usilnością” (*heisses Bemühen*), jak średniowieczny wędrowny alchemik wirtemburski, w każdym jednak razie z pasją i zręcznością nie byle jako wykształconego dyletanta, zdobywającego się od czasu do czasu na traktowanie tej lub owej specjalności ze sprawnością najzupełniej zawodową. I nie tylko jako sport naukowy uprawia Casanova przerzucanie się od filozofii do matematyki ścisłej, od astrologii do bibliofilstwa, od zabiegów leczniczych do gry dyplomatyczno-politycznej. Chodzi mu o istotę spraw, zagadnień, objawów. Stara się dotrzeć do jaźni rzeczy i do ich początku. Szuka prawdy... Jest w nim niezaprzeczenie przynajmniej coś niecoś z Fausta niepokojów, usiłowań — i rojeń.

Jeszcze żywiej wobec Casanovy staje przed oczyma postać Żyda Wiecznego Tułacza. Oczywiście, że skończony światowiec i na wskroś „Europejczyk” z epoki roccoco nie odbywa wiecznej swej wędrówki z kosturem w dłoni, w płaszczu romantyczno-balladowym, z rozwianą na piersiach siwą brodą — jak sobie wyobrażamy bezimiennego ucznia Chrystusowego, o którym wyrosła nieśmiertelna legenda z ostatnich wersetów Ewangelii św. Jana. Oczywiście, że żywot Casanovy nic nie ma w sobie ekspiacyjnego<sup>45</sup>, jak straszna wędrówka tułacza Ahaswera. Niesie go tylko i niesie po świecie, pędzi z miejsca na miejsce, jakby jakaś siła fatalna, jakby jakieś Przeznaczenie. Nie brakło niezawodnie przesadnych i bojaźliwych dusz, żegnających się *in petto*<sup>46</sup> przy spotkaniu dziwnego, jakby upiorowego człowieka w nieustannym ruchu, okrążającego nieprzerwanie Europę, jakby w pogoni za dniem wczorajszym, lub partego naprzód pod przymusem jakimś tajemniczym. Tfu! Zgiń, przepadnij, maro niesamowita! Joannes Buttadeus?... Isaac Laquedem?... Czy ducha ich tragiczne wcielenie?

Uspokójcie się, panie i panowie, nie macie przed sobą żadnej inkarnacji jerozolimskiego sprzed dziewiętnastu wieków Żyda o kamiennym sercu, co z progą swej lepianki zaszydził ongi plugawo ze Zbawcy Świata, dźwigającego krzyż na Golgotę. Przed wami wytworny, elegancki, bajecznie sprytny i bajecznie interesujący „awanturnik”, używający życia bez miary i bez pamięci, robiący w samej rzeczy najautentyczniejsze złoto z łatwo-wierności i głupoty ludzkiej, mistrz nad mistrzami w grze miłosnej, uwodziciel nieskończonej liczby kobiet, bezpamiętny i bez żadnych skrupułów, ale tak subtelny, iż każda z uwiedzionych stanąć by mogła do przysięgi, że właśnie ona zgięła go do swych stóp, podczas gdy wszystkie inne kobiety rzucały mu się bezwstydnie w objęcia!

Pan Aldo Rava, wydawca i komentator całego szeregu listów niewieścich pisanych do Casanovy (*Lettres de femmes à Jacques Casanova*, Paryż, 1912) wyraża się z niezaprzeczoną słusnością:

„Listy te, które ja pierwszy oddaję do rąk szerokiej publiczności, wierzę święcie, iż rzucą nieoczekiwane światło na Casanovę, tego wręcz wyjątkowego człowieka, to jest takiego, który byłby wyjątkowym człowiekiem w każdym kraju, w każdej w ogóle epoce. Dowiodą te listy, sądzę, niezbicie, że musiało być w Casanovie coś więcej i coś wartościow-

<sup>43</sup>*Faust* — postać literacka, uczony, który sprzedał diabłu duszę w zamian za wiedzę, tytułowy bohater dramatu J. W. Goethego. [przypis edytorski]

<sup>44</sup>*Habe nun, ach! Philosophie Juristerei und Medicin...* — W żądzy wiedzy poznałem wszechnauk dziedzinę, zgłębiłem filozofię, prawo, medycynę, niestety, teologię też! (Goethe, *Faust, część pierwsza*, scena w pracowni, tłum. E. Zegadłowicz). [przypis edytorski]

<sup>45</sup>*ekspiacja* — pokuta, zadośćuczynienie, odkupienie winy. [przypis edytorski]

<sup>46</sup>*in petto* (wl.) — w głębi duszy. [przypis edytorski]

sze go ponad piękną prestancję<sup>47</sup> urodziwego mężczyzny, ponad wirtuozowską zręczność pogromcy serc i uwodziciela, ponad niejako zawodowość szczęśliwego amanta. Musiało w nim być coś, co nie tylko kładło mu kobiety w ramiona, lecz zarówno za młodu, jak i wówczas, gdy ciążyło na nim spore już brzemię lat — dawało mu kobiet najszczersze uczucia, przywiązanie, sympatię, szacunek, poświęcenie, a to ze strony kobiet zarówno młodych, jak starych, bardzo inteligentnych i bardzo przeciętnych, niepospolicie głośnych, tudzież niepospolicie rozumnych i utalentowanych”.

Kto z kobietami dużo miał do czynienia, odczytywać będzie nie bez wzruszenia i nie bez głębszych refleksji listy takiej np. szczerzej, prostej, a jakże wiernej i kochającej Franceski Buçohim, „uściskującej z całego serc” przez lat tyle... „takiego” Casanovę! „*Vous avez bien raison de vous aimer car vous êtes très intéressant et aimable. Vous avez tort de croire qu'on ne vous aime pas*”<sup>48</sup> — pisała do siedemdziesięcioletniego Casanovy ostatnia w życiu jego kobieta, Eliza von der Recke, „naturalna” siostra księżnej Doroty Kurlandzkiej, uosobienie, to prawda, egzaltacji nerwowej, ale bądź co bądź jedna, jeżeli nie z gwiazd, to z gwiazdek XVIII wieku.

\*

Memuary Jana Jakuba Casanovy de Seingalt należą do pereł literatury pamiętnikowej.

Nie są, ani słowa, lekturą dla pensjonarek... Lecz tyle jest przecie innych, a prześlicznych utworów wierszem i prozą, jakby stworzonych na nagrody szkolne w niebieskiej lub czerwonej oprawie ze złożonymi wyciskami! Zostawmy *Pamiętniki* Casanovy, nie urągając im i nie zlorzcząc, w spokoju na półce bibliotecznej, na miejscu — honorowym. Cenne są jako dokument historyczny sporej wagi, tudzież jako utwór nieskazitelnie „stylowy”.

Przy całej swej formie powieściowej i treści nieraz bardzo drastycznej, nie współzawodniczą one bynajmniej i wyłącznie z takimi li tworcami jak *Il Decameron* Boccaccia<sup>49</sup> lub romans Louveta de Couvray<sup>50</sup> *Les amours du chevalier de Faublas*. Rychlej już dadzą się pamiętniki Casanovy porównać pod względem werwy i ujmowania przedmiotu z autobiografią Benvenuta Celliniego<sup>51</sup>, a pod względem otwartości z *Wyznaniami* Jana Jakuba Rousseau<sup>52</sup>. Rzecz jednak główna i zasadnicza w tym, że w memuarach Casanovy zajmuje szeroki i mistrzowski obraz obyczajów i i zwyczajów prawie tak wielkie i wybitne miejsce, jak historia w pamiętnikach Ksenofonta, Cezara lub Jeffersona<sup>53</sup>. Ta właśnie kulturalno-obyczajowa duża wartość pamiętników Casanovy stanowi główny ich tytuł do sławy i niewygasającej świeżości.

Dzisiejszym naszym upodobaniom może nie odpowiadać jedynie chyba tylko „rozwlekłość” niezmiernie drobiazgowej narracji Casanovy. Aczkolwiek opis np. ucieczki spod więziennych ołowianych dachów weneckich skreślony jest z mocą dramatyczną, której by Casanovie mógł szczerze pozazdrościć niejeden pierwszorzędny powieściopisarz współczesny. Przypomnijmy, że zupełny tekst *Pamiętników* Casanovy w monachijskim najwzorowszym wydaniu J. Müllera obejmuje czternaście tomów, a najlepsze wydanie

<sup>47</sup>prestancja (daw. rzad., z fr. *prestance*) — prezencja: okazała powierzchowność, postawa, sposób zachowania. [przypis edytorski]

<sup>48</sup>*Vous avez bien raison de vous aimer...* (fr.) — Masz dobry powód, by kochać siebie, gdyż jesteś bardzo interesujący i miły. Mylisz się, sądząc, że nie jesteś kochany. [przypis edytorski]

<sup>49</sup>Boccaccio, Giovanni (1313–1375) — włoski pisarz, autor m.in. zbioru nowel obyczajowych *Decameron*, którego głównym tematem jest miłość w jej rozmaitych odmianach. [przypis edytorski]

<sup>50</sup>Louvet de Couvray, Jean-Baptiste (1760–1797) — pisarz francuski, autor m.in. powieści *Przygody miłosne kawalera de Faublas* (1787–90). [przypis edytorski]

<sup>51</sup>Cellini, Benvenuto (1500–1571) — włoski rzeźbiarz, złotnik, medalier i pisarz; znany z burzliwego życia; autor autobiografii *Żywot Benvenuta Celliniego własnoręcznie spisany*. [przypis edytorski]

<sup>52</sup>Rousseau, Jean-Jacques (1712–1778) — francuski pisarz i filozof; autor m.in. autobiograficznych *Wyznań*, stanowiących jeden z fundamentalnych utworów literatury intymnej. [przypis edytorski]

<sup>53</sup>Ksenofont, Cezar, Jefferson — Ksenofont z Aten (ok. 430–ok. 355 p.n.e.): grecki pisarz i historyk, żołnierz najemny, znany m.in. z pamiętników wojskowych pt. *Anabaza* (*Wyprawa Cyrusa*); Gajusz Juliusz Cezar (100 p.n.e.–44 p.n.e.): rzymski dowódca wojskowy, polityk, dyktator, autor pamiętników wojskowych (*O wojnie galijskiej* oraz *O wojnie domowej*); Thomas Jefferson (1743–1826): amerykański, działacz niepodległościowy, prezydent USA, autor autobiografii skoncentrowanej na wydarzeniach okresu wojny o niepodległość. [przypis edytorski]

francuskie świeżej daty (1910, Paryż, Garnier Frères), wzorowane na pierwszym wydaniu włoskim Brockhousa, liczy zwarte go druku tomów osiem. Zapoznanie się od deski do deski z taką obfitością choćby najświetniej prowadzonego opowiadania wystawiłoby na zbyt ciężką próbę ciekawość czytelnika terażniejszego, a przede wszystkim jego czas, rozbity dziś na tyle różnorodnych, a terminowych zajęć.

Książka, którą pozwalamy sobie oto złożyć w ręce publiczności naszej, jest jakby spacerem po ogromnych *Pamiętnikach* Casanovy. Poszczególne rozdziały, stanowiące w odpowiednim streszczeniu zamkniętą w sobie całość, niby nowele samoistne i obrazki, ukazują całe ich bogactwo, wyrazistość i wdzięk. Dają pełne wyobrażenie o całości tego jedyne go w swoim rodzaju kalejdoskopu, potrząsanego z niezmierną zręcznością przez istnego „magika” galanterii, zalotności, sentymentu, bezczelności i dowcipu.

Cz. J.

Zakopane, na Antałówce, willa Witkiewicza, sierpień, 1920 roku.

## PRELUDIUM

Narrację swą pamiętnikową rozpoczyna Jan Jakub Casanova zaznaczeniem starożytności rodu, z którego pochodzi.

Don<sup>54</sup> Jakub Casanova — brzmią pierwsze wyrazy *Pamiętnika* — urodzony w Saragossie, stolicy Aragonii, syn naturalny Jaśnie Wielmożnego Pana Franciszka, porwał z klasztoru, w roku Pańskim 1428 Donnę<sup>55</sup> Annę Palafox nazajutrz po wykonaniu przez nią ślubów zakonnych. Don Jakub był sekretarzem króla Jegomości Alfonsa. Uciekł z uprowadzoną niewiastą do Rzymu i rok tam cały w więzieniu przesiedział, po czym papież Marcin III rozwiązał śluby zakonne Anny i związek jej małżeński z Jakubem Casanova pobłogosławił — na instancję<sup>56</sup> Don Juana Casanovy, ochmistrza dworu papieskiego, a stryja pana młodego...

Po wyczeniu długiego szeregu antenatów<sup>57</sup> kładzie Casanova na karty *Pamiętnika* imię ojca swego, Kajetana Józefa Jakuba, opuszczającego dom rodzinny w 1715 i idącego w świat — szukać szczęścia.

„Kajetan Józef Jakub — pisze — zerwał się w świat, zapłonawszy osobliwszym afektem ku aktorce imieniem Fragoletta, grającej role subrettek<sup>58</sup>. Zakochany po uszy, a bez grosza przy duszy, jął dla chleba tańczyć, po czym został aktorem, wcale jednak mizernym. Nie wiedzieć: z płochości wrodzonej czy zazdrością rozgoryczony, dość że rozstał się z Fragolettą i przystał do trupy komediantów, popisujących się w Wenecji. Na wprost mieszkania, które zajmował, miał swój warsztat szewski niejaki Hieronim Farusi, ojciec przepięknej szesnastoletniej jedynaczki, Zanetty. Młody aktor zakochał się w niej na zabój i pozyskał wzajemność dziewczyny. Pozwoliła siebie wykraść. Była to zresztą jedyna droga do nadziemskiego raj, gdyż w oczach waćpana Hieronima, jako też jego żony, każdy komediant w ogóle był osobistością obrzydliwą i pogardy godną. Zakochani, zaopatrzeni w niezbędne dokumenty i w towarzystwie dwu świadków, udali się do patriarchy weneckiego, który chętnie pobłogosławił ich legalny związek. Marzia, matka Zanetty, narobiła hałasu co niemiara, ojciec umarł ze zgrzyoty. Z małżeństwa tego po dziewięciu miesiącach urodziłem się ja — 2 kwietnia roku 1725”. Ojciec Casanovy umarł w kwiecie lat, w 36. roku życia, matka, śliczna jeszcze i młoda kobieta, rwała się w świat szeroki; babka nie miała ochoty poświęcać się zbyt dla wnuka; opiekun, imć pan Grimani, patrycjusz wenecki, którego

<sup>54</sup>don (hiszp.) — pan, zwrot grzecznościowy używany przed imieniem osoby. [przypis edytorski]

<sup>55</sup>donna (wł.) — pani; popr. po hiszpańsku: *doña*. [przypis edytorski]

<sup>56</sup>instancja (daw.) — wstawienie się za kimś. [przypis edytorski]

<sup>57</sup>antenat (z łac.) — przodek. [przypis edytorski]

<sup>58</sup>subretka (z fr.) — typ postaci sprytniej pokojówki w komediach i farsach. [przypis edytorski]

Kajetan Józef Jakub był jeszcze za życia uprosił o kierowanie losami syna, nie miał najmniejszej intencji do niańczenia cudzego „bębna”, jak się wyrażał. Postanowiono tedy<sup>59</sup> jak najszybciej pozbyć się z domu dziesięcioletniego już chłopca.

Oddano go do szkół do Padwy, zalokowując na kwaterze i wikcie jakiejś starej Słowaczki...

Na te już pacholące lata Casanovy przypada pierwsza przygoda miłosna, którą by można zatytułować „Bettina”.

## BETTINA

Co też za dziwny czasem zbieg okoliczności ludzi ze sobą sprowadza!

Gdybym, będąc dzieckiem, nie cierpiał na częste nadmierne rzucanie się krwi nosem, nigdy by oczy moje nie oglądały Bettiny, tej Bettiny, dla której serce moje chłopięce pierwszą w życiu zabiło miłością. Nadmierne tracenie krwi dało się zdrowiu memu fatalnie we znaki; osłabłem, ledwie włożyłem nogami i chodziłem jak osowiały, niezdolny zająć się niczym. Nie pomogły „odczarowywania” pewnej wiedźmy-znachorki z Murano, do której babka parokrotnie mnie wozila. Lekarz radził wywieźć mnie z Wenecji, zapewniając, że zmiana powietrza i otoczenia przywróci mi zdrowie. Matka moja, babka i opiekun mój, jegomość pan Grimani, usłuchali dobrej rady. Przewieziono mnie do Padwy i zalokowano u pewnej wysoce niesympatycznej starej Słowaczki. Wszystko mnie od niej odstręczało: i zachowanie się, i wygląd, i mizerność jej niechlujnego „pensjonatu”. Nocą zagryzały mnie literalnie pchły i pluskwy; w dzień głodny byłem jak pies, ile że klimat padewski istotnie wyśmienicie oddziaływał na mój zdrowostan. Ani słowa, raz po raz udawało mi się ściągnąć coś niecoś z wiktuałów ku wielkiemu zmartwieniu gospodyni, zachodzącej w głowę: kto by to mógł w jej spiżarni myszkować! Zdarzało mi się też często wyciągnąć profit z mego „urzędowania” jako *decurio* w szkole, do której uczęszczałem. Do zaszczytu tego doszedłem przez pilność i wrodzone zdolności. Urząd mój polegał na przeglądaniu zadań trzydziestu moich kolegów, poprawianiu i wystawianiu stopni. Toteż zabiegano o moje względy, podsuwając mi nawet przednie smakołyki, którymi... nie gardziłem, cenzurując zadania coraz niesprawiedliwiej. Tego już w końcu było niektórym starszym kolegom za wiele. Zadenuncjowali mnie nauczycielowi. Podczas indagacji<sup>60</sup> wyszła na jaw cała miseria mego bytowania w „pensjonacie” starej Słowaczki. Nauczyciel, sprzyjający mi bardzo, wymógł na matce mojej, że mnie od Słowaczki odebrano i oddano na kwaterę — do jego własnego domu. O zacny, szanowny, nieoceniony mój dobroczyńco!

Księdzem był doktor Gozzi; miał lat dopiero 26; skromny, ugrzeczny, okrągłutki... Do tego stopnia był tylko mną zajęty, że w ciągu niespełna półrocza opuścili go wszyscy uczniowie. Postanowił tedy otworzyć kolegium połączone z internatem; projekt ten atoli dojrzywał całe dwa lata, w ciągu których nauczył mnie doktor Gozzi wszystkiego, co sam umiał, do gry na skrzypcach włącznie. Przydała mi się ta gra, ach, jak bardzo przydała raz nie jeden w życiu!

Gdy po owych dwuletnich studiach — było to w Wielkim Poście 1736 roku — zjawiliśmy się, ja i mój mistrz, u matki mojej w Wenecji, nie chciano wierzyć uszom i oczom. Wręcz zaimponowałem całej mojej rodzinie i wszystkim znajomym moją uczonością i ogladą, nie wspominając o biegłości w układaniu wierszy, która wszystkich wprawiała w zachwyt. Przeznaczny mój mentor cieszył się jak dziecko, że jemu przypisywano zasługę uczynienia z na wpół zidiociałego chłopaka tak wypolerowanego<sup>61</sup> i do rzeczy nieomal kawalera. Nie podobała się tylko matce mojej moja jasnoblonde peruka, okrutnie nieharmonizująca z mymi czarnymi brwiami i oczami. Spytała doktora, dlaczego własnych moich włosów nie każe fryzować. Doktor odrzekł, że to siostra jego obstaje przy peruce, którą łatwiej utrzymywać w ochędóstwie<sup>62</sup> niż moją czuprynę. Naiwna ta odpowiedź wywołała głośny śmiech całego towarzystwa, który wzmógł się jeszcze, gdy na pytanie zwrócone do doktora, czy siostra jego jest zamężna, wyrwałem się ja z odpowiedzią, że

Choroba, Młodość, Miłość

Strój

<sup>59</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

<sup>60</sup>indagacja — przepytanie, badanie, śledztwo. [przypis edytorski]

<sup>61</sup>polerowany (daw.) — wykwinny. [przypis edytorski]

<sup>62</sup>ochędóstwo (daw.) — tu: schludność, czystość. [przypis edytorski]

Bettina jest najpiękniejszą panią w całej dzielnicy miasta i liczy lat dopiero czternaście. Tedy matka obiecała piękny prezent Bettinie, jeżeli tak gorliwie opiekować się będzie moją czupryną jak moją peruką, na co doktor odparł, że od dnia dzisiejszego stanie się życzeniu matki zadość i peruki nosić nie będzie.

Ach, tak! Bettina była istotnie prześliczna, wesoła i wielka amatorka czytania powieści. Rodzice byli z niej niezadowoleni, a doktor nie mógł nigdy pogodzić się z jej pasją do lekkiej lektury. Dzieweczka spodobała mi się od razu, sam nie wiem czemu. Ona to pierwsza rozpałała w sercu moim uczucie... nieprześcignione przez żadne już potem w życiu. Spotęgował jej sympatię dla mnie hojny dar mojej matki: pięć łokci<sup>63</sup> materii jedwabnej i tuzin rękawiczek. Tak gorliwie zajęła się od tej daty moimi włosami, że już po sześciu miesiącach mogłem chodzić bez peruki. Czesła mnie też często, leżącego jeszcze w łóżku, gdyż czasu nie miała z tym czekać, aż wstanę. Myła mi twarz, szyję, piersi, nie szczędząc dziecięcych pieszczot, które poczytywałem za całkiem niewinne, które mnie jednak drażniły, za co sobie czyniłem w duchu ostre wymówki. Byłem od niej o trzy lata młodszy; sądziłem, że dla tego samego nie będzie mogła mnie pokochać i gryzłem się tym i martwiłem. Bywało, usiadłszy na moim łóżku, dowodzi, że utylłem i stara się o tym przekonać rękami, od czego aż mi się gorąco robiło, lecz pozwalałem jej robić, co chce, w obawie, aby nie spostrzegła mego pomieszenia. Innym razem powiada, że mam skórę dziwnie delikatną i tak mnie lechcze, że aż usuwać się muszę, żalując okrutnie, iż nie śmiałem jej odplącić pięknym za nadobne i że ona nie domyśla się, jak bardzo bym tego pragnął. Gdym był ubrany, całowała mnie raz i drugi, nazywając „najdroższym swym dzieckiem”... ja zaś, pożerany chęcią pójsia za jej przykładem, nigdy i nigdy nie mogłem zdobyć się na odwagę. Później, podniecony dworowaniem Bettiny z mej nieśmiałości, przemógłszy się, oddawałem jej całusa za całusa, a nawet z nawiązką, zatrzymując się zawsze, ilekroć chęćka mnie brała posunąć się dalej; wówczas odwracałem głowę, jakbym czego szukał, a ona wychodziła z pokoju. Po jej odejściu byłem w desperacji, żem nie pofolgował mojej naturze, i zdumiony, że Bettina może tyle ze mną dokazywać, wstrzymując się zawsze w porę, podczas gdy ja hamować się muszę z największą biedą. Za każdym razem obiecywałem sobie święcie zmienić postępowanie.

Pocałunek, Pożądanie,  
Erotyzm

W początkach jesieni zalokowało się u doktora trzech nowych pensjonarzy, z których jeden, młodzian piętnastoletni, wszedł rycho bardzo w konfidencje<sup>64</sup> z Bettiną. Obudziło to we mnie uczucie całkiem mi dotąd nieznanne, a z którego zdałem sobie sprawę dopiero po wielu latach. Nie była to zazdrość ani też nienawiść. Obudziło się we mnie dla Cordianiego tylko uczucie — pogardy. To miał być mój rywal szczęśliwy, ten syn jakiegoś dzierzawcy, nieokrzesany, głupi, bez krzty polotu w duszy? Cała jego wyższość nadmierna polegała na tym, że był nieco ode mnie starszy. Gorzką też pogardę zacząłem żywić dla Bettiny, którą kochałem, sam nie wiedząc o tym. Aż nadto rychło spostrzegła ona zmianę w moim dla niej usposobieniu. Gdy usiadła, jak zazwyczaj, na moim łóżku i zabierała się mnie czesać, odtrąciłem precz jej ręce i nie kwapiłem się wcale jej całować. Podrażniona, powiedziała mi wręcz, że jestem o Cordianiego zazdrosny. Uniosłem się i odparłem, że ona warta jest Cordianiego, a on jej. Zaśmiała się i wyszła.

Pogarda

Teraz już za wszelką cenę chciała rozkochać mnie w sobie i oto na jaki wzięła się sposób. Pewnego ranka przyniosła mi do łóżka parę pończoch własnej roboty. Uczesawszy mnie, oświadczyła, iż sama mi je włoży, gdyż z pewnością wypadnie je poprawić. Doktor właśnie był wyszedł mszę odprawić. Bettina, zabrawszy się do moich nóg, znalazła, iż są nie dość czyste, i nie pytając o pozwolenie, zabrała się je myć. Nie śmiałem okazać zakłopotania i pozwoliłem jej robić, co chce, nie przeczuwając, co z tego wyniknie. Bettina, siedząc na moim łóżku, posunęła się w ochędożeniu mnie ponad wszelką gorliwość, ciekawość jej atoli<sup>65</sup> sprawiała mi tak żywą rozkosz, że ustała dopiero wówczas, gdy już żywsza być nie mogła. Gdym się uspokoił, zacząłem ją przeproszać, uważając, iż tak mi wypada postąpić. Nie oczekiwała przeprosin, pomyślała chwilę i rzekła z wielką wyrozumiałością w głosie, że cała wina po jej stronie, lecz że się już nigdy więcej do tego stopnia nie zapomni. Rzekłszy to, wyszła, pozostawiając mnie moim refleksjom.

Ciało

<sup>63</sup>łokieć — dawna miara długości, równa ok. 60 cm. [przypis edytorski]

<sup>64</sup>konfidencja (daw., z łac.) — poufałość, zażyłość. [przypis edytorski]

<sup>65</sup>atoli (daw.) — jednak. [przypis edytorski]

A refleksje to były nad wyraz bezlitosne. Zdawało mi się, że Bettinę zbezczęścił, że nadużył zaufania jej rodziny, że popełnił coś haniebnego, co da się tylko naprawić poślubieniem Bettiny. Ogarnęła mnie czarna melancholia i byłbym się zakochał na śmierć i życie, gdyby mi serca nie żarła zazdrość straszliwa, aczkolwiek byłem święcie przekonany, że takiego jak ze mną występku Bettina z Cordianim nie popełniła. A rankami już do mnie nie przychodziła wcale. Wyobraziłem sobie, że się wstydzi i ma wyrzuty sumienia. Głaskało to moją miłość własną. Postanowiłem w bezdennej mojej głupocie napisać do niej. Napisałem krótki list, mogący ją jednak w zupełności uspokoić i ośmielić. Wydało mi się, że wykoncypowałem arcydzieło stylu epistolarnego<sup>66</sup>, że ono bez chyby<sup>67</sup> Bettinę podbije, a Cordianiego całkiem od niej odsądzi, aczkolwiek i bez tego nie wierzyłem w gruncie rzeczy, aby Bettina mogła tego rodzaju osobnikowi dawać preferencję nade mną.

W niespełna godzinę po otrzymaniu mego listu dała mi ustną odpowiedź, że pojutrze przyjdzie do mnie rano jak zwykle, jak bywało przed pamiętnym dniem przełomowym. Alem czekał jej nadaremnie. Nie przyszła. Byłem wzburzony. Jakież było moje zdziwienie, gdy podczas obiadu zagadnęła mnie, jak gdyby nic, czy ma przyjść przebrać mnie za dziewczynkę na balik maskaradowy, mający się odbyć za dni parę u naszego sąsiada. Wszyscy przyklasnęli projektowi przebrania mnie za dziewczynkę, tedy musiałem się rad nierad zgodzić. Zresztą zdawało mi się, że ta okoliczność da nam najlepszą okazję rozmówić się i tak ułożyć nasz stosunek, aby zmysły nigdy już więcej nie mogły mi wyplątać figla. Wszystko jednak pokrzyżował następujący wypadek.

Pewien stary, dobry przyjaciel Gozziego, mieszkający na wsi, zmożony długotrwałą chorobą i pewny, że niedługo już pożyje, przysłał powóz, prosząc, aby opiekun mój wespół z ojcem swoim niezwłocznie do niego przybył, oczy mu zamknął i duszę jego oddał Bogu. Stary szewc, ojciec Gozziego, wychylił całą flaszkę wina (ile że dopiero poczuwszy alkohol w mózgu był w stanie myśleć i obracać językiem), wciągnął na się szatki od święta i puścił się z synem w drogę. Tu mnie ogarnęła niepohamowana chęć skorzystania z niebywałej sposobności... Balik miał się odbyć dopiero za dni kilka; wydało mi się niepodobieństwem<sup>68</sup> czekanie tak długo na widzenie się z Bettiną... szepnąłem jej tedy, że drzwi mego pokoju zostaną w nocy otwarte na korytarz... gdy zaś wszyscy w domu usną... niech do mnie przyjdzie. Zgodziła się. Spała na parterze w gabinecie, przylegającym cieniutką ścianką do sypialni ojca. Po wyjeździe doktora spałem sam w pustym pokoju; trzej pensjonarze lokowali się na przeciwległej stronie; nikt nas tedy spłoszyć nie mógł. Cały podniecony, nie mogłem doczekać upragnionej chwili...

Natychmiast po udaniu się na spoczynek zamknąłem na klucz drzwi od dalszych komnat, a otworzyłem wychodzące na korytarz, zgasilem światło i — nie rozbierając się — jąłem wyczekiwać. W romansach zdarzają się często sytuacje takie i nie ma w nich żadnej przesady. Tak zupełnie, jak ja na Bettinę, czeka u Ariosta<sup>69</sup> Raggiero na Alcinę. Czekałem aż do północy, nie niecierpliwiąc się nadmiernie; gdy jednak upłynęła godzina jedna po pół nocy... druga... trzecia... czwarta... wściekłość mnie ogarnęła i krew we mnie zawrzała. Na dworze padał śnieg i ziąb był nieznośny, lecz nie czułem najdokuczliwszego chłodu. Na krótko przed świtem, nie mogąc dłużej opanować niecierpliwości, postanowiłem zejść w pończochach — aby psa nie zbudzić — na dół i przekonać się, czy drzwi Bettiny zamknięte czy otwarte. Znalazłem je zamknięte; nie wychodziła; musiała oczywiście przespać naszą schadzki. Chciałem zapukać, lecz wstrzymała mnie obawa, że pies zacznie szczekać. Zrozpaczony i przybity, usiadłem na schodach, nie wiedząc, co począć. Dygotałem z przejmującego zimna. Nagle przyszło mi do głowy, że służąca będzie wychodziła niebawem na miasto i może mnie spostrzec. Zdecydowałem się tedy wrócić do siebie. Podnoszę się... i w tej chwili słyszę w pokoju Bettiny hałas. Przekonany, że to ona wstaje, aby iść do mnie, zbliżam się spieszenie do jej drzwi... drzwi odmykają się... lecz zamiast Bettiny ukazują się w nich — Cordiani. Kopnął mnie siarczyście w brzuch, że się aż w zaspę śniegu potoczył, i zniknął w pokoju, gdzie sypiał wespół z dwoma swymi

<sup>66</sup>epistolarny (łac.) — dotyczący listów, utworów w formie listów. [przypis edytorski]

<sup>67</sup>bez chyby (daw.) — niechybnie; na pewno. [przypis edytorski]

<sup>68</sup>niepodobieństwo — coś nieprawdopodobnego, niemożliwego. [przypis edytorski]

<sup>69</sup>Ariosto, *Lodovico* (1474–1533) — włoski poeta renesansowy, autor poematu rycerskiego *Orland szalony*. [przypis edytorski]

kolegami. Zerwałem się, odchodząc od zmysłów, dopadłem do zamkniętych drzwi Bettiny i jąłem w nie bez miłosierdzia łomotać pięściami i nogami. Pies zaczął natychmiast ujadać — oprzytomniałem — pobiegłem do swego pokoju, zamknąłem się i padłem na łóżko na wół żywy.

Zawiedziony, zdradzony, upokorzony, układałem przez dobrych godzin trzy najczarniejsze plany zemsty. Otruć ich wszystkich? Nie, to mściwości mojej nie nasyci! Wszystko opowiedzieć jej bratu?... W tym momencie doleciał uszu moich skrzeczący głos matki Bettiny, wołający, abym co rychlej schodził na dół, gdyż córka jej — umiera! Zły, że wymyka mi się ofiara zemsty, udaję się do pokoju Bettiny, przy której łóżku znajduję zgromadzoną całą rodzinę. Bettina wije się w kurczach straszliwych; na wół ubrana, wyrzuca rękami i nogami na wszystkie strony, że nikt jej utrzymać nie może. Nie wiedziałem, co mam myśleć o tym wszystkim. Nie znałem jeszcze ani natury niewieściej, ani niewiast podstępnej przewrotności. Dziwiłem się własnemu spokojowi... Po godzinie miotania się Bettina usnęła. Przywołani do jej łóżka lekarz, tudzież akuszerka nie mogli w żaden sposób określić istoty tak nagłej i niezwyklej choroby. Uśmiechnąłem się w duchu; zaczynałem rozumieć, że choroba ta pozostaje w ścisłym związku zarówno z nocną wizytą Cordianiego, jak z wykrzykiem przeze mnie całej sprawy. Postanowiłem jednak czekać cierpliwie z pofolgowaniem mej zemście na powrót doktora.

Przechodząc do mego pokoju przez gabinet Bettiny, spostrzegłem jej saczek<sup>70</sup>, poniewierający się na stole. Otworzyłem go; spostrzegłem bilecik, skreślony znanym mi dobrze pismem Cordianiego. Zdziwiła mnie niemało nieopatrność Bettiny; bilecik mógł przecie tak łatwo wpaść w ręce jej matki lub brata!... Jakże dalece musiała, biedaczka, stracić głowę! Bilecik uniosłem do swego pokoju i tam dopiero rzuciłem się go czytać. Łatwo wyobrazić sobie, co się ze mną działo, gdym wyczytał następujące wyrazy: „Ponieważ ojciec wyjechał, nie potrzebujesz zostawiać drzwi otwartych jak zwykle. Po kolacji przyjdę do twego gabineciku, gdzie mnie zastaniesz”.

Po chwili osłupienia i bicia się z myślami parsknąłem śmiechem; wydałem się sobie bardzo śmiesznym, Bettina godną pogardy, a Cordiani godnym przebaczenia. Myślałem, że się z miłości dla takiej dziewczyny gwałtownie wyleczył. Gratulowałem sobie, że otrzymał zbawienną naukę na całe życie. Uznałem nawet, że Bettina ma rację, dając Cordianiemu pierwszeństwo, chłopakowi już piętnastoletniemu, podczas gdy ja czymże jestem? Dzieckiem. Jednej tylko rzeczy nie mogłem przeboleć, mianowicie tego, że mnie Cordiani tak nieludzko kopnął.

Podczas obiadu, spożywanego w kuchni, rozległy się nagle wrzaski Bettiny. Wszyscy porwali się do sypialni, ja tylko kontynuowałem spokojnie jedzenie, nie zwracając najmniejszej uwagi na ogólny popłoch. Podczas kolacji powtórzyło się to samo; ja znowu ani drgnąłem. Wrócił doktor — ale mu nic nie powiedział; wszelkim planom zemsty dałem być za wygraną; opowiedzieć mu tak wysoce skandaliczną historię mogłem jedynie w wielkim podnieceniu; na chłodno nie mogłem. Spostrzegłem łóżko Bettiny, stojące tuż przy łóżku matki, lecz udałem, że na taki szczegół nawet uwagi nie zwracam — oddałem się całej nauce. Nazajutrz matka Bettiny przerwała nam lekcję, żeby oświadczyć doktorowi, że doszła do przekonania, iż na Bettinę musiał ktoś z pewnością rzucić urok. Może służąca?

— Mam niezbity dowód! — rzekła.

— Jaki? — spytał doktor.

— Zagroziłam drzwi dwiema skrzyżowanymi miotłami. Zamiast je rozsunać i przejść, ominęła drzwi załęczniona... i weszła do pokoju innymi drzwiami. Oczywiście bała się tknąć skrzyżowanych miotł. To niewątpliwie czarownica. Rzuciła na moją córkę urok.

Tedy doktor, włożywszy komżę, poszedł siostrę egzorcyzmować. Przyglądałem się ciekawie tym praktykom. Wszyscy biorący w nich udział wydali mi się niespełna rozumu i śmiech mnie porywał, ilekroć ktoś nazwał Bettinę nawiedzoną przez... diabła. Gdy się ceremonia skończyła, zbliżyłem się cichaczem do Bettiny i szepnąłem jej:

— Bądź dobrej myśli, zdrowiej i bądź pewna mojej dyskrecji!

Nie odrzekła mi nic i obróciła się do ściany. Dnia tego już konwulsji nie było; sądziłem, że wyzdrowiała; nazajutrz atoli opanowała ją istna demencja, podczas której wy-

List

Zabobony, Czarownica

Ksiądz, Egzorcyzm

<sup>70</sup>saczek (daw.) — mały sak, woreczek. [przypis edytorski]



latywały jej z ust wyrazy łacińskie i greckie, co przekonało wszystkich ostatecznie, że Bettina jest opętana przez diabła. Sprowadzono natychmiast najsłynniejszego w Padwie egzorcystę. Był to niezmiernie brzydki na twarzy kapucyn, ojciec Prosper de Bovolenta. Bettina atoli zaczęła świętobliwego człeka lżyć najordynarniejszymi wymysłami, a dobranymi tak kunsztownie, że nikt ani na chwilę nie wątpił, że jeden tylko diabeł zdobyć się może na coś podobnego. Kapucyn porwał się grzmocić Bettinę krucyfiksem, za co się ona śmiertelnie obraziła i palnawszy mu bajeczne *verba veritatis*<sup>71</sup>, cisnęła w niego flaszką z jakimś czarnym lekarstwem, które spryskało też akuratnie stojącego opodal Cordianiego, z czegom się serdecznie ucieszył. Egzorcysta zabrał się i poszedł, nie dopiawszy swego. Wieczorem Bettina nagle i niespodziewanie zjawiła się w kuchni i spokojna jak trusia siadła z nami do kolacji. Do mnie przemówiła słodko i łagodnie, przypominając, że jutro bal maskowy i że trwa niezłomnie w zamiarze przebrania mnie za dziewczynkę. Po pewnym czasie poszła z powrotem do łóżka, ja zaś znalazłem w fularze<sup>72</sup>, którym głowę na noc owijałem, bilecik brzmiący jak następuje: „Albo pójdziesz ze mną na bal przebrany za dziewczynkę, albo taką wyprawię hecę, że będziesz się zalewał łzami”. W nocy, gdy wszyscy spali, odpisałem jej, że mam zamiar pilnie unikać wszelkiego z nią sam na sam i proszę, aby oszczędzała moje serce, które żywi dla niej uczucia... braterskie, że wreszcie odesłałem jej bilecik pisany do Cordianiego, prosząc, aby poczytywała to za dowód mej przyjaźni i mej wspaniałomyślności. Otrzymałszy nazajutrz rano mój list, Bettina wpadła w doskonały humor. Ja byłem dla niej niezmiernie ugrzecznony; żal mi było dziewczyny; uniósł ją temperament w ramiona niegodziwca... Biedaczka!

Atoli po dniu pogodnym nastał wieczór burzliwy. Bettina poszła wcześniej do łóżka i znów zaczęła wyprawiać niesłychane brewerie<sup>73</sup>. Wiedziałem, co o nich sądzić. Rozpoczynała się zapowiedziana „heca”. Bettina czuła swoją wyższość nad sobą i to wyprawdzało ją z równowagi. Ach, wyznać muszę z całą szczerością, że pomimo doskonałej „szkoły”, którą przeszedłem w latach jeszcze chłopięcych, pomimo doświadczeń, które mogły mnie obronić od wielu niespodzianek, wyznaję, że byłem oszukiwany przez kobiety... często, bardzo nawet często. Nie dawniej jak dwanaście lat temu byłbym poślubił w Wiedniu młodziutką, niezmiernie lekkomyślną panienkę. Nie dało spełnić się temu szaleństwu najwidoczniej owo bóstwo, co szalonych od początku świata strzeże. Dziś... w siedemdziesiątym drugim roku życia szaleństwa nie popełnię, głupstwa nie palnę... i to jest właśnie najświetniejsza rzecz!

Nazajutrz Bettina jęła dokazywać tak, że sam doktor gotów był przysiąc, że diabeł w niej siedzi. I postanowił wezwać innego, jeszcze bardziej zawołanego egzorcystę. Był nim dominikanin, *pater*<sup>74</sup> Mancia. Porwałem się za głowę, gdy stanął u łóża Bettiny! *Pater* Mancia był piękny jak Apollo Belwederski<sup>75</sup>; lat najwyżej trzydziestu, pysznie zbudowany, bładny, o prześlicznie karminowych ustach, spod których błyszczwały białe jak śnieg zęby; z wyrazem twarzy ujmującymi miłym.

Bettina udawała, że śpi. Gdy ją atoli *pater* Mancia pokropił wodą święconą, otworzyła oczy, obejrzała dokładnie egzorcystę, położyła się na wznak, opuściła ręce, przechyliła z niewysłowioną gracją główkę na bok i — usnęła, bardziej podobna do aniołka niż do ziemskiej istoty.

*Pater* Mancia, dopełniwszy swych zabiegów, ulotnił się, obiecując wrócić nazajutrz. Nazajutrz Bettina mówiła całkiem od rzeczy, improwizując jakieś poetyckie tyrady, nie przerywając tej gadaniny wobec przybyłego egzorcysty. Z kwadrans przysłuchiwał się pilnie, po czym poprosił, abyśmy wszyscy wyszli z pokoju, gdyż pragnie z „chorą” pozostać sam na sam. Pospieszono uczynić zadość życzeniu świętobliwego męża. Bite trzy godziny trwały tajemnicze praktyki. Około południa *pater* Mancia zawołał nas; zastaliśmy Bettinę całkiem uspokojoną; egzorcysta zabierał się do wyjścia. Wyraził nadzieję, że stan „chorej” ulegnie gruntownej zmianie, prosił o udzielenie mu wiadomości...

<sup>71</sup>*verba veritatis* (łac.) — słowa prawdy. [przypis edytorski]

<sup>72</sup>*fular* — chustka na szyję z tkaniny jedwabnej. [przypis edytorski]

<sup>73</sup>*brewerie* — awantury, kłótnie. [przypis edytorski]

<sup>74</sup>*pater* (łac.) — ojciec. [przypis edytorski]

<sup>75</sup>*Apollo Belwederski* — marmurowy posąg Apolla, boga słońca i światła, klasycznego ideału męskiego piękna, będący rzymską kopią greckiego oryginału wykonanego w IV w. p.n.e. [przypis edytorski]

Po wyjściu egzorcysty Bettina spożyła obiad w łóżku, po czym wstała, wieczorem jadła kolację z nami przy stole i nie zdradzała już żadnego „oblędu”. Oto zaś okoliczność, która utwierdziła mnie w przekonaniu, że Bettina nie była nigdy ani wariatką, ani opętaną.

Doktor zdecydował, że w wigilię Oczyszczenia Matki Boskiej mamy wszyscy spowiadać się u ojca Mancii. Cordiani i obaj Feltrinowie nic nie mieli przeciw temu, ja zaś postanowiłem nie dopuścić do tego, gdyż nie wyobrażając sobie, aby można było zataić cośkolwiek na spowiedzi, nie chciałem, aby *pater* Mancia w bohaterce mojej przygody z „pewną dziewczynką” poznał od razu Bettinę. Raniutko otrzymałem liścik od niej tej treści: „Żaden z was nie powinien spowiadać się u ojca Mancii. Możesz mnie nienawidzić, ale szanuj moją cześć. Ty jeden możesz obalić postanowienie mego brata. Po tym poznam, czy ty jesteś czy nie jesteś moim przyjacielem”. Odpisałem, że o mnie może być spokojna, co zaś do Cordianiego, to niech sama wpłynie na swego... kochanka. Odpowiedziała: „Z Cordianim nie widziałam się od owej nocy, która mnie unieszczęśliwiła, i nie chcę się z nim widzieć nigdy więcej. Tobie wyłącznie chcę zawdzięczać ocalenie mi życia i honoru”.

Prowadziła ze mną niecną grę; czułem to dobrze. Była pewna swego. Kto ją tak wtajemniczył w arkana serca ludzkiego? Romanse, które pochłaniała? Nie, romanse tak gruntownych lekcji dać jej nie mogły...

Zdecydowany byłem uczynić zadość jej prośbie. Idąc spać, oświadczyłem kategorycznie, że spowiadać się będę, ale nie u ojca Mancii. Doktor uznał racjonalność moich skrupułów i obiecał, że zaprowadzi mnie do innego kościoła. Tegoż wieczora stłukłem sobie mocno nogę, postanowiono, że co najmniej dzień muszę przeleżeć w łóżku i oto zostaliśmy nazajutrz sami: ja i Bettina. Pod pierwszym lepszym pretekstem przyszła do mego pokoju; łaknąłem rozmówienia się z nią, byłem przeto uszczęśliwiony. Usiadła na moim łóżku. Zacząłem natychmiast jej tłumaczyć, że owej pamiętnej nocy miłość moja dla niej przemieniła się w nieubłaganą nienawiść, że potem jednak rozbroiły mnie jej przytomność umysłu, jej spryt, jej subtelność i że obecnie żywię dla niej rzetelną przyjaźń, podziwiając jej niepospolite zalety; prosiłem, aby była względem mnie również szczerą i otwartą; zakląłem się, że nie mam do niej najmniejszego żalu; niech — rzekłem — kocha choć na śmierć i życie „swego” Cordianiego; jestem pewny, że i jego, podobnie jak mnie, złowiła w swoje sidła i że jest niezawodnie bardzo nieszczęśliwy... Odrzekła, że wszystko a wszystko polega na fatalnym nieporozumieniu! Cordiani podpatrzył jej i moją tajemnicę przez wywiercony w suficie otwór i groził, że wszystko opowie doktorowi, jeżeli ona, Bettina, nie przestanie rankami chodzić do mnie, natomiast jemu pozwoli przychodzić do niej. Opowieść była długa... Tak też i owej okropnej nocy, kiedy obiecała do mnie przyjść i nie przyszła, musiała pod groźbą jawnego szantażu wpuścić Cordianiego do swego gabinetu. Wciąż spodziewała się, że Cordiani lada chwila ją opuści i że będzie mogła choć po północy przyjść do mnie, ale Cordiani wciąż rozpowiadał i rozpowiadał o tym, że ucieknie z nią do Ferrari, do swego wuja, który wyjedna od jego rodziców zgodzenie się na ich związek.

— Na myśl, co ty tam u siebie, biedaku, robisz i jak cierpisz — ciągnęła dalej Bettina — krwawiło mi się serce. Ale nic nie mam sobie do wyrzucenia!... I wierz mi, nic takiego nie zaszło, co by mnie mogło uczynić niegodną twego szacunku. O, jeśli bym zdecydowała się pozwolić Cordianiemu na to, o co może mężczyzna błagać kobietę tylko w imię płomiennej miłości<sup>76</sup> byłabym się go z łatwością pozbyła w godzinę, może szybciej jeszcze; ale — dodała, zalewając się łzami — rychlej bym wybrała śmierć niż sposób taki! Czyliż mogłam przypuszczać, że ty tam marzniesz na wietrze i w śnieżną zamieć? Oboje byliśmy pożałowania godni, lecz ja bardziej niż ty. Przeznaczenie widać chciało, abym postradała zmysły. Teraz jeszcze w głowie mi się chwilami mąci i mam wrażenie, że znowu konwulsji dostanę. Mówią, że jestem opętana przez diabła; może tak jest, może nie jest... Nie wiem! Wiem tylko, że jestem najnieszczęśliwszą pod słońcem istotą.

<sup>76</sup>jeśli bym zdecydowała się pozwolić Cordianiemu na to, o co może mężczyzna błagać kobietę tylko w imię płomiennej miłości — dosłownie u Casanovy: „Si j'avais pu me résoudre à ses sacrifices qui ne sont dus qu'à l'amour...”. [przypis tłumacza]

Przestała mówić, dając folgę<sup>77</sup> westchnieniom i szlochaniom. Byłem głęboko wzruszony, aczkolwiek czułem, że to, co mi opowiada, jest niewątpliwie prawdopodobne, nie będąc jednak w wystarczającej mierze wiarogodne. *Forse era ver, ma non pero credibile*<sup>78</sup> — jak powiada poeta. Gdy oschły nieco jej łzy, zatopiła swoje oczy w mych oczach, szukając w nich potwierdzenia odniesionego zwycięstwa. Stropilem ją, dotknąwszy nagle pewnego punktu, pominiętego przez nią, zdawało mi się, rozmyślnie, a przezornie. Spytałem ją, co mam myśleć o oczywistym udawaniu przez nią jakiegoś straszliwego cierpienia, urągającego, *comme de raison*<sup>79</sup>, wszelkim egzorcyzmem i zjawiającego się na zawołanie.

Popatrzyła na mnie jakby szklanymi oczyma, po chwili zaczęła znowu płakać, nic nie mówiąc. Od czasu tylko do czasu wyrwały się jej wyrazy przerywane chlipaniem: „O ja nieszczęśliwa! O ja nieszczęśliwa!” Sytuacja stawała się niewyraźna. Spytałem się tedy, co mogę dla niej uczynić. Odparła smutnie, że gdy serce mi nic nie dyktuje, to ona nie poczuwa się do żadnych wskazówek.

— Przyjdzie czas — dorzuciła — że gorzko będziesz żałował, iż moje cierpienia przeczytujesz za fikcję lub udanie, cierpienia, któreś ty sam na mnie sprowadził.

Po tych słowach chciała odejść. Zatrzymałem ją, aby jej oświadczyć, iż może odzyskać moje uczucie, powstrzymując się przez cały miesiąc od „demonicznych” kontorsji<sup>80</sup> i od zabiegów egzorcyzycznych pięknego *patra* Mancii.

— To ode mnie nie zależy — rzekła. — Ale skądże ten przytyk do piękności ojca Mancii? Czyżbyś przypuszczał...

— Strzeż Boże, nie bawię się w żadne przypuszczenia! I nie jestem zazdrosny, o nie! Przyznaj jednak sama, że nie czyni ci zaszczytu okoliczność, iż dziwnie jakoś skuteczniejsze okazały się egzorcyzmy pięknego dominikanina niż szpetnego jak sto diabłów kapucyna. Zresztą, jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz.

Na tym urwała się nasza rozmowa. Bettina wyszła i w kwadrans potem dom był już pełen ludzi.

Po kolacji służąca oznajmiła mi, że Bettina dostała silnej gorączki, że kazała przenieść swoje łóżko do kuchni, gdzie sypia matka, i że leży tam cała w ogniach. Gorączka mogła być oczywiście najautentyczniejsza; nie bardzo jednak w nią wierzył. Byłem przekonany, iż Bettina nigdy nie odzyska zdrowia, gdyż w takim razie miałbym prawo absolutnie nie wierzyć w jej rzekomo całkiem niewinną sielanekę z Cordianim. Że przeniosła się do matki i kazała swoje łóżko przystawić do jej łóżka, poczytywałem również za jakiś manewr strategiczny. Lecz nazajutrz gorączka wzmogła się, Bettina zaczęła istotnie majaczyć, a na czwarty dzień zdeklarowała się — ospa. Cordianiego i obu Feltrinich, którzy ospy nie przechodzili, przeniesiono natychmiast do innego domu; jam został, gdyż ospa już mi nie groziła. Nieszczęsne dziewczę chorowało tak silnie, że dosłownie wszystkie jej ciało pokryte było krostami. Leżała z zamkniętymi oczyma, a z gardłem tak ściśniętym, że przelikać mogła z trudem tylko parę kropli rozpuszczonego miodu. Przyspieszony oddech był jedyną oznaką życia. Matka prawie nie odchodziła od jej łóżka, a na mnie, siedzącego opodal za stołem i spokojnie piszącego, patrzono jak na bohatera. Biedne stworzenie bardziej podobne było do monstrum niż do ludzkiej istoty; cała głowa Bettiny była jakby spuchnięta; nosa prawie nie było widać, a obawiano się, że wzrok całkiem postrada — o ile, dodawano, da się utrzymać ją przy życiu. Nie do zniesienia była ostra bezwoń jej pocenia się, com jednak heroicznie usiłował znosić. Dziewiątego dnia ksiądz dał jej absolucję<sup>81</sup> *in articulo mortis*<sup>82</sup> i olejami namaścił, nie omieszkawszy powiedzieć, że poleca ją miłosierdziu Bożemu. Stan jej pogarszał się z dnia na dzień. Przewyciężając mężnie odrzęę i znosząc okropne powietrze napęlniające pokój, gdy wszyscy ją odstąpili, nie opuściłem jej ja. O nieobliczalności serca ludzkiego! Czy da kto wiarę? Właśnie podczas najstraszliwszego stadium tej odstraszącej choroby zbudziło się we mnie dla

Choroba, Opieka, Miłość

<sup>77</sup>*folga* (daw.) — ulga, odpoczynek; pobożanie; *dawać sobie folgę*: folgować sobie, pozwalać sobie na coś. [przypis edytorski]

<sup>78</sup>*Forse era ver, ma non pero credibile* (wł.) — Może to prawda, ale nie wiarygodna (Ariosto, *Orland szalony*, pieśń I, strofa 56). [przypis edytorski]

<sup>79</sup>*comme de raison* (fr.) — oczywiście. [przypis edytorski]

<sup>80</sup>*kontorsja* — grymas twarzy. [przypis edytorski]

<sup>81</sup>*absolucja* (z łac., rel.) — odpuszczenie grzechów. [przypis edytorski]

<sup>82</sup>*in articulo mortis* (łac.) — w obliczu śmierci. [przypis edytorski]

Bettiny to przedziwne tkliwe uczucie, które po jej wyzdrowieniu miało jeszcze mocniej opanować całe moje jestestwo.

Gdy trzynastego dnia choroby gorączka ustała, jęło rekonwalescentkę trapić nieopisane świerzbiecie po całym ciele. Żadna, zda się, siła ludzka nie mogła powstrzymać niepoohamowanej potrzeby ulżenia sobie w tej męce. Uczyniły to może słowa, którym<sup>83</sup> Bettinie nieustannie powtarzał: „Bettino! Niebawem wrócisz zupełnie do zdrowia. Pamiętaj jednak, że jeśli będziesz się skrobać, zbrzydniesz na zawsze tak, iż nikt cię kochać nie będzie!”

Niechże jaki lekarz znajdzie doskonalszy środek przeciw skrobaniu się młodej niewiasty, co wie, że z przyrodzenia jest piękna, oraz to, że jeśli się poskrobie, to piękność swą utraci!

Nareszcie... nareszcie... zaczęła Bettina przychodzić oczywiście i szybciej do zdrowia. Powieki podniosły się znad przepięknych jej oczu. Przeniesiono ją z kuchni do sypialni... Musiała jednak leżeć w łóżku aż do samej Wielkiejnocy. Upływający czas tudzież moja niewyczerpana troskliwość rozwinęły i w niej uczucie dla mnie pełne tkliwości. Odplącała mi szczyrce i bez żadnych już „incydentów”, najstateczniejszą miłością za miłość najstateczniejszą — a pomimo to nie pokusiłem się ani razu uszczknąć ów kwiat, który Przeznaczenie, sekundowane przez odwieczny przesąd, rezerwuje dla sakramentu małżeństwa.

Pozał się Boże, co też to i było za małżeństwo! Bettina poślubiła we dwa lata potem pewnego szewca nazwiskiem Pigozzo, szoldrę<sup>84</sup> pierwszej klasy, który ją unieszczęśliwił i w dodatku pograżył w nędzy, że aż brat zmuszony był zabrać ją do siebie i utrzymywać. W lat piętnaście potem, gdy doktor Gozzi został dziekanem, Bettina mieszkała przy nim w San Giorgio di Nogaro. Przybywszy tam do doktora w odwiedzin, lat temu osiemnaście, ujrzałem Bettinę postarzałą, chorą i umierającą. Na moim też rękę oddała Bogu ducha w dwadzieścia cztery godziny po moim przybyciu. Było to w roku tysiąc siedemset siedemdziesiątym szóstym.

## LUCJA

Podczas gdym był na stacji u doktora Gozziego, matka moja nagle i niespodziewanie wróciła z Petersburga. Cesarzowa Anna Iwanowna, spostrzegłszy, że słuchanie włoskiej opery nie sprawia oczekiwanej rozrywki, pozwoliła miłościwie trupie całej wracać do stron rodzinnych. Toteż wszyscy artyści pospieszyli skorzystać z „najwyższego” zarządzenia, matce zaś mojej towarzyszył podczas całego wояażu Bertinazzi, *arlecchino*<sup>85</sup>, zmarły w Paryżu w roku 1783. Natychmiast po przybyciu mojej matki do Padwy doktor Gozzi zaprowadził mnie do niej do oberży. Spożyliśmy obiad we troje, a przed rozstaniem się podarowała matka moja doktorowi bardzo piękne futro, Bettinie zaś poleciła doręczyć nie mniej piękną skórę rysia. W sześć miesięcy potem wezwała mnie do Wenecji dla pożegnania się z nią przed wyjazdem do Drezna, dokąd dostała *engagement*<sup>86</sup> dożywotni do nadwornego teatru elektora saskiego Augusta III, króla polskiego.

\*

Po dokończeniu studiów uniwersyteckich w Padwie<sup>87</sup> — a były to lata studenckie niemalosiernie hulaszce i rozwydrzone! — przybyłem do Wenecji, gdzie na życzenie mego opiekuna otrzymałem wraz z tonsurą pierwsze święcenia<sup>88</sup> Jako młodziutki „labus”

<sup>83</sup>którem (...) nieustannie powtarzał — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: które nieustannie powtarzałem. [przypis edytorski]

<sup>84</sup>szoldra (daw., z niem.) — pogardliwe o człowieku: świnia. [przypis edytorski]

<sup>85</sup>arlecchino (wl.) — arlekin, postać błazna we włoskiej *commedia dell'arte*, występująca w czarnej masce i kostiumie zszytym z kolorowych trójkątów albo rombów. [przypis edytorski]

<sup>86</sup>engagement (fr.) — angaż, umowa z artystą: aktorem lub śpiewakiem. [przypis edytorski]

<sup>87</sup>Po dokończeniu studiów uniwersyteckich w Padwie — na wydziale prawnym doktorat otrzymał Casanova w 16. roku życia po obronieniu rozprawy łacińskiej *De testamentis*, tudzież z zakresu prawa kanonicznego rozprawy na tezę: *Utrum Hebraei possint construere novas synagogas*. Zdolności i erudycji chłopakowi nie brakło... [przypis tłumacza]

<sup>88</sup>pierwsze święcenia — *les quatre ordres mineurs*, niestanowiące przeszkody do powrotu do życia świeckiego. [przypis tłumacza]

(*abbé*)<sup>89</sup> uzyskałem natychmiast wstęp do środowisk najwytworniejszego towarzystwa weneckiego. Intronizował mnie tam najzapobiegliwiej pewien stary senator nazwiskiem Malpiero.

Był to kompletny starzec, żadnego już zęba w gębie nie miał i przeto jadał niezmiernie wolno, że gdy wszyscy od stołu dawno wstali, on wciąż jeszcze siedział, żuł i nudził się. Radziłem mu, aby zapraszał współbiedniaków mogących i lubiących jeść za dwóch, w ten sposób będzie miał towarzystwo, choćby siedział nie wiedzieć jak długo za stołem. Senator w ogóle gustował w rozmawianiu ze mną i nader często mnie do siebie zapraszał. Pomimo iż go tłukły wcale dotkliwie podeszłe lata oraz podagra<sup>90</sup>, wciąż jeszcze nie mógł zdecydować się dać miłosnym sprawom za wygraną. W życiu swoim miał coś ze dwadzieścia metres<sup>91</sup>. Kiedym go poznał, panią jego serca była córka aktora, Teresa Imer. Odwiedzała go co dzień, lecz zawsze w towarzystwie matki, która co prawda za nic w świecie nie pozwoliła córce zostać aktorką — ze względów na moralność i dobre obyczaje — umiała jednak przedziwnie łączyć troskę o dobra ziemskie z troską o duchowe zbawienie. Co dzień najukochańsza córka musiała być na mszy, a co tydzień u spowiedzi, zaś po południu każdego dnia matka prowadziła ją do lubieżnego starca, który wpadał w gniew okrutny, gdy Teresa wzbraniała się go pocałować, pod pretekstem, iż rano przystępowała do komunii i boi się obrazić Pana Boga, utajonego w Przenajświętszym Sakramencie. Ja, smyk piętnastoletni, byłem jedynym świadkiem tych erotycznych scen.

Dbalność moja o elegancję usposabiała dla mnie nader życzliwie i przyjaźnie damy bywające u senatora. Brały mnie ze sobą, odwiedzając córki, zostające w klasztornych pensjonatach. Parokrotnie, bez żadnego na pozór powodu, senator Malpiero przykazywał mi, abym nigdy, broń Boże, nie odzywał się wobec ludzi lekceważąco lub uszczypliwie o moralności tych dam. Nie wypada to, źle jest widziane, obraża dobre maniere i może mi bardzo za szkodzić wśród „socjety”, której salony stanęły przede mną otworem... W ten sposób, jak mi się potem wyjaśniło, przyuczał mnie senator do dyskrecji.

Aliści<sup>92</sup> elegancja moja razila niezmiernie mego proboszcza parafialnego. Groził, że mnie... wyklnie publicznie, jeśli nie przestanę nosić włosów tak... tak... nieprzyzwoicie, wyraźnie: nieprzyzwoicie uczesanych. Puszczając te dziwne pretensje mimo uszu. Proboszcz uwziął się, przekabacił rodziną moją babkę i z jej pomocą raz, kiedym spał głęboko, ściał mi podstępnie wszystką czuprynę z przodu głowy. Lecz rezultat zawiódł najokrutniej księdza proboszcza. Senator przysłał mi zawołanego fryzjera, który taką mi skomponował koafiurę<sup>93</sup>, żem bardziej niż kiedy zadowolony był z mego wyglądu. Chciałem zemścić się, skargę do sądu podawać... Przede wszystkim zaś nie stąpić nogą do kościoła, którego proboszcz na coś podobnego mógł sobie pozwalać... Senator uspokoił mnie propozycją wręcz oszołamiającą. „Jako przewodniczący konfraterni<sup>94</sup> Przenajświętszego Sakramentu — oznajmił mi pewnego dnia — mam prawo desygnować panegirystę-kaznodzieja na czwartą niedzielę bieżącego miesiąca, na którą, jak ci wiadomo, przypada wielkie święto. Otóż zaproponowałem cię! Proboszcz nie będzie śmiał zaoponować, ręczę. No i możesz odnieść nad nim wielki tryumf! Pogrzyżć go... Jak sądzisz? Najpiękniejszą rolę daję ci do ręki”.

Byłem uszczęśliwiony i zabrałem się natychmiast do roboty, zaczerpnąwszy temat głośny z Horacego<sup>95</sup>:

*Ploravere suis non respondere favorem  
Speratum meritis... 96*

<sup>89</sup>*abbé* (fr.) — ksiądz; stąd daw. *labuś*: księżulek. [przypis edytorski]

<sup>90</sup>*podagra* — dna moczanowa, choroba charakteryzująca się nawracającymi epizodami ostrego zapalenia stawów. [przypis edytorski]

<sup>91</sup>*metresa* (przestarz.) — utrzymanka, kochanka. [przypis edytorski]

<sup>92</sup>*aliści* (daw.) — ale, jednak. [przypis edytorski]

<sup>93</sup>*koafiura* (z fr., daw.) — fryzura, uczesanie; szczególnie: wyszukana, elegancka fryzura. [przypis edytorski]

<sup>94</sup>*konfraternia* (z łac.) — bractwo. [przypis edytorski]

<sup>95</sup>Horacy, właśc. *Quintus Horatius Flaccus* (65–8 p.n.e.) — wybitny rzymski poeta liryczny, autor liryk, satyr i listów. [przypis edytorski]

<sup>96</sup>*Ploravere suis non respondere favorem...* — Żałę się okrutnie, że względy im okazywane nie odpowiadają ich zasługom [Horacy, *Listy*, ks. II, *List I*, w. 9–10; red. WL]. [przypis tłumacza]

Starość

Świętoszek

Obyczaje

Moda, Książd

Z kazaniem napisanym i wielokrotnie przerabianym udałem się do proboszcza dla uzyskania jego aprobaty. Nie było go w domu. Zostałem tylko siostrzenicę proboszcza, Angele, i zakochałem się w niej.

Siedziała za robótką przy krosienkach, a gdym zajął miejsce obok niej, zaczęła ze mną grzecznie rozmawiać, wyrażając przyjemność poznania mnie, o którym nieraz słyszała, i prosiła, abym opowiedział, jak też to jej wielce szanowny wuj pozbawił mnie mego tupetu. Rychło też wrócił proboszcz i zdawało mi się, iż rad jest, że poznaję jego siostrzenicę, będącą mniej więcej w wieku moim. Wziął moje kazanie, przeczytał i orzekł, że owszem, jest to bardzo nawet ładna rozprawka akademicka, lecz że kazaniem nie jest wcale. Chciał mi dać któreś ze swoich kazań do wygłoszenia, ale odrzucił. Dysputowaliśmy kilka dni na ten temat, aż wreszcie na wyraźne życzenie senatora uznałem się za pokonanego. Sukces jednak kaznodziejski odniosłem duży; byli nawet tacy, co przepowiadali, iż na świat cały zasłynę. W kwestarskiej torebce, z którą zakrystian obchodził wiernych, znalazło się dla mnie 50 listów i kilka bilecików miłosnych. Po tak obfitym żniwie zdecydowałem się poświęcić się zawodowo kaznodziejstwu, o czym oznajmiłem proboszczowi. Pochwalał moje postanowienie i upoważnił mnie do odwiedzania go co dzień, abym z jego wskazówek mógł jak najobficiej korzystać. Mogłem tedy widywać się z Angelą aż nadto często, co uczyniło, że się w niej rozmiłowałem na zabój.

Angela była cnotliwa. Pozwalała się kochać, lecz zarazem obstawała przy tym, abym wystąpił z szeregów kleru i pojął ją za żonę. Pomimo mego gorącego dla niej afektu perspektywa taka nie uśmiechała mi się do zbytku; pilnie przesiadywałem u proboszcza, nie tracąc nadziei, że uda mi się odmienić zbyt prostolinijne poglądy pani mego serca. Nie miały się, niestety, spełnić te moje piękne plany i marzenia!

Proboszczowi podobało się moje kazanie do tego stopnia, że polecił mi wygłosić słowo Boże w dniu św. Józefa. Gdym mu je przeczytał, wpadł w najpochlebniejszy dla mnie zachwył. Młody i zarozumiały, wyobraziłem sobie, że nie potrzebuję wcale uczyć się na pamięć tego, com napisał; zdawało mi się, że wystarczy zapamiętać tylko „tok myśli”; zresztą nie było jeszcze wypadku, abym kiedy w towarzystwie zapomniał, jak to się mówi, języka w gębie... tedy wierzyłem święcie, że potrafię wybrnąć zwycięsko z każdej chwilowej trudności, improwizując spokojnie dalej. Lekkomysłność ta wyplatała mi fatalnego figła.

Byłem akurat dobrze się najadł, gdy zawołano mnie do kościoła. Prosto od stołu, z pełnym żołądkiem i ciężką głową wszedłem na kazalnicę. Początkowo szło jeszcze wszystko ładnie i składnie; powoli jednak zaczynałem tracić wątek... jąkać się... do uszu moich doleciały jakieś szmery, zdawało mi się, że tłumiono parsknięcia śmiechem; straciłem zupełnie głowę. Czy faktycznie zemdlałem, czy tylko użyłem tak heroicznego wybiegu — nie potrafię powiedzieć; dość że upadł i że zakrystian z organistą zawiedli mnie czy zanieśli z wielkim trudem do zakrystii. Nie rzekłszy nic, poszedłem na plebanie, zapakowałem tłumok i pojechałem do Padwy, zdawać ostateczny egzamin uniwersytecki. Wróciłem do Wenecji jako dyplomowany doktor obojga praw. O tym, co mi się przytrafiło, nie pamiętał nikt; ale też i o zawodzie kaznodziejskim nie było już mowy.

Angela wciąż była panią mego serca, zaś jej nadzwyczajna powściągliwość ekscytowała mnie nad wszelki wyraz. Miłość moja była jedną katuszą. Mój ognisty temperament łaknął wzajemności, pożądał kochanki w rodzaju Bettiny, która by miłość moją zaspokajała, nie zaś gasiła. Byłem jeszcze sam niewinny, przeto też czciłem Angelę jak świętą, wszelako jej oschłość, jej nadzwyczajna rezerwa były dla mnie okrutną torturą. Wpatrzony tylko w nią, nie widząc oprócz niej nic na świecie Bożym, anim uwagi nie zwracał, że moje płomienne przemówienia do Angeli impresjonują<sup>97</sup> niepomiernie dwie jej przyjaciółki, siostry rodzone, młodsze od niej, o wiele od niej ładniejsze i uczuciowsze, czegom też naturalnie nie spostrzegł. Byłem jak ślepy, raczej zaślepiony do niemożliwości. Na wszystkie moje błagania i zakłęcia Angela odpowiadała, że zgadza się bez zastrzeżeń zostać moją żoną, lecz największą było łaską z jej strony... wyznanie, iż cierpi tyle, co i ja.

W takim to nastroju otrzymałem zaproszenie hrabiny Monte Reale do Poseano, gdzie miała zebrać się elita towarzyska, spragniona zabaw i rozrywek wiejskich. Jakoż<sup>98</sup> życie

Upadek

Miłość niespełniona

<sup>97</sup>impresjonować — wywierać wrażenie, zwracać uwagę. [przypis edytorski]

<sup>98</sup>jakoż (przestarz.) — spójnik akcentujący, że coś, o czym mowa wcześniej, jest prawdziwe, zaszło lub spełniło się; i rzeczywiście, i w samej rzeczy. [przypis edytorski]

tam popłynęło hucznie i wesoło, a ja w jego wirze i gwarze zapomniałem — choć na czas pewien — o nieubłaganej mojej Angeli.

Przeznaczono dla mnie w pałacu śliczny pokój parterowy, wychodzący oknami na ogród. Kiedym z rana otworzył oczy, ujrzałem przed sobą zachwycającą istotę przynoszącą mi kawę. Było to młodziutkie dziewczę, ale rozwinięte jak panna co najmniej szesnastoletnia; miała jednak zaledwie lat czternaście. Wszystko było w niej skończenie piękne: pleć alabastrowa, włosy hebanowe, iskrzące się, a jednak pełne niewinności i naiwności, duże czarne oczy, sposób czesania się, ubiór, składający się z koszuli tylko oraz sięgającej po kostki spódniczki, cudnie utoczona noga o malutkiej stopce... słowem wszystko w niej było zachwycające i harmonijne. Wpatrywałem się w nią z najżywszą ciekawością, ona też przyglądała mi się bacznie, ale z wyrazem w oczach takim, z jakim się patrzy na dobrego znajomego.

— Czy wygodnie się spało? — odezwała się.

— Przewybornie! Ręczę, że ślały mi pościel te oto rączęta. A pani kto?

— Ja jestem Lucja, córka tutejszego portiera. Dobrze, że pan nie wziął z sobą służącego; będę panu usługiwała i spodziewam się, że pan będzie ze mnie zadowolony.

Uszczęśliwiony z tej introdukcji<sup>99</sup>, zerwałem się z łóżka i Lucja jęła mi pomagać w ubieraniu się, paplając przy tym to o tym, to o owym, czegom często wcale nie rozumiał. Zaczynam pić kawę, sam nie mniej zażenowany niż ona, a zarazem olśniony urodą, wobec której nikt pod słońcem nie mógłby być obojętny. Usiadła przy łóżku na krzeselku, usprawiedliwiając tę poufałość czarującym uśmiechem. Piłem jeszcze kawę, gdy do pokoju weszli ojciec i matka Lucji. Nie podniosła się; zdawała się być dumna, że wolno jej siedzieć w moim pokoju. Rodzice Lucji, zacni jak widać ludziska, pogderali ją z lekka, przeprosili mnie za poufalenie się córki, która też zaraz wyszła. Natenczas ojciec i matka zaczęli mi ją wychwalać:

— To nasze jedyne dziecko — mówili — nasze oczko w głowie, a dobra, a miła! Kocha rodziców, posłuszna i bogobojna; zdrowa przy tym jak rydz i ma, naszym zdaniem, jedną tylko wadę.

— A jaką, jeśli wolno spytać? — wtrąciłem.

— Za młoda!

— O, feler to wprost uroczy, z którego zresztą sam czas ją uleczy.

Rychło też mogłem się przekonać, że mam przed sobą pocziwych z kośćmi ludzi, istne upostaciowanie cnót domowych, szczeroci i cichego szczęścia. Gdym rozkoszował się tymi przeświadczeniami, Lucia wróciła wyświeżona, uczesana, umyta, ubrana, elegancko obuta i wesoła jak szczygieł. Ucałowała rodziców i skoczyła ojcu na kolana. Zaproponowałem, aby usiadła na moim łóżku, czego uczynić nie chciała, utrzymując, że zbyt wielki byłby to zaszczyt dla niej. Uśmiechnąłem się, zachwycony jej prostotą i niewinnością. Biłem się z myślami: czy bardziej do twarzy jej w negliżyku czy też w sukience, i gotów byłem przyznać, że w sukience. Słowem, zataić przed sobą samym nie mogłem, że Lucja stokroć ma więcej powabu i wdzięku niż Angela, ba, niż go miała Bettina.

Przyjście fryzjera spłoszyło zasną i sympatyczną rodzinę; poszli sobie wszyscy, ojciec, matka i córka, ja zaś skończyłem się ubierać i udałem się na salony złożyć atencję<sup>100</sup> hrabinie i jej córce. Dzień upłynął niezmiernie wesoło, jak zresztą zwykle na wsi wśród towarzystwa umiającego się bawić.

Nazajutrz, gdym się przecknął i zadzwonił, zjawiła się momentalnie Lucia, równie czarująca, pełna prostoty i naturalności jak poprzedniego dnia i znowu nie mogłem wyjść ze zdziwienia, że tak cudny kwiat mógł zakwitnąć w samotnej izdebce portiera.

Przedziwny urok miała jej pełna swobody i naiwności rozmowa. W głowie mi się pomieścić nie mogło, że tak cnotliwe, uczciwe, a bynajmniej nie głupie stworzonko obcuje ze mną tak poufale, nie obawiając się mojej wrażliwości, wystawionej na ciężką próbę. A może nie przywiązuje żadnej wagi do niewinnej na pozór swawoli? Lub też przeciwnie, nie ma już żadnych zgola skrupułów? Nie poczuwałem się do żadnych obowiązków względem jej rodziców, którzy, jak sądziłem, też zdecydowani są patrzeć przez palce na

<sup>99</sup>introdukcja (z łac.) — wstęp. [przypis edytorski]

<sup>100</sup>atencja (przestarz., z łac.) — względy, szczególna uwaga; szacunek, poważanie; czynić, składać atencję: okazywać komuś szacunek w widoczny sposób, składać komuś uszanowanie, przychodzić z wizytą. [przypis edytorski]

Uroda

Córka, Cnota, Małżeństwo,  
Czas

Erotyzm

postępowanie córki; nie postawało mi w głowie, że pierwszy prześliczną jej niewinność spłoszę i ciemny płomień zła w duszy jej zapalę; nie chcąc tylko być wystrychniętym na dudka ani też z drugiej strony roztkliwiać się bez racji i powodu, postanowiłem uzyskać pewność. Sięgam śmiało ręką... ona mimo woli cofa się, cała zapłomieniona; pustota jej znika, odwraca głowę i widocznie czeka, aż zażenowanie przeminie. Wszystko to trwało chwilę. Podeszła znów do mnie, jakby zawstydzona, że była dla mnie nieuprzejma lub że nie poznała się na charakterze gestu, który mógł być całkiem niewinny albo też bynajmniej nie sprzeczny z dobrymi manierami. Poczęła znowu śmiać się najrzetelniej w świecie i ponieważ czytałem w jej duszy jak w otwartej księdze, pospieszyłem ją uspakajając. Swoją drogą sam zrozumiałem, że posunąłem się zbyt daleko i postanowiłem następnego dnia wy badać ją ściślej.

Stosownie też do tego postanowienia podchwyciłem nazajutrz jakąś jej uwagę dotyczącą chłodnej pogody i zaproponowałem: niech położy się przy mnie na łóżku, to chłód pokojowy nie będzie jej dokuczał.

— Niewygodnie będzie panu! — odrzekła.

— Bynajmniej. Tylko twoja matka byłaby niezadowolona, jeśliby przypadkiem tu weszła.

— Ejże! Na myśl by jej nic złego nie przyszło.

— No, to chodź! Ale czy ty wiesz, Luciu, na co się narażasz?

— Wiem, ale przecie pan będzie grzeczny! I pan w dodatku *abbé*.

— No, to chodź. Przede wszystkim jednak zamknij drzwi.

— O, co to, to nie! Mógłby kto pomyśleć... Zresztą, albo ja wiem?...

Nareszcie zdecydowała się położyć przy mnie i rozgadała się na dobre; o wszystkim... nawet o sprawach zgoła niemających dla mnie sensu. Byłem mocno podekscytowany niezwykłością sytuacji; powstrzymywałem całą siłą łatwe do zrozumienia pożądanie i miałem minę najgłupszą w świecie. Spokój i ufność dziewczyny, z pewnością niezabawiającej się w żadne udawanie, wręcz mi imponowały i byłbym się wstydził rozproszyć jej spokój i ufność. Nagle zerwała się, wołając, że już dziesiąta wybiła i że niech no stary hrabia Antonio zejdzie na dół i nas zobaczy, sypać będzie docinkami, których by chciała nad wszystko uniknąć. „Na sam jego widok zmykam!” — rzekła wesoło i znikła z pokoju.

Leżałem nieruchomo, cały we wzburzeniu zmysłów, jak oszołomiony, nadaremnie usiłując zdać sobie jasno sprawę z tego, co zaszło.

Na drugi dzień, pragnąc mieć święty spokój, rozmawiałem z nią długo, siedzącą na moim łóżku, i przekonałem się, iż słusznie bardzo ubóstwiają ją rodzice, gdyż cała jej pewność siebie, swoboda w obejściu się ze mną i pustota wypływają u niej wyłącznie i jedynie z niewinności oraz z czystości duszy. Jej naiwność, jej ciekawość, rumieńce, którymi się oblewała, gdy m parskałem śmiechem, słuchając przekomicznych rzeczy, które mi opowiadała, nie domyślając się nawet ich dwuznaczności — wszystko a wszystko utwierdzało mnie w przekonaniu, że Lucja jest aniołem, którego dobrej wiary i nieświadomości niechybnie nadużyje pierwszy lepszy rozpustnik. Drżałem na samą myśl o tym, zaś co do mnie, sama ambicja nie pozwalała mi uczynić najlżejszej krzywdy dziewczęce, której rodzice rozpyliwali się nad moją moralnością. Byłbym się poniżył w oczach własnych, zdradzając jej bezgraniczne zaufanie. Postanowiłem tedy święcie panować niezłomnie nad sobą, poczytując samą już tylko obecność Lucji za hojną nagrodę za moje heroiczne wysiłki. Niestety! Zapomniałem o niezbitym aksjomacie, że dopóki walka trwa, nikt nie powinien być pewny zwycięstwa.

Znajdując w rozmowie z nią wszelkie upodobanie, poprosiłem, aby przyszła do mnie wcześniej niż zwykle, budząc mnie nawet, jeżelibym jeszcze spał. Poparłem moją prośbę zapewnieniem, że im krócej sypiam, tym lepiej się miewam. Tym sposobem doprowadziłem do tego, że rozmowy nasze zamiast dwóch godzin trwały godzin czasem pełnych trzy, przelatujących, rzecz prosta, jak mgnienie oka. Matka jej, bywało, wejdzie, podczas gdy rozmawiamy; popatrzy, że Lucja siedzi na moim łóżku i tylko podziwia moją dobroć i uprzejmość. Lucja rzuca się ją całować i dobra kobiecina nuż prosić, abym córkę w dalszym ciągu kształcił, zaprawiając ją do poznawania wszystkiego, co dobre i piękne. Po wyjściu matki Lucja nie zmieniała ani tonu, ani zachowania się... Obcowanie z tą anielską istotą sprawiało mi tortury nieopisane i niewymowną zarazem rozkosz. Często, gdy twarz jej była tak blisko, tak blisko ust moich... musiałem ze wszystkich sił powstrzy-

Pożądanie, Erotyzm

Pożądanie



mywać się, aby nie okryć jej pocałunkami i krew uderzała mi do głowy, gdy mówiła, że chciałaby bardzo być moją siostrą. Lecz nie traciłem panowania nad sobą i unikałem jak ognia najłżejszego nawet jej dotknięcia, wiedząc aż nadto dobrze, że pierwszy pocałunek wysadzi w powietrze cały mozolnie wnoszony gmach abstynencji. Po jej odejściu sam nie chciałem wierzyć własnemu zwyczajstwu, a spragniony coraz to obfitszych laurów, oczekiwałem z szaloną niecierpliwością dnia następnego, aby rozpocząć znów niebezpieczną a rozkoszną walkę.

Po dniach dziesięciu czy dwunastu stanąłem wobec alternatywy: albo kres wszystkiemu położyć, albo zostać zbrodniarzem. Zdecydowałem się na pierwsze, tym łatwiej, ponieważ wiedziałem, że Lucja będzie się broniła bohatersko do ostateczności, a drzwi pokoju otwarte i okryję się tylko wstydem. Na samą myśl gorąco mi się robiło. Lecz z drugiej strony: jak zakończyć rzecz całą, jak zerwać? Przecie niepodobieństwem jest oprzeć się cudnej istocie, co o świecie przychodzi do twego pokoju, siada ci na łóżku, rozmawia z tobą niemal twarz przy twarzy, jakby ci wyrazy ustami na usta kładła... Odwracałem głowę. Wtedy mi ona czyniła ironicznie wymówki, że boję się! Ja na to: „Nie boję się dzieciaka!” A ona: „Wielki mi dzieciak! O dwa lata tylko młodszy od pana!” Sytuacja stawała się bez wyjścia. Tedy postanowiłem poprosić ją, aby więcej nie przychodziła. Postanowienie wydało mi się szczytem bohaterstwa i wyobrażałem sobie, że skuteczniejszego sposobu przerwania całej historii nie mogłem wymyślić. Miało być w czyn wprowadzone nazajutrz. Łatwo pojąć, jak okropną spędziłem noc. Miałem z Lucją widzieć się ostatni raz!... Wyobrażałem sobie, że urosnę w oczach jej na bohatera i że do końca życia czcić mnie będzie i szanować.

Nazajutrz, zaledwie słońce się pokazało, wbiegła do mego pokoju Lucja, promieniująca szczęściem, cudna w nieładzie rozpuszczonych włosów; podbiegła do mego łóżka — i stanęła jak wryta. Uśmiech znikł z jej ustek i jakaś serdeczna troska zamgliła jej wzrok. Tak podziałał na nią mój wygląd, moja bladość, moje podkrążone oczy.

— Co panu jest?

— Nie zmrużyłem oka przez całą noc.

— Dlaczego?

— Myślałem. I powziąłem zamiar dla mnie nieopisanie ciężki, lecz który sądzę, że wysoko mnie postawi w oczach pani.

— Jeżeli ma panu zapewnić mój wysoki szacunek, to powinien pana nie smuć, lecz przeciwnie, cieszyć... Ale, ale, powiedzcie mi, mój panie *abbé*, dlaczego to mówicie dziś tak ceremonialnie do mnie „pani”, kiedyście dotąd mnie tykali? Czy was czym uraziłam? Lecę po kawę... a potem mi wszystko powiecie.

Przynosi kawę; ja jestem pochmurny i zaszępiony; tedy stara się mnie różnymi figlami rozweselić. Powiada wreszcie, że chciałaby nie utracić jednego słowa z tego, co jej mam powiedzieć i przeto prosi pokornie... o miejsceczko przy mnie. Za chwilę miałem ją obok siebie. Życie we mnie zamarło. Zacząłem wyluszczać jej całą gwałtowność mej miłości tudzież nieznośne katusze, pastwiące się nade mną z racji, że nie mogę i nie chcę złożyć jej dowodów mojej miłości. Przeto — zakończyłem — proszę ją najusilniej... nie pokazywać mi się więcej na oczy! Czulem, że mówić bardzo, pięknie i bardzo przekonująco. Spłakałem się. Lucja rzuciła się z chusteczką do mych oczu, nie bacząc, że prędkim ruchem ręki odsłania wszystkie cuda swych piersi, zdolnych wytrącić z równowagi najzapamiętałego ascetę. Po krótkiej scenie niemej prześliznęła dziewczęcą rzekło mi, że łzy moje sprawiają jej niewymowną przykrość i że darować sobie nie potrafi, iż je wywołała.

— Nie wątpię — ciągnęła dalej — że mnie pan kocha gorąco i statecznie, pojąc tylko nie mogę, dlaczego miłość ma być źródłem cierpienia i niepokojów. Co do mnie, to, że mnie pan kocha, sprawia mi ogromną przyjemność. Chcesz mnie pan nie widzieć więcej? Tęgo może sobie życzyć ktoś nienawidzący! Za cóż mam być ja karana? Za to, że się panu podobam? Czy istotnie grozi nam niebezpieczeństwo — nieuniknione? Oczywiście, pierwszy lepszy głupiec, ciemny jak tabaka w rogu, nie potrafiłby wybrnąć z ciężkiej istotnie sytuacji, ale pan! Pan jest mądry i rozważny, prawda? Ach!... Przybiegłam tu dziś do pana taka rada, taka szczęśliwa! A może to nie jest miłość, ponieważ napawa mnie radością, nie zaś czarną melancholią? Dziś w nocy wciąż mi się pan śnił. Śniłam, że jestem

blisko... blisko... pana. Obudziwszy się, starałam się prędko, prędko usnąć, aby znowu we śnie być przy panu. Drogi, kochany labuśku! Jeśli miłość dla mnie zdręczy cię na śmierć, to już wolę raczej, abyś nie kochał mnie i żył, niż żebyś miał kochać mnie i z tego kochania umierać. A może znajdzie się jaka droga pośrednia?... Pomyśl pan dobrze. Gdyż zamiar, któryś powziął, jest dla mnie doprawdy zbyt bolesny. Wymyśl pan rzecz... wykonalną i ufaj święcie Lucji.

Ta naturalna i naiwna mowa dała mi poznać całą wyższość przyrodzonej elokwencji<sup>101</sup> nad filozoficznymi mędrkowaniami. Po raz pierwszy przycisnąłem do serca boską tę dziewczynę, mówiąc jej:

— O najdroższa! W twojej mocy użyć najstraszliwszym mękom, które znoszę. Daj, niech gorącymi pocałunkami okryję te cudne usta twoje, zapewniające mnie, że mnie kochasz.

Spędziliśmy tak godzinę całą w rozkosznej ciszy, przerywanej tylko od czasu do czasu wykrzyknikiem Lucji: „Ach, mój Boże, to chyba sen, to chyba sen!” Nie przestawałem atoli pilnie strzec się, aby niewinność jej krzywdy nie zaznała, może właśnie dlatego, że Lucja oddawała mi się całkowicie, nie stawiając najmniejszego oporu. W końcu, łagodnie oswobadzając się z mych objęć, rzekła zaniepokojona: „Serce moje zaczyna zbyt głośno przemawiać, muszę już iść...” — i zerwała się natychmiast na nogi.

Poprawiła sukienkę, usiadła... Za chwilę weszła jej matka, osypała mnie komplementami z racji mego świetnego wyglądu i rumieńców na twarzy, córce zaś poleciła iść przebrać się natychmiast, gdyż spóźni się na mszę. Po godzinie Lucja wróciła do mego pokoju. Powiedziała mi, że nieopisanie jest szczęśliwa, iż udało się jej dokonać cudu, mianowicie uczynić tak, aby miłość dawała mi zadowolenie i odświeżenie, nie zaś udrękę i rozdrażnienie. „Jeżeli — dodała — mogę ci dawać zupełne szczęście, to używaj; nic nie mam ci do odmówienia”.

Zostawiła mnie między upojeniem a śmiertelną trwogą. Widziałem jasno, że „stoję na brzegu przepaści, w którą mogę runąć lada dzień, lada chwila”.

Cały wrzesień przebyłem w Poseano, spędzając jedenaście czy dwanaście ostatnich nocy na spokojnym i swobodnym posiadaniu Lucji. Upewniwszy się, że matka śpi twardo, przychodziła do mnie na całe godziny najrozkoszniejszych upojeń. Walka z najostrożniejszą pokusą zamiast wyczerpywać mój zapal, dolewała tylko oliwy do ognia. Lucji smakował owoc zakazany tym bardziej, im bliżej go do ust podnosiła; nieustanne widywanie się ze mną nie mogło nie oddziaływać silnie na młodziutką dziewczynę, która starała się wyprowadzić mnie w pole, dowodząc, że uzyskałem już literalnie wszystko, czym obdarzyć mnie mogła. Nie wiedziałem, oczywiście, czego się trzymać i udało mi się do końca mego widywania się z Lucją nie ulec całkowicie najczarowniejszym w świecie pokusom.

Odjeżdżając z Poseano, obiecałem, że wrócę na wiosnę. Gdym na wiosnę tam istotnie przybył, dowiedziałem się z przerażeniem, że uciekła w świat z laufrem<sup>102</sup> hrabiego.

— Uwiódł ją! — opowiadała mi, łkając jej matka. — Dopiero po jej ucieczce domyśliliśmy się przyczyny jej nadmiernego w ostatnich czasach tycia.

— Od dawna się widywali?

— Poznała go w jakiś miesiąc po pańskim odjeździe. Musiał chyba urok rzucić na nią, na naszą gołąbkę najmilszą i najczystsza. Bo że to była najczystsza gołąbka, pan chyba wie najlepiej...

Byłem zgryziony. Nie śniło mi się być arcydumnym z mojej powściągliwości. O! bynajmniej... Sumienie mi jednak czyniło dotkliwie wyrzuty, żem dziewczynę, obudziwszy w niej zmysły, wpędził w objęcia tego nicponia, a może nawet łajdaka. Dopiero po dwudziestu z czymś latach miałem przekonać się, ilem złego narobił. Podczas pobytu mego w Amsterdamie poszedłem raz do *music-halle*'u, gdzie nie tylko na scenie, lecz i po widowni kręciło się mnóstwo „takich” kobiet. Gdy przypadkiem mój towarzysz głośno wymówił moje nazwisko, zbliżyła się do nas szybko jedna z nich. Pomimo słabego oświetlenia poznałem Lucję. Nieszczęsna istota była ordynarną podwiką<sup>103</sup> portową, skancerowaną przez rozpustę i choróbska, odrażającą, wstrętną...

<sup>101</sup>elokwencja — zdolność do efektownych i przekonujących wypowiedzi. [przypis edytorski]

<sup>102</sup>laufer (z niem.) — goniec, biegnący przed orszakiem wielkopańskim. [przypis edytorski]

<sup>103</sup>podwika (daw.) — dziewczyna, kobieta. [przypis edytorski]

## ANNITA I MARIETTA

We dni kilka po powrocie moim do Wenecji znowum był po uszy zakochany w Angeli, z którą obiecywałem sobie zająć tak daleko, jak z Lucją. Obie jej przyjaciółki, uczęszczające z nią razem na lekcję szycia, były wtajemniczone we wszystkie jej sprawy, a ponieważ dziwiły się srogości Angeli, przeto spowiadałem się przed nimi ze wszystkich moich utrapień, malując miłość moją dla Angeli w najpłomienniejszych wyrazach, czego bym się w jej obecności nigdy uczynić nie ośmielił. Prawdziwa miłość jest bowiem zawsze nieśmiała; z obawy, aby nie być posądzonym o przesadę, mówi się często zbyt mało...

Nauczycielka szycia, stara dewotka, zwróciła uwagę wuja Angeli na moje wizyty — zbyt częste. Zaimpresjonował się tym i pewnego dnia dał mi wyraźnie do zrozumienia, że siostrzenicę jego kompromituje. Spadło to na mnie jak piorun z jasnego nieba. Lecz przyjaciółki mojej ukochanej znalazły sposób zażegnania nieszczęścia. Były same sierotami i mieszkały u ciotki, niejakiej pani Orio, najwyborniej, urodzonej, lecz niebogatej. Marzeniem było zacnej damy zostać członkinią Bractwa Przenajświętszego Sakramentu, do którego cisnęła się sama śmietanka arystokracji. Dowiedziawszy się od Angeli, że pozostają w zażyłych stosunkach z senatorem Malpiero, przewodniczącym bractwa, pani Orio nie miała nic pilniejszego, jak zaprosić mnie do siebie, pomimo nawet, że podejrzewała mnie o zalecanie się do jednej ze swych siostrzenic, co była jej Angela wzmówiła. Takim rzeczy składem poznałem panią Orio i jej starego przyjaciela, prokuratora Rosę. Za pośrednictwem Teresy Imer wyjednałem u senatora wpisanie pani Orio do bractwa i stawilem się w jej progi z tą radosną wieścią.

Aliści zaledwem drzwi uchylił, Annita daje mi sekretnie bilecik, prosząc, bym go przeczytał przed opuszczeniem ich domu. Pani Orio, uszczęśliwiona i niewiedząca, jak mi dziękować, uściskała mnie dwa razy — na co pozwoliła sobie jako starsza ode mnie o lat trzydzieści, według jej słów, a w rzeczywistości co najmniej o czterdzieści pięć. Natychmiast oddalam się do pustego pokoju i czytam:

„Ciotka zaprosi pana na kolację. Proszę odmówić; proszę pożegnać się i wyjść, gdy będziemy siadali do stołu. Marietta przeprowadzi pana aż do drzwi wychodzących na ulicę. Niech pan nie odchodzi. Gdy wszyscy będą sądzili, że pan poszedł, niech pan wejdzie cichaczem na trzecie piętro. Skoro prokurator Rosa pójdzie sobie do domu, a ciotka położy się spać, my przyjdziemy tam na górę. Najprawdopodobniej będziesz pan mógł porozmawiać z Angelą sam na sam”.

Co za szczęście!

Wróciłem, jak gdyby nic, do salonu, gdzie pani Orio jęła znowu dziękować mi i dziękować, po czym oznajmiła, że odtąd mogę bywać w jej domu, kiedy i jak mi się spodoba, na prawach zażyłego przyjaciela. Od kolacji wymówilem się składnie; nie Marietta jednak przeprowadziła mnie ze świecą do wyjścia, lecz Annita, na wyraźne polecenie pani Orio, przekonanej, że właśnie Annita, nie zaś Marietta wpadła mi w oko. Zatraskujemy drzwi, głośno, raz i drugi, aby wątpliwości być nie mogło, że sam poszedłem... Annita gasi światło i idzie na górę, zostawiając mnie na schodach w ciemności. Po pewnym czasie wdrapuję się cichutko na trzecie piętro i w pustym pokoju rozsiadam się na kanapie, oczekując z bijącym sercem na przeznaczone *tête à tête*<sup>104</sup>.

Siedziałem tak z dobrą godzinę, tonąc w lubych marzeniach. Nareszcie drzwi skrzypnęły raz, skrzypnęły drugi i wbiegają do pokoju obie siostry — i Angela. Biorę ją za obie ręce, nikogo oprócz niej nie widzę, przygarniam ku sobie i rozmawiam z nią godzin pełnych parę. Bije północ. Annita i Marietta są niepokieszone, że... kolacji nie jadłem; zaklinam się, że w chwilach tak nieopisanego szczęścia nie czułbym najostrejszego nawet głodu. Dzieweczki wówczas oświadczają mi, że jestem uwięziony, bowiem ciotka bierze klucz od wyjścia na ulicę pod poduszkę. I śpi. Dopiero będę wolny, gdy ciotka wyjdzie na prymarię<sup>105</sup>. Rzekłem, iż myślę się srodze, sądząc, że to mnie smuci lub przeraża. Przeciwnie, jestem w siódmym niebie, mając przed sobą bitych pięć godzin do szczęścia z ukochaną.

Upłynął czas pewien. Nagle Annita zaczyna się śmiać i coś szeptać do ucha Angeli, ta Mariecie; zaczynają śmiać się wszystkie trzy. Zaintrygowany pytam, o co chodzi. Annita

<sup>104</sup>*tête à tête* (fr.) — sam na sam; spotkanie tylko we dwoje. [przypis edytorski]

<sup>105</sup>*prymaria* — pierwsza msza poranna. [przypis edytorski]

robi grobową minę i oświadcza, że oto świeca dopala się, drugiej nie ma, i że za chwilę będziemy siedzieli w zupełnej ciemności. Nie dałem poznać po sobie, jak ucieszył mnie ten skład błogosławionych okoliczności i odparłem, że w takim razie niechże spokojnie obie idą spać, a my z Angelą nawet w zupełnej ciemności przykrzyć sobie nie będziemy. „A co będziecie robili?” — „Będziemy rozmawiali”.

Angela odzywała się mało. Ja natomiast, nabrawszy kurażu<sup>106</sup>, osypywałem ją najplomienniejszymi wyznaniem, które — o dziwo! — zaczynały wywierać nieskończenie silniejsze wrażenie na obu siostrach niż na mojej bezpośredniej partnerce. W pokoju nie było wcale gorąco... niemniej czułem, jak mi chwilami występował na skronie pot kroplisty. Ogarek świecy dopalał się do reszty. Angela podniosła się z miejsca, zabrała lichtarz i wyniosła go do przyległego pokoju. Wróciła, lecz nie na dawne swoje miejsce obok mnie. Nadaremnie wykonywałem w ciemności najszersze ruchy obiema rękoma — była nieuchwytna. Manewr taki trwał dość długo, żem zaczął błagać, prosić, aby wróciła na dawne swoje miejsce, a wreszcie — gniewać się na dobre. Nic nie pomogło. Angela uważała, iż nie wypada siedzieć w ciemności zbyt blisko mnie, wreszcie radziła, abym położył się na łóżku i próbował zasnąć. Odrzuciłem w oburzeniu tę propozycję i podniósłszy się wśród ogólnego śmiechu zacząłem — grać w ciuciubabkę. Angeli wciąż jednak ując w żaden sposób nie mogłem. Wciąż mi padały w objęcia to Annita, to Marietta, którem po kolei puszczał... jak skończony idiota! Miłość do Angeli i tradycyjne uprzedzenia nie pozwalały mi rozumieć, jaką okrywałem się w ich oczach śmiesznością... Gonilem wciąż i gonilem za Angelą, w głębi duszy wściekły, że żadną miarą pochwycić jej nie mogę. Nareszcie zmęczony i zły dałem pokój, usiadłem i zacząłem z nią z oddali rozmawiać. Do przebudzenia się ciotki, do jej wyjścia z domu pozostawała przeszło godzina. W żalności mojej zacząłem czynić Angeli najostrzejsze wymówki, potem oziębłość jej wprost przeklinać, potem zapamiętałem się całkowicie i powiedziałem jej tysiące niemal obelg, tak się we mnie wszystka krew burzyła. W końcu zagroziłem, że śmierć sobie zadam, głos mi się załamał i lzy rzuciły mi się z oczu. Zakryłem twarz rękami i długo siedziałem niezdolny słowa wymówić: gdym głowę podniosłem, spostrzegłem w bladej szarości przedświtku wszystkie trzy dziewczynki, siedzące pod ścianą i płaczące jak bobry. Boże! Cóżem uczynił! Wyrządziłem przykrość nad przykrościami trzem istotom tak lubym, tak przeżyłem! Rzuciłem się przeproszać, błagać o przebaczenie... Ciotka wychodziła — trzeba było korzystać z chwili. Na wół przytomny, pożegnałem się, zbiegłem na dół i ulotniłem się.

Przez czas dłuższy nie chodziłem do pani Orio wcale. Wezwał mnie jej uprzejmy bilecik. Angeli nie zastałem, natomiast obie milutkie siostrzyczki dokładały najusilniejszych starań, aby zabawić mnie i rozerwać. Gdym się żegnał, Annita wsunęła mi liścik od Angeli. „Jeżeli ryzykuje pan spędzić jeszcze jedną noc w moim towarzystwie, to proszę przyjść... Nie będzie się pan uskarżał, gdyż kocham Pana i z całej duszy pragnę usłyszeć z Jego ust, że kochać mnie pan będzie, choćbym to uczyniła, na co kobieta narażać się nie powinna”. W dopisku było kilka słów Annity, popierającej gorąco prośbę Angeli. List uradował mnie bardzo. Myślałem: dam dobrą nauzkę upartej i skruszonej dziewczynie!

Idąc do pani Orio, wziąłem z sobą parę butelek wina cypryjskiego i ozór wędzony. Ku zdumieniu memu mojej „okrutnej” nie zastałem. Miała przyjść później i — nie przyszła wcale, na com ani myślał się uskarżać. Zwykłym trybem doczekałem na schodach, aż spożyto kolację i pani Orio udała się na spoczynek, i za chwilę byliśmy na górze we troje: Annita, Marietta i ja. Pogawędziliśmy, a potem panny uprojektowały, że ja położę się spać na łóżku, one zaś obie w przyległym pokoju na ogromnej, staroświeckiej kanapie. Nawzajem zaproponowałem spożyć dary Boże, którem przyniosłem. Zgodzono się chętnie; dziewczynki przyniosły trzy nakrycia, ser parmezański, chleba, wody... Wino, do którego nie były przywykłe, poszło im do głowy, podniecając wyborny humor. Dziwiłem się, żem od dawna nie spostrzegł, jak są miłe, rozkoszne i wesołe. Po zakąsce usiadłem między obie i całując ich ręce, spytałem, czy żywią dla mnie rzetelną przyjaźń i czy postępowanie ze mną Angeli uważają za niesprawiedliwe, a nawet okrutne. Pośpieszyły zapewnić mnie, że łzami zalewały się, patrząc, jak Angela mnie maltretuje.

<sup>106</sup>kuraż — śmiałość, odwaga. [przypis edytorski]

Zabawa, Erotyzm

List, Miłość, Kobieta

Pocałunek

— Ja — rzekłem — braterskie żywię dla was obu, najtkliwsze uczucie. Poprzysięgnijmy sobie, że wy będziecie mymi siostrzyczkami, a ja waszym przybranym bratem, dobrze? I zamieśmy, w pełnej niewinności dusz, luby tego paktu zadatek.

Ucałowałem jedną i drugą — lecz nie był to bynajmniej pocałunek kochanka-uwodziciela i one też w kilka dni potem zapewniły mnie, że chodziło im jedynie o danie mi dowodu, iż podzielają mój braterski afekt. Wszelako ta niewinna wymiana pocałunków rozgorączkowała i dziewczynki, i mnie do tego stopnia, że musieliśmy przestać i popatrywaliśmy na siebie ze zdziwieniem i zażenowaniem. Wówczas zgoła bez najmniejszej afekcji Annita i Marietta wstały i wyszły z pokoju. Zostałem sam, napastowany przez rozbujające myśli i — zakochany śmiertelnie w obu dzierlatkach. Jakże przewyższyły Angelę: Annita lotnością umysłu, Marietta słodyczą i naiwnością!

Gdy wróciły, byłem już w zburzenie, które mną miotало, opanował i byłem już sobie poprzysięgł nie wystawiać ani lubyh dziewczeczek, ani siebie na próbę pocałunków, zaiste, zbyt zdradliwych. Zaczęliśmy długo rozmawiać o Angeli. Zwierzyłem się, że pragnąłbym już więcej jej nie widzieć.

— Ona pana kocha, bardzo kocha! — odezwała się naiwnie Marietta.

— Skąd pani to wie?

— Ach! Gdy, bywało, zostanie na noc u nas i śpi ze mną, bierze mnie w objęcia, uściska i mówi do mnie: „Ty najukochańszy, najmilszy mój *abbé!*”

Annita zamknęła jej usta ręką, mnie zaś od tego, com usłyszał, zrobiło się gorąco, gorąco... żem z trudem ukrywał pomieszanie. Zacząłem Mariettę komplementować, prawić jej różne dusery<sup>107</sup> i udawać, że mnie okrutnie sen morzy.

— Niech pan się nie żenuje — odezwała się Annita — i kładzie się. My pójdziemy do tamtego pokoju na kanapę.

— O nie, o nie! — zaprotestowałem. — To ja pójdę na kanapę, a wy, siostrzyczki, rozłóżcie się wygodnie na łóżku. Nie macie się czego bać... a zresztą, zamknijcie się na klucz! Choć Bogiem a prawdą, skądże strach niewczesny? Kocham was miłością brata. To przecie postanowione i dowiedzione!

— Niech pan tu śpi, niech pan tu śpi... — nalegała Annita.

— Nie potrafię usnąć w ubraniu.

— To niech się pan rozbierze. Nie będziemy patrzyły.

— Nie zasnę, wiedząc, że panie czuwacie.

— No, to my się tu położymy — wtrąciła się Marietta — ale ubrane.

— Jak można mnie nie ufać! Powiedzcie, czyliż nie jestem uczciwym człowiekiem?

— Niezawodnie.

— Mało powiedzieć: niezawodnie, trzeba dać dowód, że się w moją uczciwość wierzy. Siostrzyczko Annitko! Połóżcie się obok mnie rozebrane. Nie dotknę was! Macie na to moje słowo. Jesteście zresztą dwie na jednego; czegoż możecie się bać? Wskoczycie z łóżka — i już! O co chodzi? Słowem, nie ma na to zgody, to nie położę się spać wcale.

I zamilknąwszy, zacząłem udawać, że mi się oczy kleją. One naradzały się szeptem przez czas jakiś, po czym Marietta rzekła mi, abym się kładł, a zaś one pójda też do łóżka, atoli nie wcześniej, aż zasnę. Rozebrałem się tedy i położyłem, życząc dziewczętom dobrej nocy. Zaledwem się położył, zacząłem natychmiast udawać, że zasypiam, i w istocie sen mnie mimo woli ogarnął; obudziłem się w chwili, gdy się one kładły, alem leżał cicho i spokojnie, czekając aż i jedna, i druga zacnie spać — lub udawać, że zasnęła. Były ode mnie odwrócone; w pokoju panowała zupełna ciemność. Na chybił trafił zacząłem od okazywania mej uwagi sąsiadce mojej z prawej strony, nie wiedząc: Annita to, czy Marietta. Była skulona, owinięta w jedyną część ubrania, której się nie pozbyła. Powoli i delikatnie, oszczędzając jej skromność, zniewoliłem ją do uznania się za pokonaną, tudzież, że najlepszy i jedyny sposób ratowania sytuacji polega na udawaniu w dalszym ciągu, iż śpi jak zabita, pozwalając na na wszystko. Tak też zachowała się i druga moja sąsiadka, z lewej strony. Po ognistym temperamentem, z jakim oddawała mi pocałunek za pocałunkiem, zdawało mi się, że poznaję Annitę. Powiedziałem to jej. Odrzekła cicho: „Tak, to ja...” I dodała: „Będziemy obie, ja i moja siostra, głęboko szczęśliwe, jeśli pan okaże się człowiekiem honorowym i w uczuciach swych stałym”.

<sup>107</sup>dusery (daw.) — pochlebstwa, słodkie słówka, komplementy. [przypis edytorski]

— Na śmierć i życie jam wasz! — wykrzyknąłem. — Miłość nas złączyła. Jej tylko składajmy ofiary i nigdy już, przenigdy, nie wspominajmy o Angeli.

Poprosilem, aby wstała i zapaliła świece. Lecz usłużna Marietta zerwała się pierwsza i zostawiła nas samych. Ach! Gdy wróciła ze światłem i stała tak przede mną i Annitą, spoglądając na pograżonych w niewymownej ekstazie jakby z wymówką, że przecie to ona poddała się pierwsza moim pieścizdom i zachęciła niejako siostrę iść w jej ślady... Ach, wówczas powiem, jak ogromne szczęście jest moim udziałem.

— Wstańmy, przyjaciółeczki moje — odezwałem się — i poprzysięgnijmy sobie wieczną przyjaźń.

Usiadłszy za stołem, spożyliśmy — w kostiumach... złotego wieku<sup>108</sup> — z wielkim apetytem i w świetnych humorach resztki naszej nocnej uczty. Po czym jeliśmy sobie mówić wszystko, co miłość na usta przynosi, co tylko w upojeniu zmysłów da się wyszeptać na ucho, i reszta tej najcudniejszej nocy upłynęła nam wśród dawania sobie wzajemnie dowodów niewyczerpanej ognistości.

We dwa dni potem złożyłem wizytę pani Orio i ponieważ Angeli nie było, zostałem na kolacji i wyszedłem razem z panem Rosą. W przedpokoju Annicie udało się wręczyć mi niespostrzeżenie bilecik i pakiecik. Był to uczyniony na wosku głęboki odcisk klucza, a w bileciku stało<sup>109</sup>, że gdy według tego odcisku każę klucz dorobić od drzwi wchodowych<sup>110</sup>, będę mógł przychodzić na górę — choćby co noc. Stało tam także, że nazajutrz po owej nocy, którą<sup>111</sup> spędziłem z obiema dziewczeczkami, przyszła do nich Angela, nocowała i że zważywszy na stosunek łączący ją z obu siostrami, domyśliła się wszystkiego, co zaszło między nami, że one koniec końców musiały wszystko jej opowiedzieć, zwalając całą winę na nią. Natenczas — pisała Annita — Angela jęła wymyślać im najordynarniej od takich i owakich, przysięgając się, że noga jej więcej w ich domu nie postanie, ale, że ich to wszystko ani ziębi, ani grzeje.

Wszystko się tedy ułożyło jak najwytworniej. Co tydzień noc jedną spędzałem w pokoiku przemyłych siostrzyczek, a i potem za każdym moim powrotem z dalekich wojażów do Wenecji, im najpierwszą składałem wizytę.

## DONNA LUKRECJA

Po zwinięciu mieszkania w Wenecji przez matkę, występującą na teatrze królewskim w Warszawie, oddany został Casanova do seminarium na stałą lokatę. Tak tam dokazywał, że aż go internowano w więziennym forcie św. Andrzeja. Wydobyl go stamtąd na instancję<sup>112</sup> matki przyjaciela jej, biskup z Martorano w Kalabrii, mówiąc nawiasem wielki faworyt królowej polskiej, żony Augusta III, protegującej też usilnie i matkę Casanovy. Miał biskup zabrać z sobą niepoprawnego szalawilę<sup>113</sup> do Martorano, wypadło jednak tak, że sam puścił się w drogę, Casanova zaś nieco później ruszył samopas w jego ślady, zaznając najbardziej awanturnych przygód. Za towarzysza podróży miał początkowo pewnego mnicha żebrzącego, któremu się świetnie powodziło, a potem pewnego handlarza winem, któremu przedziwnie podrabiał muskaty i lacrimae Christi<sup>114</sup>. W Martorano, małej mieścinie, nieliczącej nawet dwóch tysięcy mieszkańców, wiódł biskup-przyjaciel żywot bardzo mizerny. Nie nęciło Casanovy wiązać się z personatem<sup>115</sup> nieposiadającym zgoła żadnego splendoru. Bierze tedy od biskupa... tylko błogosławieństwo na drogę, list do pewnego obywatela neapolitańskiego, polecający, aby mu wypłacił 60 dukatów, które winien jest martorańskiej ekscelencji, podąża dalej, via Neapol do Rzymu. Dobrze mu się w Neapolu powodziło. Po-

<sup>108</sup>*złoty wiek* — mityczny okres szczęśliwości, w mitologii greckiej sytuowany u początków rodzaju ludzkiego; *w kostiumach złotego wieku*: nago. [przypis edytorski]

<sup>109</sup>*w bileciku stało* (daw.) — w bileciku było napisane. [przypis edytorski]

<sup>110</sup>*wchodowy* (daw.) — wejściowy. [przypis edytorski]

<sup>111</sup>*którąm spędziłem* — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: którą spędziłem. [przypis edytorski]

<sup>112</sup>*instancja* (daw.) — wstawienie się za kims. [przypis edytorski]

<sup>113</sup>*szalawila* — człowiek lekkomyślny, lekkoduch. [przypis edytorski]

<sup>114</sup>*muskat i lacrimae Christi* — gatunki win. [przypis edytorski]

<sup>115</sup>*personat* (daw., z łac.) — osobistość, ważna osoba. [przypis edytorski]

dejmował go hojnie i fetował zdybany tam jakiś Casanova, krewny daleki, bardzo bogaty i zawołany światowiec...

Z ciężkim sercem rozstałem się z Neapolem, podążając do Rzymu. Tak byłem zafrasowany, tak pogrążony w smutnych myślach, że dopiero dobrze za miastem jął bacznie przyglądać się moim towarzyszom podróży. Obok mnie w dylizansie siedział jakiś jegomość najwyżej pięćdziesięcioletni, przyjemnej powierzchowności i wesołego usposobienia, *vis-à-vis*<sup>116</sup> zaś miałem dwie prześliczne damy, ubrane wykwintnie, sprawiające najmiłsze wrażenie. Ucieszyłem się, lecz w sercu miałem zbyt wiele trosk, aby puścić się choćby na najprzyjemniejszą rozmowę. Nie zamieniwszy słowa, przyjechaliśmy do Aversy; popas<sup>117</sup> trwał niedługo; z Aversy do Capui towarzystwo gwarzyło swobodnie i wesoło; ja wciąż nie otwierałem ust, przez bitych pięć godzin, co mi się chyba nigdy nie zdarzyło w życiu ani pierwej, ani potem. W Capui stanęliśmy w zajęździe. Dano nam łóżko o dwóch leżach, rzecz we Włoszech zwykła. Odezwał się tedy do mnie mój towarzysz podróży: „A!... Będę miał zaszczyt dzielić łóżko z imćpanem *abbé*”. Odrzekłem poważnie, że może urządzić się inaczej. Na to jedna z dam parsknęła śmiechem, właśnie ta, która mi się bardziej podobała. Wydało mi się to dobrą wróżbą. Podczas wspólnie spożywanej kolacji miałem sposobność zauważyć, że obie panie są i dowcipne, i starannie wychowane. Zaciekały mnie. Gdyśmy wstali od stołu, zszedłem na dół spytać się woźnicy, kto są zacc moi towarzysze podróży. Umiał tyle tylko powiedzieć, że jegomość jest adwokatem z Neapolu, a jedna z pań jego żoną, lecz nie wie która. Wróciwszy do naszego wspólnego pokoju, rozebrałem się grzecznie pierwszy i położyłem się, aby panie mogły wygodnie i swobodnie udać się na spoczynek, nazajutrz zaś rano pierwszy wstałem, wyszedłem z pokoju i wróciłem dopiero, gdy wezwano mnie na śniadanie. Kawę dostaliśmy wyborną, chwaliłem ją i dość nachwalić się nie mogłem; ta z pań, która mi się bardziej podobała, jęła zapewniać, że równie smaczną będziemy mieli przez całą drogę. Po śniadaniu zjawił się balwierz<sup>118</sup> i adwokata ogolił. Chciał się też i do mnie zabrać, a gdym się uchylił, wyszedł, czyniąc nieprzystojną uwagę, że noszenie brody jest niechlujstwem.

W powozie rozmowa zesła na ten temat.

— W samej rzeczy — odezwała się z pań najpiękniejsza — może istotnie noszenie brody jest niechlujstwem?

— A tak — potwierdził adwokat — broda to przecie... ekskrement.

— O!... — oponowałem. — Jak można włosy w ogóle nazywać ekskrementem! Czy może być coś piękniejszego niż bujne, długie włosy?

— W takim razie — zaopiniowała piękna pani — golarz kapuański jest wierutnym głupcem.

— Swoją drogą — wtrąciłem — natychmiast w Rzymie brodę zgolę.

— Kochana żoneczko — zaśmiał się adwokat — nie trzeba było dotykać tej drażliwej i spornej materii. Imćpan *abbé* może jedzie do Rzymu, aby zostać tam kapucynem<sup>119</sup>.

Roześmiałem się i ja też, i odrzekłem, że się nie omylił, lecz że odmieniłem zamiar, ujrawszy panią.

— No toś pan całkiem pokpił sprawę — on na to. — Żona moja właśnie przepada za kapucynami i jeżeli się pan chce jej podobać, to trzeba było trwać niezłomnie przy swym zamiarze.

Na tak wesołych dyskusjach niepostrzeżenie upływał nam czas. Nie sarkaliśmy nawet zbyttnio na infamie<sup>120</sup> jadła i napoju w Garillano. W powozie spytała mnie piękna dama (na której już afekt mój na dobre zaczynał się rozpalać), czy zamierzam długo zabawić w Rzymie. Odrzekłem, że nie wiem, lecz że nie mając wcale znajomych, obawiam się śmiertelnej nudy.

— O! — rzekła. — Nowi ludzie są w Rzymie zawsze mile widziani.

<sup>116</sup>*vis-à-vis* (fr.) — naprzeciw. [przypis edytorski]

<sup>117</sup>*popas* — postój w czasie podróży w celu nakarmienia koni i odpoczynku. [przypis edytorski]

<sup>118</sup>*balwierz* (daw.) — fryzjer wykonujący również zabiegi kosmetyczne i felczerskie. [przypis edytorski]

<sup>119</sup>*kapucyni* — zakon katolicki nurtu franciszkańskiego; noszą brązowy habit ze spiczastym kapturem, wyróżniają się tradycją zakonną noszenia niestrzyżonej brody (do poł. XX w. było to obowiązkowe). [przypis edytorski]

<sup>120</sup>*infamia* (daw.) — niesława, hańba. [przypis edytorski]

— Więc mogę mieć nadzieję, że mi pani pozwoli złożyć jej w Rzymie moją najpokorniejszą atencję?

— Zaszczyt to będzie dla nas! — dodał mąż.

Piękna pani zapłonila się lekko, lecz udałem, że tego nie spostrzegł.

W Terracinie dano nam pokój z trzema łózkami: jedno było szersze i stało między dwoma węższymi. Rzecz prosta, że obie siostry zajęły szerokie łóżko, my zaś z adwokatem mieliśmy objąć w posiadanie oba wąskie. Skoro tylko panie się rozlokowały, położył się adwokat, a ja przyłożyłem się też na moim łóżku, stojącym mniej niż o pół łokcia od łóżka pani. Obrócony sumiennie do ściany, spostrzegłem jednak, że pani, która mi się tak niezmiernie podobała, zajmuje miejsce od mojej strony. Czy przypadkiem? Moja zarozumiałość szeptala mi, że nie było to dzieło przypadku. Zgasilem swiatełko, lecz usnąć ani rusz nie mogłem. Po głowie chodził mi plan śmiały, lecz wielce niebezpieczny... Gdy tak biję się z myślami, spostrzegam w bladawej jasności, wpadającej z zewnątrz do pokoju, jak moja sąsiadka wstaje, okrąża łóżko i kładzie się do łóżka swego męża, który najwidoczniej śpi jak kamień, gdyż nie słyszę nawet najłżejszego szmeru. Przejęty wstrętem i zirytowany jak sto diabłów, postanawiam spać — i istotnie zasypiam twardo, budząc się dopiero nad ranem.

Kuszenie

Wstałem bardzo wcześnie. Spostrzegłem moją śliczną lunaticzkę śpiącą znowu na swoim miejscu — i wymykam się cichaczem. Udałem, że mnie strasznie zęby bołą, unikając przez to wszelkiej w ogóle rozmowy. Minęliśmy Piperno. Ja wciąż milczę jak pień. Piękna dama zaczyna przekomarzać się ze mną, że w mój ból zębów nie wierzy. Ja wciąż nic. W Sermonecie wypada nocleg. Przed spaniem nie mogłem wykręcić się od zaproponowanej przechadzki. Podałem jej ramię. Poszliśmy. Za nami szli mąż i jej siostra. Gdyśmy ich nieco wyprzedzili, odważyłem się spytać, dlaczego posądzała mnie o udawanie, że mnie zęby bołą?

— Zbyt nagle zmiana nastąpiła w pańskim usposobieniu.

— Nie bez przyczyny.

— Doprawdy? Może z mojej?

— Nie powiem ani tak, ani nie. Nie mam do tego prawa.

— Dobrze. Niech pan nie mówi. Pozwoli pan jednak zrobić sobie uwagę, że należy ukrywać zbyt nagle zmiany w usposobieniu... mogące dawać do myślenia... Ofiara to może ciężka, lecz kto się na nią zdobędzie — dodała zalotnie — pewny być może wdzięczności, szacunku i... sympatii.

Flirt

Mowa ta uczyniła na mnie silne wrażenie; czułem, że mi krew policzki rozpala — pochyliłem się do jej ręki, błagając o przebaczenie. Gdym atoli podniósł znów na nią oczy, spostrzegłem na jej cudnej twarzy wyraz tak łaskawy i przyjazny, a w spojrzeniu tyle słodczy i... uczucia, że usta przeniósł błyskawicznie z ręki jej na jej usta, przechodząc od udręki do najwyższej radości.

Za powrotem nie byłem w stanie ukryć rozpromieniającej mnie uciechy i udawać dalej zasepienia. Tedy jowialny adwokat nie szczędził docinków o „straszny ból zębów”, co go spacer w mig i jakże cudownie wyleczył!

Velletri... Marino... Jużem był z moją piękną znajomą na najlepszej stopie. W powozie siedzieliśmy naprzeciw siebie. Wystrzegając się zbyt wymownych spojrzeń, tym gorliwiej wyznawałem jej nóżce to wszystko, co do czasu musiało spoczywać pod ciężką na ustach pieczęcią<sup>121</sup>.

Dowiedziałem się, że w Rzymie adwokat mieszkać będzie z żoną u swojej teściowej, która córki nie widziała od czasu ślubu, to jest od dwóch lat; siostra zaś pani mego serca ma w Rzymie poślubić urzędnika bankowego. Na jednym z popasów mieliśmy do rozporządzenia dwa pokoje o jednym łóżku każdy; mniejszy zajęły panie, w większym położyliśmy się ja i adwokat. Westchnąwszy do pani mego serca, postanowiłem spać do rana jak suseł. Gdzieżby tam! Sto, tysiąc planów, jeden szaleńszy od drugiego nie dawały mi zmrzyć oka. Łóżko trzeszczy niemiłosiernie; co spróbuję się podnieść, to łoskot budzi mego towarzysza noclegowego, który machinalnie maca ręką, czy ma mnie przy sobie, i znów zaczyna chrapać w najlepsze. Wtem, nagle, kiedym już wszelkim fortelom

Kochanek

<sup>121</sup>wyznawałem jej nóżce to wszystko, co do czasu musiało spoczywać pod ciężką na ustach pieczęcią — wyjątkowo przekład wypadł może nazbyt wolny i tylko ściśle w stylu memuarów. W oryginale bowiem pisze Casanova: „Mais placé en face d'elle, le langage des pieds avoit toute l'eloquence desirable”. [przypis tłumacza]



chciał dać za wygraną, rozlegają się na ulicy strzały i w ślad za nimi okrutne wrzaski. Co się stało? Co takiego? Po schodach zaczynają dudnić przyspieszone kroki i ktoś wali pięścią w nasze drzwi. Adwokat zrywa się przerażony, panie zaczynają wołać o światło ze swego pokoju. Ja udaję, że jestem tak rozespany, iż pokazać się nie mogę w całej sytuacji i bynajmniej nie spieszę się szukać świecy. Tedy adwokat wyskakuje z łóżka, narzuca coś nie coś na siebie i wybiega na schody. Wtedy ja, przymykając za nim drzwi, naciskam je rozmyślnie, a niby przypadkiem, tak mocno, że zamykają się na zatrzask i nie ma sposobu otworzyć ich bez klucza. Wówczas zaczynam uspokajać panie, tłumacząc, że adwokat niechybnie zaraz wróci i powie nam, co znaczyły te piekielne hałasy. Uspokajając, nie tracę czasu i posuwam się coraz dalej i dalej, tym odważniej, że opór jest nader słaby. Pomimo zachowywania czujnej ostrożności łóżko się załamuje i leżymy wszyscy troje wśród desek i materaców na podłodze. W tym krytycznym momencie adwokat zaczyna dobijać się do drzwi. Idę po omacku powiedzieć mu, że drzwi się zatrzasknęły, a klucza nie ma. Podczas gdy z nim przez drzwi gadam, obie panie stanęły za mną i przysłuchują się; rzucam ręką za siebie; źle trafiłem, bo mnie odepchnięto; sięgam od drugiej strony z większym powodzeniem. Ale oto klucz już chrzęści w zamku. Panie pierzchają do siebie, adwokat wkracza i idzie je uspokajać. Spostrzegłszy je leżące w ruinach łóżka, pęka ze śmiechu, wołając, abym przyszedł spojrzeć. Ja, w mej skromności, wymawiam się... adwokat opowiada, że to pijani żołnierze wszczęli diabelską burdę, na szczęście szybko bardzo zażegnana. Opowiedział, wykomplementował mnie za moją powściągliwość i zasnął. Za kwadrans cisza zapanowała w obu pokojach kompletna. Alem spać nie mógł od wzruszeń i wrażeń zaznanych... Nazajutrz wynagrodził mi wszystko wyraz oczu mojej pani, pod których gorącymi wejrzeniami tajało mi serce. Siostra jej boczyła się nieco na mnie, oczywiście za fatalną nocną przygodę, alem dołożywszy usilnych starań, zły jej humor powoli rozproszył.

Po przybyciu do Rzymu pospieszyłem złożyć wizytę donnie Cecylii, matce mojej ubóstwianej Lukrecji. Zgoliłem brodę i nosiłem się ściśle „po rzymsku”. Względny donny Cecylii pozyskałem bez trudu. Prosiła, abym jak najczęściej ją odwiedzałem. Jednocześnie zajął się gorliwie moją osobą kardynał Aquaviva<sup>122</sup> i wprowadził w najwyższe sfery kleru rzymskiego. Osobliwie wiele względów okazywał mi wielobny ojciec Georgi, ucząc mnie, jak orientować się wśród labiryntu intryg papieskiego dworu, jak zwłaszcza unikać różnych niebezpieczeństw czyhających na nowicjusza na śliskim gruncie rzymskim. Zdziwiłem się, że wie doskonale o częstym moim bywaniu u donny Cecylii; radził mi znajomości tej nie kulturować zbyt gorliwie. „Pamiętaj — mówił — że największym wrogiem rozsądku jest serce!” Jakby piorun trzasł we mnie. Czulem, że kocham moją Lukrecję nad życie.

U donny Cecylii z lekka mnie prześladowano moim widocznym zajęciem się donną Lukrecją. Adwokat żartował; donna Cecylia radziła mu żartobliwie nie polegać zbyt na własnej... zarozumiałości. Napisałem do pani mego serca odę i przesłałem jej przez męża. „Żona moja — mówił mi w parę dni potem — umie piękny utwór pański na pamięć; recytowała go narzeczonemu siostry, który omal ze skóry nie wyskoczy, tak pragnąłby pana poznać”. Zacząłem bywać coraz rzadziej; adwokat osypał mnie wymówkami. „Przez to — zapewniał — nie wytłumaczysz pan nikomu, żeś nie jest w żonie mojej zakochany”. I zaprosił mnie bardzo gorąco na wycieczkę na Monte Testaccio<sup>123</sup>. Złożyło się wracać z niej sam na sam z Lukrecją w faetoniku<sup>124</sup> dwuosobowym. Lecz, niestety, jazda trwała tylko półgodziny! Wywdzięczając się, zaprosiłem całe towarzystwo na zamiejską wycieczkę. W przepysznych humorach spożywałem wyborny obiad w oberży opodal willi Ludovisi<sup>125</sup>, po czym towarzystwo rozsypało się po ogromnym parku, dając sobie *rendez-vous*<sup>126</sup> znowu w austerii<sup>127</sup> zajazdu. Donna Cecylia, jak przystało i jak delikatność nakazywała, przyjęła ramię zięcia, Angelika, siostra mej najdroższej Lukrecji, miała za nieodstępny towarzysza swego narzeczonego; dzieci, Urszulka i jej braciszek,

<sup>122</sup>kardynał Aquaviva — z neapolitańskiego rodu magnackiego. [przypis tłumacza]

<sup>123</sup>wycieczkę na Monte Testaccio — obecnie widok panoramiczny z tego wzgórza stracił wiele ze swej piękności z racji szelnego zabudowania się całej okolicy. [przypis tłumacza]

<sup>124</sup>faeton — lekki otwarty powóz konny bez drzwiczek. [przypis edytorski]

<sup>125</sup>opodal willi Ludovisi — dziś już nieistniejącej. Cała nowa dzielnica powstała od roku 1885 na obszernym jej terytorium. [przypis tłumacza]

<sup>126</sup>dać sobie *rendez-vous* (daw., z fr.) — umówić się na spotkanie. [przypis edytorski]

<sup>127</sup>austeria (daw.) — gospoda, karczma. [przypis edytorski]

popędziły przodem; daleko za całym towarzystwem zostaliśmy: ja i pani mego serca. Po kwadransie byliśmy już poza czymkolwiek wzrokiem i słuchem.

Zacząłem, nie tracąc chwili, przekładać jej, jak nieskończenie wiele jej zawdzięczam, aż do tego oto sam na sam włącznie. Wyznałem, że jest pierwszą moją miłością.

— Pierwszą! — zawołała. — No, to nie wyleczysz się z niej nigdy. Ach, czemuż nie mogę być niepodzielnie twoją! I ja ciebie pierwszego w życiu kocham; ty też będziesz moją ostatnią miłością... Szczęśliwe będą te, które będziesz kochał po mnie. Nie pałam o nie zazdrością; ciężko mi tylko pomyśleć, że żadna z nich nie będzie cię tak tkliwie i płomiennie kochała jak ja.

Łzami zapełniły mi się oczy. Na ten widok i Lukrecji twarz zrosiła się łzami. Usiedliśmy na trawie. Połączone ze sobą usta nasze jęły spijać boski nektar nadziemskiej rozkoszy. O, jakże słodkie są lzy płynące z serca przepelnionego miłością! Zaznałem ich wszystkim upojonej słodyczy...

W chwili przelotnego znużenia i uspokojenia się, obrzucając zachwyconym wzrokiem najprześlicniejszy nieład jej toalety, zauważyłem, że bardzo łatwo może nas kto spostrzec.

— Bądź spokojny, najdroższy — rzekła. — Jesteśmy pod strażą dobrej naszej wróżki.

I po pewnym czasie, gdyśmy jeszcze wypoczywali obok siebie, czerpiąc nowe siły u bezdennego źródła miłości, Lukrecja nagle podniosła główkę, zwróciła się w prawo i wyciągając przed siebie rękę, jęła wołać:

— A co! Czy ci nie mówiłam, kochanie? Spójrz!... Spójrz!

Zdumiony, sądząc, że doznaje halucynacji, odrzekłem:

— Na co mam patrzeć? Nie rozumiem.

— Jak to? Nie widzisz tej prześlicznie cętkowanej żmii, mieniającej się w słońcu? Patrz — tam!

Wzrok mój pobiegł za wskazówką jej reki i w samej rzeczy ujrzałem sporą, przeszło łokciową żmiję. Mieni się w słońcu i patrzy prosto na nas. Widok ten nie sprawił mi najmniejszej przyjemności, nie chciałem jednak ujść za tchórza i rzekłem z zupełnym spokojem:

— A ty się nie boisz?

— Bynajmniej. Jestem przekonana, że to moja dobra opiekuńcza wróżka zakłęta w żmiję...

— A jeśliby zaczęła pełzać ku tobie, sycząc?

— Mocniej bym się tylko do ciebie przytuliła, najdroższy mój. W twoich objęciach nie znam strachu w żadnej okazji. O!... O!... Patrz. Już zerwała się i ucieka. To niechybny znak, że ktoś się zbliża. O dobra wróżko! Jak ty się nami opiekujesz!

Zerwaliśmy się w samą porę. W głębi alei ukazała się donna Cecylia, wsparta na ramieniu adwokata. Podeszliśmy ku nim, ani spiesząc się, ani ociągając, najnaturalniej w świecie. Spytałem donnę Cecylię, czy córka jej boi się żmij i węzów.

— Okrutnie! — odparła. — Nawet najzwyczajniejsza jaszczurka jest w stanie przyprawić ją o zemdlenie. Tak... tu, w tej okolicy jest żmij bardzo wiele; na szczęście nie są jadowite.

Wyrazy te uczyniły na mnie silne wrażenie. Nie inaczej. Byłem przed chwilą świadkiem cudu dokonanego przez miłość. W tym momencie nadbiegły dzieci i uprowadziły ze sobą donnę Cecylię i adwokata. Gdyśmy znów zostali sami, rzekłem:

— Bój się Boga, dziecko drogie! A cóż byś uczyniła, jeśliby zamiast żmii-wróżki zdybali nas matka twoja i twój mąż?

— Nic bym nie uczyniła. Czyliż nie wiesz, że w takich uroczystych chwilach kochankowie o niczym innym nie myślą, tylko o miłości? Czy wątpisz, że ja twoja, zupełnie twoja?

Nie posiadałem się z rozkoszy, czując, że Lukrecja mówi szczerze to, co myśli.

— I sądzisz, że nikt nas nie podejrzewa?

— Mąż mój albo nie domyśla się, że my się istotnie kochamy, lub też uważa wszystko, co jest między nami, za bagatelę, za coś, na co sobie młodość pozwolić ma prawo. Matka moja... ma rozumek nie lada i może się czegoś domyśla, lecz wie, że takie sprawy nie powinny jej obchodzić. Siostra moja, o! ta wie niezawodnie wszystko; jakżeby miała zapomnieć o złamaniu łóżka? Lecz ona mądra i przywykła zresztą uważać mnie za nieszczęsną ofiarę niedobranego małżeństwa. Ach! Gdybym była ciebie nie poznała, najdroższy, przesłabym przez życie, nie zaznawszy szczęścia i nie rozumiejąc, jak szalone być

Miłość, Pocałunek

Wąż

Miłość, Małżeństwo

może, albowiem, to co czuję dla mego męża... jest tylko uległość, obowiązująca w sferze, do której należymy.

— Swoją drogą ja mu zazdroszczę! On w każdej porze dnia i nocy może cię brać w objęcia; może mieć w każdej chwili przed oczyma wszystkie twe boskie wdzięki, niczym nieosłonięte...

Przerwała mi:

— Żmijko, dobra żmijko moja! Przybądź i uchroni mnie od tego przesywającego wzroku! Gdyż za króciutką chwilę spełnię wszystkie życzenia tego, którego kocham nad życie...

Przez godzin parę nie przestawaliśmy powtarzać sobie, że się kochamy, i dawać sobie dowody najgorętszej miłości.

Podczas kolacji jęła wędrować z rąk do rąk moja śliczna tabakierka szylkretowa<sup>128</sup>, woniąca najprzedniejszą tabaką. Donna Lukrecja nie po raz pierwszy się nią zachwycała i wyraziła chęć posiadania akurat takiej. Mąż jej pospieszył obiecać, że nie zwlekając, będzie szukał podobnej, lecz że to może potrwać czas dłuższy; tedy proponuje zamiar, niech mnie za tabakierkę da swój pierścionek. Sądząc, że mniej ma wartości niż tabakierka, przystałem skwapliwie na transakcję. Okazało się, że wart więcej, lecz donna Lukrecja tak była zachwycona obrotem sprawy, że musiałem pierścionek przyjąć, składając w jej ręce tabakierkę. Wypiliśmy kawę; zapłaciłem cały rachunek i poszliśmy jeszcze wszyscy pobłąkać się po parku willi Aldobrandini. Ile lubyh wspomnień z miejsc tych uniosłem — nie zliczyć! Zdało mi się, że moją Lukrecję widzę po raz pierwszy w życiu. Oczy nasze płonęły, serca nasze, uderzając zgodnie, dyszały pożądaniem i tęsknotą, a instynkt wskazywał nam najzacisniejsze ustronia, jakby stworzone dla misteriów najzarliwszej miłości. U gęstego szpaleru stała szeroka ława, misternie uformowana z darni; przed nią roztaczał się wspaniały pejzaż; w prawo i w lewo wzrok głęboko sięgał w aleje, co wykluczało wszelką niespodziankę. Rozumiały się serca nasze, tedy nie potrzebowaliśmy porozumiewać się słowami. Stojąc jedno przed drugim, nie mówiąc nic, wprawnymi i zręcznymi rękami uwolniliśmy w mig wszystkie cuda, które się od reszty przyrodzenia nieznośnymi zasłonami odgradza.

Miłość, Seks

Po dwóch godzinach poszliśmy z wolna odszukać nasze powozy i ściągające do oberży towarzystwo. Wróciliśmy późną nocą do Rzymu, we dwoje, siedząc naprzeciw siebie i, by tak rzec, natrętnie domagając się od natury więcej, niż dać może. Przed samym domem musieliśmy, niestety, spuścić kurtynę przed skończeniem się sztuki, interesującej nas nad wszelki wyraz.

Jeszcze niejedną raz dane nam było obcować ze sobą sam na sam i napawać się sobą. Niestety! Chwile te niezapomniane upłynęły aż nadto szybko... Mąż donny Lukrecji wygrał proces, ciągnący się i tak już dość długo, i musiał opuścić Rzym, udając się tam, gdzie trudnił się stałą praktyką adwokacką. Ostatnie dwa wieczory spędziłem u Lukrecji i wśród jej rodziny. W dzień odjazdu ukochanej wyprzedziłem ją grzecznie na pierwszy nocleg i spotkawszy tam przybywającego adwokata z małżonką, wyprawilem dla nich ucztę pożegnalną, która to niespodzianka sprawiła im żywą przyjemność.

Dziesiątki, setki razy powtórzyliśmy sobie: do zobaczenia! Do zobaczenia — po czym adwokat z żoną pociągnęli w swoją stronę, a ja wróciłem do Rzymu.

## ANNO DOMINI 1750

Dla uniknięcia grozących mu procesów za przeróżne, bardziej sowi-zdrzalskie niż karygodne sprawy postanawia dwudziestopięcioletni Casanova schronić się do Paryża i tam utonąć w wielkomijskim tłumie. Ciekawy też jest niezmiernie wielkostołecznego życia, które zaczyna poznawać od strony... kurtyzan. O jednej z nich pozostało mu wspomnienie niezmiernie miłe. Była to niejaka panna Vesian, w chwili poznania jej przez Casanovę osoba młodziutka, zgoła niedoświadczona, wybornie wychowana, prze-śliczna i pełna wdzięku. Po śmierci ojca, wyższego oficera armii francuskiej, wyprzedawszy się z pozostałych po nim ruchomości, wybrała się z rodzin-

<sup>128</sup>szylkret — masa rogowa otrzymywana ze skorupy żółwia. [przypis edytorski]

nej Parmy do Wersalu, kołatać o pensję dożywotnią sierocą. Towarzyszył jej brat.

Traf zdarzył — opowiada Casanova — że prosto z dylizansu stanęła w hotelu de Bourgogne, gdzie i ja miałem kwaterę. Oboje z bratem zajęli sąsiadujący z moim pokojem, a służba nie omieszkła wypaplać mi natychmiast, skąd przybyli nowi goście i że na oko nietęgo słyhać z ich zamożnością. Rodacy, młodzi, ubodzy! Wiedziony aż nadto usprawiedliwioną ciekawością, pukam do ich drzwi... Otwiera mi młodzieniec, bardzo przystojny i wcale nieubrany. Przeprasza; ja oczywiście biorę całą winę za natręctwo na siebie i powiadam:

— Sąsiadem jestem i rodakiem. Może służyć mogę radą lub pomocą!

Na podłodze leżał materac — łożo młodziana; w alkowie<sup>129</sup> za kotarą spała, jak wolno było się domyślać, jego siostrzyczka. Zwróciłem się do niej, przepraszając, że ośmieliłem się zapukać o tak wczesnej porze. Odpowiedziała mi zza kotary, że tylko zmęczenie po drodze było przyczyną tak późnego wstawania. Rzekłem:

— Odejdę więc... Państwo się ubiorą i dadzą mi, jeśli łaska, znać, że mogą mnie przyjąć. Mieszkam tuż obok.

W kwadrans potem zamiast poprosić mnie do siebie wchodzi do mego pokoju osóбка w kwiecie lat i w rozkwicie wdzięków, dyga z niezmierną gracją i oświadcza, że składa mi rewizytę, zaś brat jej ma nadejść niezwłocznie. Proszę siedzieć i dać wyraz bezgranicznej sympatii, którą już dla niej odczuwam. Od słowa do słowa pozyskuję jej zaufanie; opowiada mi niedługą historię swego sieroctwa i zabiegów, które zamierza czynić w Wersalu, opowiada naiwnie, lecz zarazem z godnością sprawiającą nader dodatnie wrażenie. Rzecz swą kończy słowami: „Muszę dziś jeszcze znaleźć tańszą kwaterę, gdyż mam wszystkiego w kieszeni sześć franków”. Spytałem o legitymację. Okazało się, że posiada zaświadczenie czystości obyczajów tudzież ubóstwa oraz paszport; że nie ma żadnych do nikogo rekomendacji; że nie zna w ogóle nikogo w Paryżu; że mnie pierwszemu dzieje swe opowiedziała... Ofiarowałem się na doradcę i przyjaciela. Przyjęła z uniesieniem.

— Proszę mi dać — rzekłem — swoje papiery. Rozważę, jak postąpić i co z nimi zrobić. Niech pani nikomu nie mówi, skąd i w jakich zamiarach tu przybyła. Proszę pozostać w hotelu de Bourgogne. Oto dwa ludwiki<sup>130</sup>. Pożyczam je pani.

Przyjęła, rozpluwając się w wynurzeniach tkliwej wdzięczności. Nie powiem, abym nie był na ten wylew wrażliwy: panna Vesian była prześliczną szesnastoletnią brunetką, niezmiernie interesującą, niezmiernie dystyngowaną i miała w sobie coś dziwnie szlachetnego i dostojnego; mówiła doskonale po francusku. Było w niej przy tym tyle wrodzonej skromności, że nawet jej wyzywający negliż nie rozpętał mych pożądań, a raczej zniewolił mnie je poskramiać. Dawałem sobie słowo panować nad sobą i nie być pierwszym, który ją wprowadzi na złą drogę.

— Droga rodaczko! — rzekłem. — Znajdujesz się w mieście pełnym pokus i zasadzek. Wszystkie twoje wdzięki i zalety podobnie, jak mogą ci zapewnić szczęście i powodzenie, tak też i mogą być źródłem najopłakańszej niedoli. Tu, w tym mieście, ludzie wpływowi i zamożni mają w pogardzie rozwiązłe dziewczęta — oprócz tych, które im cnotę swoją poświęciły. Jeżeli zdecydujesz się, pani, stanąć ponad przesądami... patrz, abyś nie była oszukana. Nie wierz najpłomienniejszym apostofofom<sup>131</sup>... nie wierz bezinteresowności... Co do mnie, niczego od ciebie, pani, nie żądam, a pewny jestem, że ci się przydam. Zresztą, aby cię zupełnie uspokoić: obcować będziemy z sobą jak brat z siostrą. Dobrze? Za młody jestem, aby ojcem być dla pani, i ukrywać nie będę, że moje nią tak gorliwe interesowanie się wypływa stąd, że pani mi się nad wszelki wyraz podoba.

W trakcie tej rozmowy przyszedł brat mojej uroczej sąsiadki, najwyżej osiemnastoletni, bardzo przystojny i bardzo przeciętny, małowówny i niebystry. Zjedliśmy razem śniadanie. Okazało się, że braciszek nic nie umie i żadnego talentu nie posiada, tylko

Pożądanie

<sup>129</sup>alkowa — mały pokoiik bez okien, przylegający do większego pokoju, przeznaczony na sypialnię. [przypis edytorski]

<sup>130</sup>ludwik a. *luidor* — złota moneta francuska z podobizną króla, bita w latach 1640–1791; ludwikami nazywano później tradycyjnie złote 20-frankówki. [przypis edytorski]

<sup>131</sup>apostrofa (z gr.) — zwrot do kogoś; przydająca patosu figura retoryczna polegająca na bezpośrednim zwracaniu się, przemawianiu do jakiejś osoby a. pojęcia. [przypis edytorski]

pismo ma nader foremne. Obiecałem, że może mu wyrobię jaką posadę, dałem panie książki do czytania, poradziłem, aby na razie jak najmniej wałęsali się po mieście — i rozstaliśmy się. Śliczna rodaczka powtórzyła mi raz jeszcze z czarującym uśmiechem na ustach, że ufa mi bezgranicznie.

Pobiegnę do matki mego przyjaciela, do słynnej artystki dramatycznej Sylwii Baletti, prosząc, aby przygotowała dla mojej protegowanej grunt w opinii i względach pani de Montconseil, pozostającej z wielką artystką na najlepszej stopie, a trzymającej w ręku pana ministra wojny. Pani Sylwia przyrzekła mi chętnie swą pomoc; pragnęłaby jednak wpieryw poznać moją protegowaną osobiście.

Była godzina jedenasta wieczorem, kiedyś, widząc światło w pokoju panny Vesian, zapukał do jej drzwi. Otworzyła mi natychmiast, oznajmiając, iż nie kładła się spać, oczekując mego przybycia z oczekiwanymi niecierpliwie wieściami. Jakoż zdałem relację z pierwszych moich kroków i zaczęliśmy gawędzić. Przegawędziliśmy godzin parę. Dowiedziałem się, że sąsiadka moja nikogo jeszcze nie kochała w życiu; że nie zarzeka się wcale... że obca jej jest pruderia nieświadomych dziewczątek, lecz że nie utraciła tego, co chętnie przyniosłaby w ofierze w stosownej chwili i we właściwych okolicznościach. Westchnienie wyrwało mi się z piersi. Jej otwartość i szczerść zachwyciły mnie. Rozgorzałem... Podczas gdy mówiła, myślałem o czym innym: o tym, że pierwszy lepszy wilk pożre przecież tę niewinną owieczkę i że przecie nie o to chodzi, kto będzie tym szczęśliwym wilkiem; że właściwie mówiąc, kompromituje ją sam fakt mego tak goriwego interesowania się losem młodziutkiej i prześlicznej panienki i że przeto nic się nie wygrywa na ograniczaniu się do roli... bezinteresownego przyjaciela. A podczas gdy ona mówiła, a jam myślał, całowałem ją raz po raz po rękach, a nawet po ramionach, nie mogąc zdecydować się na stanowczy krok w tę lub w ową stronę. Upłynęły jeszcze dwie godziny. Bez żadnego pozytywnego rezultatu. Czułem, że obudziłem tym zdziwienie panny Vesian, że poczytywać mnie w końcu musiała za człowieka bądź niezdolnego do czynu bądź obezwładnionego jakimś ukrytym cierpieniem. Pożegnałem ją, zapraszając na obiad jutrzejszy.

Nazajutrz po obiedzie, gdy brat wyszedł na miasto, zabawialiśmy się przyglądaniem się przez otwarte okno czeredzie powozów zajeżdżających przed teatr des Italiens. Zaproponowałem pójście do teatru. Przystała z żywą radością. Poszliśmy. Usadowiłem ją w amfiteatrze i pożegnałem, zapowiadając, że około jedenastej zapukam do jej drzwi w hotelu. Ubrana była skromnie, lecz elegancko i niezmiernie do twarzy. Spożywszy kolację w „Sylwii”, spiesznie wracałem do domu. Patrząc przed hotelem stoi wytworny ekwipaż<sup>132</sup>. Pytam: kto tu przyjechał? Powiadają mi: jakiś młody pan, który odwiedził pannę Vesian i jadł z nią kolację. „Wybornie! Jest już — pomyślałem sobie — na dobrej drodze”. Nazajutrz rano widzę przez okno eleganckiego strojnisa zajeżdżającego przed hotel; po chwili jest już u mojej sąsiadki... Odwagi! Zdobynam się na sztuczną a lodowatą obojętność i ubieram się najspokojniej w świecie. Wpada do mego pokoju młody Vesian. Skarży mi się, że nie może wrócić z miasta „do siebie”, bo u siostry bawi ów pan, z którym ona wczoraj była na kolacji. Powiadam:

— Wszystko w porządku! A któż to taki?

— Jakiś wielkoświatowiec, bogaty i przystojny. Obiecał zawieźć nas do Wersalu, a mnie wyrobić posadę.

— Powinszować!

To rzekłszy, wkładam dokumenty do koperty i oddaję mu je, prosząc, aby doręczył siostrze. I wychodzę na miasto.

Zaledwem wrócił około trzeciej do hotelu, gospodyni wręcza mi bilecik od panny Vesian, która się z hotelu wyprowadziła. Idę na górę, rozrywam kopertę i czytam: „Zwracam panu pożyczone mi pieniądze z gorącym podziękowaniem. Hrabia de Narbonne interesuje się mną i z pewnością życzy jak najlepiej i mnie, i mojemu bratu. Prześlę panu niebawem wiadomość o sobie stamtąd, gdzie mam zamieszkać i gdzie niczego mi nie będzie brakowało. Bardzo a bardzo zależy mi na pańskiej przyjaźni. Brat mój zostaje w hotelu, zajmując pokój opłacony przeze mnie z góry za cały miesiąc”. Tegoż dnia jeszcze dowiedziałem się od znajomych, kto zacz jest ów pan de Narbonne. Syn bardzo

<sup>132</sup>ekwipaż (daw.) — lekki, luksusowy pojazd konny. [przypis edytorski]

zamożnego ojca, hulaka zapamiętały i zadłużony wyżej uszu. Nie ma co mówić! W piękne ręce dostała się nieopatrna dziewczyna, a ja — ja padłem raz jeszcze ofiarą zbytku delikatności z mej strony.

Z dziesięć dni zeszło mi na usiłowaniach zaznajomienia się z hrabią de Narbonne — bezowocnie. Postanowiłem tedy całej sprawie dać za wygraną i zapomnieć o przelotnej przygodzie, gdy zjawia się u mnie młody Vesian i powiada, że siostra jest w jego pokoju i chciałaby bardzo widzieć się ze mną. Spieszę na wezwanie i zastaję ją smutną i z zaczerwienionymi od łez oczami. Natychmiast wyprawia brata na miasto i jęła mi szczegółowo opowiadać, co i jak się z nią działo. „Zaufałam temu Narbonne’owi; oszukał mnie, okłamał: to skończony łajdak!” i łzy puściły się jej gęsto z oczu. Poszedłem ku oknu, aby nie przeszkadzać jej wypłakać się do woli, zaś gdy się uspokoiła, usiadłem przy niej.

— Cała wina — rzekłem — po mojej stronie. Po com panią prowadził do teatru! Nie byłabyś pani poznała Narbonne’a i nie zaznawałabyś teraz tak okrutnych katuszy moralnych.

— O nie, o nie! — ona na to. — Skąd pan mógł przypuścić, że do tego stopnia nierozsądna! Niegodziwiec obiecał mi wszelką pomoc pod warunkiem, że mu zaufam i dam mu dowód sympatii, zamieszkując sama w wynajętej przez niego kwaterze. Bez brata! Gdyż mówił, że w oczach złośliwego świata brat mógłby uchodzić za mego kochanka. Zgodziłam się na to, o ja nieszczęsna! Jakże mogłam nie poradzić się wpierw pana! Zalokował mnie u pewnej, bardzo przyzwoitej, jak zapewniał, niewiasty. Dał mi dwa luidory i złoty zegarek... Sądziłam, że mogę śmiało przyjąć od kawalera, który mi tyle okazał współczucia. Tylko gospodyni nie wydała mi się ani przez jedną chwilę tak przyzwoita, za jaką miała w moich oczach uchodzić. W ciągu przeszło tygodnia pan de Narbonne odwiedzał mnie pilnie... na nic jednak stanowczego nie mogąc się zdecydować. Obiecywał wciąż, że pojedziemy do Wersalu — jutro. Wciąż mu coś przeszkadzało... Aż nareszcie dziś rano moja gospodyni zawiadamia mnie nagle i niespodziewanie, że pan de Narbonne... wyjechał na wieś, a mnie zaś fiakier<sup>133</sup> ma odwiedzić do hotelu, skąd przybyłam. Wiedźma robiła przy tym karawaniarskie miny, udając wielkie litowanie się nade mną... Nawiasem wtrąciła, że pan de Narbonne prosiło doręczenie jej zegarka, który mi dał, gdyż zapomniał go u zegarmistrza zapłacić. Drżąc z oburzenia, wręczyłam jej natychmiast zegarek, zwinęłam do gieźleczka<sup>134</sup> moją skromną „ruchomość” i — otom tu wróciła, przed pół godziną.

— Pani ma nadzieję zobaczyć się z nim, gdy wróci ze wsi?

— Ja! Przenigdy! O mój Boże! Czemu spotkałam na swojej drodze tego urwipolcia!

Rozplakała się i — przyznam się — nigdy mnie jeszcze żadne łzy niewieście nie roztkliwiły do tego stopnia. Raz litość brała w mym sercu górę, raz oburzenie na niecnego Narbonne’a. Nie nalegałem na szczegóły, szanując wstydlivość oraz miłość własną nieszczęsnej dziewczyny. Pocieszałem ją, jak mogłem. Błagała mnie o wyrozumiałość ojcowską. Zaklinała się, że odtąd kroku nie uczyni bez poradzenia się ze mną, że zawsze godna będzie mojej przyjaźni, którą ceni nad własne życie. Gdym ze swej strony zaczął serdecznie nastawać, aby o wszystkim zapomniała i starała się co rychlej odzyskać równowagę i dobry humor, z nadmiaru wrażeń i sprzecznych uczuć osunęła się, mdlejąc, w moje objęcia. Ocuć się ją, nie przywołując na pomoc nikogo, i zacząłem opowiadać jej najweselsze anegdoty o pannach wyprowadzonych w pole przez mężczyzn bez czci i wiary, co ją uspokoiło i rozerwało. W trakcie długiej rozmowy sam na sam trzymałem bacznie na wodzy wszelkie odruchy czułości, nie ujmując jej nawet za rękę. Zaproponowała wycieczkę gdziekolwiek za miasto. Świeże powietrze — oświadczyła — znakomicie przyczyni się do odzyskania dawnego wyglądu. Zgodziłem się skwapliwie, nastając jednak, aby pojechał z nami na wycieczkę jej brat.

— Po co? — zawołała.

— Po to — odrzekłem — aby Narbonne’owi nie doniesiono, że tegoż dnia, kiedy panią porzucił, znalazłaś nowego przyjaciela, co by poniekąd jego postępowanie usprawiedliwiło.

— Wstyd mi — ona na to — że nie wzięła tego pod uwagę!

<sup>133</sup>fiakier (daw.) — dorożkarz. [przypis edytorski]

<sup>134</sup>gieźleczko, zdr. od giezło (daw.) — koszula z białego płótna. [przypis edytorski]

Nie tylko jej brat, lecz i przyjaciel mój Baletti towarzyszył nam na wycieczkę zamiejską do Gros-Caillou. Spostrzegłszy, że Baletti gustuje w pannie Vesian, opowiedziałem mu pokrótce, w jak ciężkich życiowych warunkach się znajduje, jak mało jest nadziei, aby uzyskała pensję od króla, jak nieodzownie potrzebuje pracy zarobkowej i rzuciłem myśl, czyby nie dało się jej wykształcić na tancerkę. Sam Baletti mógłby podjąć się wyćwiczenia jej w szlachebnym kunstwie Terpsychory<sup>135</sup>. Balettiemu podobał się mój projekt i oświadczył, że ze swej strony uczyni wszystko, co będzie od niego zależało. Nie tracąc chwili, zbadał zewnętrzne warunki oraz uzdolnienie przyszłej uczennicy i zdecydował:

— Spróbuję... Może mi się uda umieścić panią w balecie operowym, u Laniego. Na razie jako figurantkę<sup>136</sup>.

— A od jutra już mogą zacząć się lekcje — wtrąciłem pospiesznie.

Panna Vesian roześmiała się na cały głos.

— Mój Boże! — zawołała. — Czyż się to improwizuje tancerkę operową jak kanclerza rady ministrów? Umiem zatańczyć menueta<sup>137</sup> i dość mam dobry słuch, aby stanąć od biedy do kontredansa<sup>138</sup>, lecz faktycznie nie znam żadnego *pas*<sup>139</sup>.

— Nie wiele więcej umie przeciętna figurantka.

— A ile mam zażądać od pana Laniego? Nie mogę przecie rościć sobie pretensji do wygórowanej gaży.

— Nie będzie pani pobierała żadnej gaży. Figurantki operowe nie są płatne.

— No, to żadna zmiana nie zajdzie w mym położeniu! — westchnęła. — Z czegoż będę żyła?

— Niech panią o to głowa nie boli. Znajdzie się w mig dziesięciu bogatych panów, którzy dobijając się będą o zaszczyt wyrównania niedostatecznej wysokości lub zgoła nieobecności gaży. Rzeczą będzie pani uczynić rozsądny wybór i jestem pewny, że rychło ujrzymy panią osypaną brylantami<sup>140</sup>.

Popatrzyła na mnie, jakby radząc się oczami, a gdy skinąłem głową, zawołała wesoło:

— Zgoda! Ale przez ten czas, zanim mnie do baletu operowego przyjmą i zacznę mną opiekować się najstarszy — rozumie się! — z dziesięciu bogatych panów, któż dbać będzie o mój wikt i opierunek?

Przerwałem jej żywo:

— Ja, droga pani, mój przyjaciel Baletti i w ogóle wszyscy moi przyjaciele, byleby pani mogła żyć w zgodzie z cnotą i moimi najlepszymi radami, którymi jej zawsze służyć solennie obiecuję. Dobrze?

\*

Istniał właśnie wówczas projekt sprzedawania posad figurantek baletowych i operowych chórzystek, nawet z licytacji, a za możliwie najwyższą cenę. W ten sposób, myślano, podniesie się kondycję, niezajmującą zbytej konsyderacji<sup>141</sup>! Były nawet wówczas w operze śpiewaczki i baletnice najkompletniej brzydkie, pozbawione zgoła talentu, a jednak żyjące dostatnio; z reguły bowiem, zarówno w operze, jak w balecie, dlatego, aby nie umrzeć z głodu, nie ma dla dziewczyny innej drogi, jak wziąć rozbrat z moralnością. Najlepiej zaś wychodzą te, którym uda się przez czas pewien być cnotliwą; na tę jej właśnie cnotę polują najwybredniejsi i najdostojniejsi amatorowie. Pochlebia im potem niezmiernie „wyprowadzenie w świat” takiej opornej skromności... Nazwisko szczęśliwca z ust do ust jest podawane — i sprawia mu to wielką satysfakcję. Ludzie mu zazdroszczą... Wystarczy! Może jego donna pozwalać sobie na poboczne miłostki, idące nawet jak

<sup>135</sup> *Terpsychora* (mit. gr.) — muza tańca i pieśni chóralnej. [przypis edytorski]

<sup>136</sup> *figurantka* (daw.) — statystka teatralna; w balecie: tancerka niewystępująca jako solistka. [przypis edytorski]

<sup>137</sup> *menuet* — dworski taniec figurowy, szczególnie popularny na dworze Ludwika XIV. [przypis edytorski]

<sup>138</sup> *kontredans* — zbiorowy taniec z figurami, popularny w XVIII i XIX w. [przypis edytorski]

<sup>139</sup> *pas* (fr.) — krok, tu: krok taneczny. [przypis edytorski]

<sup>140</sup> *Znajdzie się w mig dziesięciu bogatych panów, którzy dobijając się będą (...) ujrzymy panią osypaną brylantami* — niech wolno będzie tłumaczowi tych „brylantowych” aforyzmów zwrócić uwagę na głębokie analogie, zachodzące między obyczajami teatralno-operowo-baletowymi z roku Pańskiego 1750 a tymiż obyczajami z bieżącego, 1921 roku. Nic się przez lat bez mała dwieście nie zmieniło — w świetle kinkietów! [przypis tłumacza]

<sup>141</sup> *konsyderacja* (daw.) — szacunek, poważanie wśród ludzi. [przypis edytorski]

najdalej, byle skandalu nie było, byle ludzie o tym nie wiedzieli, on będzie na to patrzył przez palce. Utarł się nawet wytworny zwyczaj uprzedzania własnej donny o dniu i godzinie, kiedy się ma przyjść do niej na obiad lub na kolację — i każdy łatwo pojmie, jak uzasadniony i rozsądny jest taki zwyczaj.

Któregoś dnia po definitywnym zgodzeniu się panny Vesian na wstąpienie do baletu, wróciwszy do domu około północy, spostrzegłem, że drzwi jej pokoju niezamknięte — tedym wszedł.

— Natychmiast wstanę — rzekła, zrywając się — i pogawędzimy.

— Niechże się pani nie deranżuje<sup>142</sup>! Prześlicznie pani wygląda taka, jaka jest w tej chwili. I nic nam to nie przeszkadza rozmawiać. Miała mi zresztą pani coś ważnego powiedzieć.

— O! Wciąż o tym samym, o moim przyszłym zawodzie. Mam być cnotliwa dlatego, aby znaleźć kogoś, który szuka cnoty, aby ją unicestwić.

— Tak jest. Lecz czyliż inaczej dzieje się w całym życiu? Cieszę się, że pani zaczyna filozofować.

— Ja? Pojęcia nawet nie mam, co czynić, aby zostać filozofką.

— Trzeba myśleć.

— Długo?

— Przez całe życie.

— Boże! To kiedyż się jest nareszcie filozofką?

— Nigdy. Lecz można nauczyć się zagarniać wszystkie szczęście, które może przyspaść w udziale. To już niemało.

— A jak się używa tego szczęścia?

— Wyzbywając się uprzedzeń, czyniących z ludzi dojrzałych stado dzieci.

— A jak się owych uprzedzeń wyzbywa?

— Zadaje mi pani pytanie, na które nawet filozof-moralista z trudnością da odpowiedź. Dość powiedzieć, że przez całe życie człowiek zaprawia się do wyzbywania się uprzedzeń. Powiem krótko: uprzedzenie jest to każdy tak zwany obowiązek, niemający uzasadnienia w przyrodzonym porządku rzeczy.

— Więc... filozof powinien przede wszystkim studiować prawa natury?

— Tak jest. To główny zakres istotnej filozofii. Najuczciwszym zaś człowiekiem jest ten, który najmniej ulega złudzeniom. Ale... ale... nie chciałbym wydać się pani ciemnym i zawiłym. Przeto streszczam się: niech pani myśli, niech pani ma tylko takie zasady, które dadzą się z pogodzić logicznym rozumowaniem, i niech pani zawsze ma na względzie szczęście własne. To da pani szczęście!

— Wolę sto razy lekcję, którą mi pan daje w tej chwili, niż jutrzejszą pana Balettego. Jutro czuję, że będę się nudziła, a dziś przeciwnie...

— A po czym pani poznaje, że się pani nie nudzi?

— Po tym, że pragnęłabym, abyś pan... nie odchodził.

— Jak mi Bóg miły! Żaden filozof nie zdobył się na tak trafną definicję. Ja sam uczuвам niezmierną przyjemność w pani towarzystwie i rad bym bardzo, uściskawszy panią, dowieść jej, jak żywa i głęboka jest ta przyjemność.

— Przyjemność, którą pan odczuwa w moim towarzystwie, pochodzi najwidoczniej stąd, że dusze nasze są w harmonii z naszymi zmysłami.

— Droga pani! Boska kobieto! Jestem wprost zachwycony lotnością twojej inteligencji.

— Tę moją inteligencję sam rozbudziłeś i rozwinąłeś, drogi przyjacielu. Tak jestem ci wdzięczna, że z całej duszy podzielałam twoje pragnienie...

— A cóż stoi na przeszkodzie zaspokojeniu tych obopólnych pragnień! Pozwól, niech cię z całej duszy uścisknę, a i ty nie skąp mi dowodów sympatii.

Cóż to była za przepyszna lekcja filozofii! Wydała nam się tak urocza, szczęście nasze było tak pełne, że o świcie uściskaliśmy się jeszcze i dopiero rozstając się, spostrzegliśmy, że drzwi były otwarte przez całą noc.

Baletti dał jej kilka lekcji tańca; przyjęta była do opery, lecz długo na scenie nie popasała; miesiący dwa, może trzy najwyżej, ściśle stosując się do rad moich i rozumując

<sup>142</sup>deranżować się (daw.) — przeszkadzać sobie, sprawiać sobie kłopot. [przypis edytorski]



sama logicznie, nie dała więcej przystępu do siebie hrabiemu de Narbonne; doczekała najspokojniej i przyjęła hołdy wielkiego pana, niepodobnego do innych z tej już choćby tylko racji, iż wymógł na niej opuszczenie sceny raz na zawsze, na co by kto inny wcale nie nastawał, zgodnie z ówczesnymi przepisami dobrego tonu. Była mu najprzykładniejszą towarzyszką aż do ostatniego dnia życia. Spotykałem ją od czasu do czasu, osypaną brylantami. Dusze nasze pozdrowiały się z żywą uciechą, lecz dobrze jej życząc, anim nawet próbował zamącać jej szczęścia. Wiem, że żyje po dziś dzień w dostatku i spokoju, lecz ma już z dobrych lat pięćdziesiąt sześć, a kobieta w tym wieku, to w Paryżu jakby nie istniała już wcale.

## KWARTET

Casanova, jadący pewnego razu z Padwy do Wenecji, spotyka pędzący wyciągniętym klusem paru dobrych koni pocztowych elegancki kabriolet<sup>143</sup>, podążający z Wenecji do Padwy. W kabrioecie prześliczna młoda kobieta i oficer w mundurze wojsk niemieckich. U mostu nad Brentą kabriolet przewraca się i piękna dama byłaby niechybnie wpadła do rzeki, gdyby Casanova, wyskoczywszy przytomnie z powozu, nie był na ratunek jej pospieszny. Okazało się, iż on jest synem bankiera i tentuje<sup>144</sup> o dostarczenie *en grand*<sup>145</sup> wołów Republice Weneckiej; ona zaś jest żoną pewnego weneckiego wekslarza i jego przyjaciółką. Romantyczne poznanie się pociągnęło za sobą zawiązanie towarzyskich stosunków, ku czemu aż nadto sposobności nastręczał szalejący właśnie w całej pełni karnawał wenecki. Pan C. zapoznał Casanovę z matką swoją i siostrą, a ta ostatnia, osoba przedziwnej piękności i nieopisanego wdzięku, idącego w parze z prostotą oraz szlachetnością uczuć, wywarła na kochliwym lowelasie wręcz piorunujące wrażenie.

Panna C. — pisze — wychodziła na miasto wyłącznie w towarzystwie matki, osoby bardzo pobożnej, a jednak wyrozumiałej. Czytała tylko dzieła ojca, męża wielkiej nauki; wolałaby oczywiście czytać romanse, których, niestety, dostojny jej rodzic nie pisał. Miała też wielką ochotę poznać Wenecję; a ponieważ nikt u nich nie bywał, przeto też nikt jej jeszcze nie powiedział, że jest zachwycająca. Dusza jej jeszcze drzemała — pogrążona w ideowym chaosie.

W kilka dni po mojej pierwszej wizycie brat jej, jakby naumyślnie, powtórzył mi z dziesięć razy, że siostra mówi tylko o mnie, że pragnęłaby porozmawiać ze mną dłużej, a że matka też się mną wielce interesuje. W końcu rzekł bez ogródek: „Byłaby to w sam raz żona dla pana! W posagu dostanie dziesięć tysięcy dukatów<sup>146</sup>, co też nie jest do pogardzenia... Przyjdź pan do nas jutro na kawę”. Zawahałem się — i poszedłem. Po trzech godzinach obcowania z przemiłą dziewczeczką byłem w niej na zabój zakochany. Wyrwało mi się, że zazdroszczę temu, który ją posiadzie za żonę i ten pierwszy w życiu usłyszany komplement powlókł jej policzki precudną czerwienią. Czy jednak mogłem liczyć na jej rękę! Przenigdy! Aby rozproszyć zbyt uporczywe o niej marzenia, zacząłem grać bez pamięci. Szczęście mi sprzyjało... Ponieważ przed poznaniem jeszcze panny C. pozwoliłem sobie asystować przyjaciółce jej brata, uknuł on przeto plan rozkochania mnie we własnej siostrze, aby tym sposobem zabezpieczyć swą przyjaciółkę przed moją ewentualną natarczywością, która, jak niewątpliwie musiał spostrzec, nie była jej wcale przykra. Idąc konsekwentnie po linii tego planu, zaprosił mnie na operę. Mieliśmy pójść do łoży we troje, bez matki. Po drodze do teatru kazał stanąć gondoli u drzwi swej metresy, podobno niezdrowej, i pożegnał nas, zapewniając, że najdalej w połowie pierwszego aktu zjawi się w łoży. Był dzień precudny; czasu do rozpoczęcia się widowiska było dosyć; zaproponowałem przejażdżkę... Poprzysięgałem sobie uszanować jej niewinność, nie nadużywać zaufania; jej swoboda, jej wesoła niefrasobliwość podniecały moje uczucie; byłem z sobą w zupełnej rozterce; nie wiedziałem, co mówić, obawiając się dotknąć tematu miłości;

<sup>143</sup>kabriolet (daw.) — lekki jednokonny dwukołowy powóz ze składaną budą. [przypis edytorski]

<sup>144</sup>tentować (daw.) — starać się o coś, zabiegać. [przypis edytorski]

<sup>145</sup>en grand (fr.) — tu: w wielkiej ilości. [przypis edytorski]

<sup>146</sup>dukat — złota moneta bita w Wenecji od XIII w., później także w wielu innych krajach Europy. [przypis edytorski]

milczałem, admirując<sup>147</sup> jej boskie kształty, lecz nie śmiejąc, aby nie urazić jej skromności, wpatrywać się w rozwijające się dopiero jej piersi, toczono, zda się, ręką Amora<sup>148</sup>.

— Niechże pan co mówi!... Przygląda się pan tylko mi i milczy. Poświęcił się pan dla mnie, nie poszedł pan z bratem do pani jego serca, która ma być podobno niezmiernie miła i bardzo piękna.

— Widziałem ją. Lecz nie mam najmniejszego zamiaru być u niej. Tedy poświęcenia z mej strony nie ma wcale.

— Sądziłam, że pan smutny i dlatego tak milczący.

— Nie posiadam się z radości, że mi pani tak ufa... Poruszony jestem tym do głębi. Słów nie znajduję...

— Niech się pan nie dziwi — przerwała. — Mam pana za człowieka honoru, co zresztą i matka moja często powtarza. Pan nieżonaty; pytałam o to brata. Pamięta pan, że mi pan mówił, iż zazdrości... memu przyszedłemu mężowi. Powiem w zamian, że kobieta, która pana posiadzie za męża, będzie moim zdaniem najszczęśliwszą kobietą w Wenecji.

Słowa te, wymówione z uroczą naiwnością, a jawną szczerością nacechowane, wywarły na mnie wrażenie niedające się opisać. Byłem w rozpacz, że nie mogę ucałować różanych usteczek, które tak się odezwały, a zarazem byłem w siódmym niebie na myśl, iż kocha mnie tak anielska istota.

— Jeżeli mamy wzajemnie o sobie tak pochlebne wyobrażenie, cóż by mogło stać na przeszkodzie naszemu połączeniu się na życie całe? Nieprawdaż, boska panno C.? Lecz, niestety, mógłbym być ojcem pani...

— Co za myśl! Ja mam przecie czternaście lat skończonych.

— A ja dwadzieścia osiem...

Gondola stanęła u teatru. Przedstawienie pochłonęło całkowicie moją towarzyszkę. Brat jej zjawił się, jak było do przewidzenia, dopiero pod sam koniec spektaklu. Zaprosiłem ich na kolację. Nie mogłem odzyskać ani humoru, ani rozmowności. Byłem po prostu chory — z miłości. Gdy kolacja miała się ku końcowi, brat panny C. zaczął jej dokuczać, że ja zakochany jestem w niej na zabój i że odzyskałbym swobodę i humor, jeśli by mi pozwoliła się pocałować. Za całą odpowiedź zwróciła ku mnie usta pełne wesołego śmiechu i rozkosznej pustoty. Zawrzało wszystko we mnie, lecz potrafiłem uszanować niewinną i naiwną dziewczeczkę; pocałowałem ją w policzek i to bardzo chłodno.

— Cóż za pocałunek! — jął wołać zacny braciszek. — Powtórzyć! Powtórzyć! A ognisćcie.

Zirytował mnie swą bezczelnością; chciałem dać mu odprawę, lecz panna C. rzekła w tej chwili ze szczerym smutkiem w głosie:

— Pan Casanova, widzę to jasno, nie gustuje we mnie...

Tego było już za wiele. Nie mogłem dłużej panować nad sobą.

— Boska panno C.! — zawołałem. — Jeżeli chodzi o złożenie dowodu, jak szalenie pani mi się podoba...

I nie hamując się już wcale, a przyciskając ją namiętnie do piersi, wpiłem się w jej wargi, aż mnie samemu w oczach pociemniało, zaś ona musiała niezawodnie odczuć, iż jak lekka gołąbka dostała się w szpony jastrzębia. Wyrwała się z moich objęć, nieopisanie zdziwiona odkryciem, że kocham ją do tego stopnia! Brat jej klaskał w dłonie. Włożyła szybko maskę, aby ukryć pomieszenie. Spytałem, czy wierzy teraz, że mnie się podoba? Odrzekła, iż przekonałem ją aż nadto dobitnie.

Nazajutrz przyszedł brat jej oznajmić mi, że siostra rozmówiła się z matką i oświadczyła jej, iż tylko i jedynie mnie pragnie mieć za męża. „Ubóstwiam pańską siostrę — rzekłem — ale czy pan sądzi, że jej ojciec zgodzi się na nasze małżeństwo?” Odparł: „Wątpię!”. Oznajmił mi jednak zarazem, że matka pozwoliła mojej ukochanej pójść dziś wieczorem ze mną na operę. Takem się ucieszył, że nie namyślając się wcale zażyrowałem<sup>149</sup> weksel, który mi nicpoń, żegnając się, podsunął. Wyszedłem natychmiast na miasto kupić pierwszy prezent dla mojej ubóstwianej: tuzin rękawiczek, tyleż par pończoch jedwabnych i jedną parę ażurowych ze złotymi podwiązkami. Zostawieni znowu sam na

<sup>147</sup> *admirować* — podziwiać, zachwycać się. [przypis edytorski]

<sup>148</sup> *Amor* (mit. rzym.) — syn Wenus i Marsa, bóg miłości. [przypis edytorski]

<sup>149</sup> *żyrować* — poręczać pisemnie zapłatę weksla wystawionego przez inną osobę. [przypis edytorski]

sam przez brata, mając do teatralnej pory z parę godzin przed sobą, popłynęliśmy do pewnego ogródka w okolicach świętego Błażeja. Szybko wynajęłam go za kilka cekinów<sup>150</sup> wyłącznie dla nas; wzięliśmy pokój w oberży i zrzuciwszy tam maski, zamówiliśmy obiad w ogrodzie. Uroczą C. miała na sobie leciutką sukienkę, poprzez której batysty i muśliny moje zakochane oczy wciąż szukały jej upajającego ciała. Nie posiadałam się z miłosego podniecenia, z trudem panując nad sobą.

Skorośmy tylko zagłębili się w cienistą aleję, towarzyska moja, poczuwszy pełnię swobody, niezazwyczaj prawie nigdy, jęła jak lania biegać i skakać po gazonach<sup>151</sup> to na prawo, to na lewo od alei, z pustotą dziecka, a zwinnością i gracją taką, iż przyglądałam się jej w rzetelnej ekstazie. Wyzwała mnie na wyścig. Zgoda! Lecz — zastrzegłam — pokonany uczyni wszystko, co się zwycięzcy spodoba! Przystała. Biegniemy. Pozwalam jej naumyślnie wygrać, ciekawy, czego ode mnie zażąda. Po chwili namysłu ukrywa się za drzewo, chowa gdzieś przy sobie pierścionek i wybiegłszy z ukrycia, każe mi go szukać. W lot, rozumie się, postanowiłam sobie nie płoszyć zbytnią obcesowością jej naiwnej ufności i uszczęśliwiony usiadłam obok niej na trawie. Przeszukałam jej kieszenie, każdą fałdę sukienki, wreszcie pończoszki aż do podwiązek u kolan... Nie ma pierścionka! Szukam dalej. Nie ma nigdzie. Może już kto i domyślił się, że ukryty w najcudniejszym zakątku, miał najprześlicniejszych dwóch stróżów, jakich kiedy matka przyroda na świat wydała. Ja jednak przez czas dość długi byłam zgoła niedomyślna, a gdy pierścionek wydostał nareszcie z ukrycia, tak byłam wzruszona, że ręka mi drżała. Na jej pytanie odrzekłam, że to... z uciechy, iż pierścionek tak znakomicie ukryty, jednak udało mi się znaleźć! Proszę o rewanz. Biegniemy jeszcze raz. Oczywiście jestem pierwszy u mety, lecz ona woła, że zwyciężyłam podstępem. Certujemy się, przekomarzamy... W końcu poddaję się i uznaję się za zwyciężonego. Skazuje mnie na zamienienie z nią podwiązek. Korzystam z niespodziewanej okazji, aby ofiarować jej kupioną dla niej parę istotnie bardzo pięknych podwiązek. Jest uszczęśliwiona.

— Byleby — rzekła na wpół serio, na wpół żartem — brat mi ich nie ukradł.

Zdziwiłam się bardzo.

— Osobliwie — dodała — jeśli klamry są szczerozłote.

— Są istotnie złote, ale niech pani mówi, że pozłacane...

Spożyliśmy obiad niezmiernie wesoło i w doskonałej komitywie. Po obiedzie, ponieważ spieszo jej było przymierzyć nowe podwiązki, poprosiła mnie, abym jej dopomógł w ich zawiązywaniu. Nie było w tym żadnej rozmyślnie ryzykownej kokieterii, nie było tym mniej wyuzdania. Piętnastoletnie dziewczę, nieznające jeszcze miłości, trzymane z dala nie tylko od towarzystwa mężczyzn, lecz nawet rówieśnic, nie rozumie, co to jest męska pożądlivość i co ją może podniecić.

Okazało się, że pończoszki za krótkie, że nie sięgają za kolana. Znowu skorzystałam w mig z okazji, aby dobywszy zręcznie z kieszeni kupione pończochy, ofiarować jej ten drobny upominek. Z radości usiadła mi na kolanach i uściskała jak ojca, który by prezent jej uczynił. Odpowiedziałam jej uściskiem za uścisk, hamując wciąż jednak impet zrozumiałego podniecenia; poprzestałam tylko na powiedzeniu, że jeden jej pocałunek wart więcej niż całe królestwo. Prześliczna C. zdjęła trzewiczki i włożyła nowe pończochy, sięgające aż do połowy uda. Onieśmielała mnie jej uroczą naiwnością; trzymałam się jak kot na lodzie... powtarzając sobie po tysiącokrotnie mocne postanowienie nietknięcia tak łatwej, a tak rozkosznej zdobyczy.

Zamaskowani pojechaliśmy do opery, gdzie już w łoży oczekiwał na nas brat panny C. ze swą donną. Zrozumiałem od razu, że nie wykręcę się od kolacji we czworo. Czwórka była wcale niedobrana... Jakoż jeszcze przed deserem zacny braciszek, dobrze podchmielony, jął z panią swego serca rozwalać się i miotać po kanapie zgoła nieprzyzwojnie. Uprowadziłam biedaczkę C. we framugę okna, nie mogłam jednak zapobiec, aby w zwierciadle nie zobaczyła tego, co się działo na kanapie i co odbiło się na jej policzkach płomiennym rumieńcem. Co do mnie, byłam jak na rozżarzonych węglach. Bezwstydny Paolo rzucił się mnie uściskać; C. zapewniła, że nic a nic nie widziała... z wejrzenia

<sup>150</sup>cekini — dawna złota moneta włoska, bita od XIII w. w Wenecji, nazywana później dukatem. [przypis edytorski]

<sup>151</sup>gazon — ozdobny trawnik obsadzony kwiatami i krzewami. [przypis edytorski]

jednak, które mi rzuciła, zmiarkowałem<sup>152</sup> aż nadto dobrze, że się rzecz miała wręcz przeciwnie. Byłem nieopisanie zły i zirytowany. Byłbym Paola udusił. Nazajutrz, gdym mu czynił najostrzejsze wyrzuty, odparł spokojnie, iż nigdy nie byłby się zapomniał do tego stopnia, jeśliby nie był pewny, że ja z jego siostrą jestem na takiej stopie, jak on ze swoją donną.

Im mocniej zakochany byłem w C., tym okropniejsze wydało mi się obcowanie jej z takim bratem. Mówiono, że własną kochankę wyzyskuje... Nietrudno było temu uwierzyć. A że miał zamiar wyzyskiwać stale moją miłość dla siostry, było rzeczą aż nadto widoczną. Postanowiłem tedy wyrwać ukochaną z takiego środowiska, a przede wszystkim zerwać z Paolem. Oświadczyłem mu to wręcz i bez ogródek. Tłumaczył się, że często bardzo mówi i czyni pod wpływem zbyt obficie zażywane alkoholu, a po wtóre, skądże mógł przypuścić, że pałam ku jego siostrze miłością równie głęboką, jak czystą! Rzucił się, płacząc, w moje objęcia. Czulem ogarniające mnie wzruszenie. Na szczęście matka i córka weszły w tym momencie do pokoju i jęły gorąco dziękować mi za przeszliczne podarunki. Zwróciłem rozmowę na temat moich uczuć.

— Kocham bezgranicznie córkę pani — rzekłem — w nadziei, że mi ją państwo dacie za żonę. Mówić o tym będę z szanownym pani małżonkiem natychmiast po otrzymaniu posady, która żonie mojej zapewni stały dobrobyt.

Gdym całował podaną mi rękę, poczułem lzy płynące mi po twarzy; matka też się rozplakała, a Paolo stał oniemiały i osłupiały.

Była Wielkanoc. Zaproponowałem przyjaciółce mojej operę. Zgodziła się chętnie. Brat jej wcisnął mi w rękę klucz od ich domu, zapewniając, iż mogę siostrę odwiedzić, o której godzinie mi się podoba. Przed operą pojechaliśmy do „naszego” ogródka. Że było w nim pełno świątecznych gości, kazaliśmy sobie dać pokój oddzielny w austerii i nie spiesząc się do teatru, postanowiliśmy zjeść kolację. Mieliśmy zresztą aż kilka godzin przed sobą, o nudzeniu się zaś chyba mowy być nie mogło. Jakoż śliczna moja przyjaciółka, usiadłszy mi na kolanach, jęła zapewniać mnie, że nic ją tak bardzo nie zjednało dla mnie, jak moje zachowanie się wówczas, kiedy w zwierciadle ujrzała przypadkiem okropną scenę. Za moją dyskrecję i delikatność dziękowała mi serdecznie, nie szczędząc pocałunków, które stawały się coraz ognistsze.

— Czyś ty widział, jak on ją wówczas przegiął?... Ja dobrze w lustrze widzieć nie mogłam wszystkiego.

— A nie bałaś się, że i ja mogę nagle i niespodziewanie tak cię chwycić?

— Broń Boże! Czyliż nie wiedziałam, jak bardzo mnie kochasz! Obraziłbyś mnie i utraciłbyś moją miłość. My poczekamy... na ślub, nieprawdaż, drogi przyjacielu? Ale... ale... Co znaczą wiersze na podwiązках, któreś mi dał?

I siedząc na moich kolanach, odpięła jedną, podczas gdym ja nieco wolniej załatwiał się z drugą. Prawda! Są wiersze. Nie spostrzegłem; byłbym oczywiście nie ofiarowywał jej podwiązek z takim oto dwuwierszem:

*En voyant chaque jour le bijou de ma belle  
Vous lui direz qu'Amour veut qu'il lui soit fidèle.*<sup>153</sup>

Zaśmiałem się głośno, a śmiałem się jeszcze mocniej, gdy jęła mnie przynaglać, abym jej wytłumaczył sens tego dwuwiersza. Spróbowałem, zmuszony jej ignorancją, wchodzić w wiele szczegółów, które nas zlewały jak ukropem.

— Nie będę mogła teraz nikomu — rzekła — pokazać moich podwiązek — a szkoda! — A widząc moje zamyślenie: — O czym myślisz? — spytała żywo.

— Myślę o tym — odparłem — że jednak ta podwiązka posiada przywilej dla mnie niedostępny. Oddałbym życie...

— Nie oddawaj życia — przerwała — lecz żyj! Możemy przecie ślub nasz przyspieszyć.

— Mnie się zdaje, że ojciec twój będzie czynić obiekcje. Na przykład, żeś za młoda. I może mieć będzie rację.

— Przenigdy! Jestem wprawdzie bardzo młoda, lecz nie tak już młoda, aby nie móc

<sup>152</sup>miarkować (daw.) — domyślać się, wnioskować. [przypis edytorski]

<sup>153</sup>*En voyant chaque jour le bijou de ma belle...* (fr.) — Oglądając każdego dnia klejnot mojej ukochanej, przypominaj jej, że powinien być wierny bożkowi miłości. [przypis tłumacza]

być twoją żoną.

Czułem, że siły zaczynają mi nie dopisywać. Jęliśmy zamieniać przysięgi wiecznej miłości.

— Bądź moją już teraz! — zawołałem. — Pozwolenie ojca, błogosławieństwo kościelne znajdą się... we właściwym czasie...

Ona ze swej strony zapewniła, że już do mnie całkowicie należy. Zawołaliśmy gospodynię, przykazując jej, aby kolacji nie wnoszono wpierw, aż sami o nią poprosimy. C. rzuciła się na łóżko. Wytłumaczyłem jej bez trudu, że miłość jest płochliwa i że nie należy zrażać jej przeszkodami; tedy w minut parę leżała już naga jak Ewa, jak najprzepyszniejsze arcydzieło, wyszłe<sup>154</sup> co tylko z rąk największego artysty. Blask bił od cudnej białości jej atlasowej skóry, osypanej u ramion i u piersi zwojami hebanowych włosów. Wszystko w niej było skończenie piękne: kibić wiotka, kształty przedziwne, piersi zupełnie już rozwinięte, duże oczy pełne słodyczy i namiętności zarazem. Piłem te czary i wdzięki nienasyconymi oczami, oglądając doskonałą piękność Wenery<sup>155</sup>, podniesioną jeszcze przez skromność nad wyraz powabnej kobiety<sup>156</sup>. Byłem w ekstazie, prawie przez nią obezwładniony, gdy nagle figlarny bożek miłości wtrącił ucieszny żart i śmiech w moment rozpętania się zmysłów.

— O mój drogi! — zawołała nagle C. — Jakżeś ty niepodobny do mojej poduszki!

— Co? — zawołałem, wybuchając śmiechem.

— Nic, to dzieciństwo<sup>157</sup>... ale od pewnego czasu zasypiałam, trzymając w objęciu moją dużą poduszkę i wyobrażając sobie, że to ty...

Najdroższa, najmiłsza C. została moją żoną iście bohatersko; nawet dość ostry ból uczyniła jej bezgraniczna miłość słodkim i przyjemnym. Po trzech godzinach najrozkoszniejszej rozrywki wstaliśmy i zażądaliśmy kolacji, która nam przedziwnie smakowała. Nie mówiliśmy nic, patrząc sobie w oczy. Cóż moglibyśmy wymowniejszego powiedzieć nad te spojrzenia pełne płomiennego uczucia! Naszą lożę w operze podarowaliśmy gospodyni (pobiegła, nad wyraz uszczęśliwiona, wyprawić natychmiast córkę do teatru) i reszta wieczoru zeszła nam tak, jak jego pierwsza połowa.

Zakochany ponad wszelką miarę Casanova, najbezczelniej wyzyskiwany przez godnego braciszka swej bogdanki<sup>158</sup>, trwa w zamiarze jej najlegalniejszego poślubienia. Usiłuje nawet, w czasie częstych widywań się z nią sam na sam w ogródkowej oberży, tak sprawę pokierować, aby małżeństwo było dla uroczej panny C. wręcz koniecznością. Ona mu też w tej słodkiej „intrydze”, mającej przełamać ewentualny opór ojca, gorliwie dopomaga. Niestety! Zanim owocność tych zabiegów mogła się okazać, rodzic panny, wróciwszy do Wenecji z dalszej podróży, oświadczył kategorycznie, że córki za nic w świecie nie puści do ołtarza przed... osiemnastym rokiem życia! I nie namyślając się długo, wysłał ją na brakujące jej jeszcze trzy lata — do klasztoru w Murano. Udało się stamtąd biedaczce przesłać jeszcze przez zaufaną osobę liścik do Casanovy, oznajmiający mu o wszystkim, co zaszło. Zaufaną osobą była służąca klasztorna, jeżdżąca co środa z Murano do Wenecji i załatwiająca wespół ze sprawunkami korespondencję zarówno klasztornych „pensjonarek”, jak na przykład panny C., jak i dożywotnich klasztoru mieszkanek. Nieposiadający się z radości Casanova odpisuje ukochanej list na czterech ćwiartkach i hojnym datkiem zapewnia sobie raz na zawsze jak najgorliwszą usługę jej powiernicy.

<sup>154</sup>wyszłe — dziś: takie, które wyszło. [przypis edytorski]

<sup>155</sup>Wenera a. *Wenus* (mit. rzym.) — bogini miłości. [przypis edytorski]

<sup>156</sup>doskonałą piękność Wenery, podniesioną jeszcze przez skromność nad wyraz powabnej kobiety — dosłownie w tekście: „*la perfection dela mère des amours embelle de tout ce que la pudeur répand de charmes sur les attraits d'une belle femme*”. Niech ten zwrot służy zarazem za próbę stylu Casanovy, niedającego się utrzymać w pełnej czystości w przekładzie polskim, a osobliwie w skrótach, którymi się tu nader często posługujemy. [przypis tłumacza]

<sup>157</sup>dzieciństwo (daw.) — dziś: dziecinada; postępowanie dziecinne, właściwe dzieciom, a nie dojrzałym ludziom. [przypis edytorski]

<sup>158</sup>bogdanka (daw.) — ukochana. [przypis edytorski]

Miałem niezłomny zamiar porwać z klasztoru moją „żoneczkę” ... Tymczasem, ponieważ do przysłej środy było daleko, skracałem sobie czas oczekiwania na jej list, grając zapamiętane — i nieszczęśliwie. W parę dni przegrałem wszystką gotówkę, którą posiadał, do ostatniego grosza. Uratowało mnie zaznajomienie się z pewnym mediolańczykiem, nazwiskiem Troce, niezmiernie biegłym w pomaganiu szczęściu w kartach. Dzięki jego wskazówkom wygrałem kilka tysięcy cekinów.

We środę otrzymałem zamiast listu rodzaj dziennika, pełnego szczegółów. Pisała tam C. między innymi, bardzo ucieszenie, że jedna z mniszek, dwudziestoparoletnia, prześlizżona dziewczyna, formalnie się w niej zakochała, że daje jej lekcje języka francuskiego, a tak zazdrosna, iż wręcz nie pozwala jej nawet zaznajamiać się z pensjonarkami. „Gdy jesteś sama — pisała — całuje mnie na potęgę, że byłbyś zazdrosny, jeśliby moja przyjaciółka nie była kobietą”. Prosiła mnie też moja ukochana o mój portret, wprawiony do pierścionka tak, aby go nikt dostrzec nie mógł. Pierścione, radziła, mogę przesłać jej za pośrednictwem matki, odwiedzającej ją w Murano. „Zresztą — pisała w końcu dziennika — mam nadzieję być za kilka miesięcy w takim stanie, że sama przełożona prosić będzie, aby mnie co rychlej z klasztoru zabrano...” Stosując się do życzenia C., kazałem natychmiast portret swój malować pewnemu piemontczykowi, bardzo utalentowanemu artyście, który moc pieniędzy zarabiał. Po drugiej stronie mego portretu, mającego oczywiście kształt malutkiej miniatury, kazałem mu wymalować św. Katarzynę Sieneńską, a najlepszy jubiler wenecki wprawił ją niezmiernie kunsztownie w pierścionek. Szpilką naciskało się zaledwie widzialny guziczek i pomysłowy mechanizm dobywał na jaw mój wizerunek. Pierścionek wręczyłem matce C., prosząc o oddanie go córce jako symbol niezłomnej mojej wierności. Bogobojna pani C. była uszczęśliwiona z mego osobliwego nabożeństwa do św. Katarzyny, o której też i ona nigdy nie zapomniała w swoich modlitwach. Ukochana moja była w siódmym niebie. Wciąż tylko — jak mi donosiła w listach — drżała, aby która z mniszek, tak często oglądających osobliwy pierścionek, nie nacisnęła przypadkiem sprężynki, która by jej ukazała wprawdzie „boskie kształty”, lecz bynajmniej nie żadnego świętego.

Pewnego razu o brzasku dnia budzi mnie służący i powiada, że Laura z Murano — nasza zaufana — pragnie osobiście coś mi zakomunikować. Tknęło mnie przecucie, że musiało się stać coś fatalnego, jakoż Laura powiada mi bez ogródek, że droga moja „żoneczka”... zroniła i że przysłała ją po jak największą ilość bielizny, aby zatrzeć ślady krwotoku, ukryć tajemnice i honor swój uratować. Przerażony, poruszony do głębi skończyłem do pewnego Żyda, handlarza bielizną, kupiłem kilkanaście prześcieradeł i dwieście serwet, zapakowałem w wór i popędziliśmy, ja i Laura, do Murano. Na kartce skreśliłem ołówkiem kilka słów, oznajmiając C., że nie ruszę się z Murano, dopóki nie minie wszelkie niebezpieczeństwo. W Murano! Ale gdzie? Laura zaprosiła mnie do siebie, do swoich skromnych paru izdebek, gdzie mieszkała z dwiema ślicznymi jak aniołki córkami. Nie powiem, aby mi przysłowie o wilku i owczarni na myśl nie przyszło...

Wiadomości z klasztoru przyniosła mi Laura okropne. G. pisała mi z łóżka kartkę zaledwie czytelną, że krwi traci mnóstwo i nie wyobraża sobie, aby żyć mogła. Laura raz po raz przynosiła z klasztoru ukryte pod mantylą płótna, świadczące aż nadto wymownie o gwałtowności krwotoku.

Przez dni kilka byłem sam między życiem a śmiercią z niepokojem i alteracją<sup>159</sup>. Laura przynosiła z klasztoru coraz gorsze nowiny. Wprawdzie przy chorej był lekarz, lecz cóż mógł poradzić na jej straszne osłabienie! Nocą dozorowała ją pielęgniarzka; odwiedziła ją kilkakrotnie matka, rozumie się, nie domyślając się istotnej przyczyny zasłabnięcia. Nareszcie, nareszcie otrzymałem wiadomości, że minęło, co było najgorszego, mianowicie niebezpieczeństwo śmierci! Uszczęśliwiony i spokojniejszy nieco, sypanąłem hojnie cekinami i teraz dopiero zauważyłem, że moje współlokatorzki, obie córki Laury, są wcale, wcale niczego... Mniejsza! Niech będą aniołami w ludzkim ciele. Co one mogą mnie obchodzić!

Tegoż wieczora poszedłem wcześniej spać, znużony i wyczerpany doznanymi wzruszeniami. Gdy tylko się położył, weszły do izby obie dziewczyny, rozebrały się i ułożyły się do snu na łóżku stojącym obok mojego. To pełne niewinności zaufanie spodobało

Dar, Tajemnica, Kochanek

Choroba,  
Niebezpieczeństwo, Krew,  
Kobieta

<sup>159</sup>alteracja (daw., z łac.) — wzburzenie, niepokój. [przypis edytorski]

mi się. Trzecia, najstarsza, bardziej doświadczona, poszła spać do sąsiedniej izby, ile że miała kochanka, zapewniającego, że się z nią ożeni. Diabeł mnie na szczęście nie kusił; ja też ze swej strony nie wystawiłem obu niewinnych dziewczątek na żadną próbną pokusę. Nazajutrz balsam mi Laura przyniosła, nie nowinę! Najdroższa moja chora czuła się znacznie, znacznie lepiej... Rozpoczęła się rekonwalescencja. Jeszcze dni osiem przemieszkał u Laury, dopóki nie otrzymałem własnoręcznego, długiego listu od mojej ukochanej, zapewniającego mnie, iż moja bytność w Murano już jest zgoła zbyteczna. Całą bieliznę kupioną dla C. podarowałem Laurze. Rozpląkała się z radości. Córki jej płakały też, lecz domniemanie z żalu, że podczas całej mojej bytności w Murano nie tentowałem u żadnej z nich nawet o całusa.

Wróciłem do Wenecji. Pędząc żywot eremity<sup>160</sup>, tęskniłem nieopisanie do mojej prze- najdroższej „mniszeczki”. Nie pisała mi atoli nic już o porwaniu, tylko przykazywała na siebie czekać. Wciąż przemyślałem, jakby też się z nią zobaczyć. Sposobność nie kazała długo na siebie czekać. Utartym obyczajem w dniu przyjęcia do klasztoru w Murano paru nowicjuszek pensjonarki klasztorne słuchały mszy w przepelnionym kościele. Wmieszany w tłum ujrzałem ją! Ona też natychmiast mnie spostrzegła. Spojrzenia nasze zwały się z sobą. Ciemno w oczach mi się zrobiło. Wydała mi się piękniejsza niż kiedy. We trzy dni potem otrzymałem od niej list, w którym każde słowo wręcz płonęło. Odpisałem, że będę w kościele w Murano w każde święto, aby mogła zza kraty na chórze mnie widzieć. Sądziłem, że nikt nie spostrzeże bytności na nabożeństwie jakiegoś nieznanego w Murano pana... A właśnie! Po miesiącu pisała mi C., że wszystkie mniszki i pensjonarki łamią sobie głowę, kto zacz jest ten pan, tak pilnie uczęszczający na nabożeństwa klasztorne! Ich domysły i komentarze bawiły ją przerozkosnie. Lecz czyż mi to wszystko mogło wystarczyć? Czyliż takim trybem żyć mogłem przez czas dłuższy, bezterminowy? Nudziłem się i chudłem.

W dniu Wszystkich Świętych, a był to już rok 1753, idąc z Murano ku gondoli, która miała mnie odwieźć do Wenecji, spotkałem prostą kobietę z ludu, w rodzaju Laury. Mi- jając mnie, upuściła na ziemię list. Podnoszę go i widzę, jak obejrzała się raz i drugi, jakby dla przekonania się, że list doszedł do moich rąk. Na kopercie nie ma adresu, pieczętka bez żadnego znaku. Przyspieszam kroku i zaledwie gondola odbiła od brzegu, rozrywam kopertę i czytam: „Zakonnica, która od dwóch i pół miesiąca widuje pana w kościele klasztornym życzyłaby sobie zapoznać się z panem. Wskaże panu pewną damę, która pa- na wprowadzi do parlatorium<sup>161</sup>. Chcę, aby mnie pan wpierw zobaczył, zanim zdecyduje się mnie poznać. Jeżeli ta droga poznamienia się nie wyda się panu właściwą, rzeczona zakonnica wskaże panu pewne *casino*<sup>162</sup> w Muranie, gdzie ją pan będzie mógł zastać samą o pierwszej w nocy w dniu wskazanym przez pana. Będzie pan mógł spożyć z nią kolację i w kwadrans potem opuścić ją, o ile by panu to dogadzało. Lub może by pan wolał zaprosić ją na kolację do Wenecji? Oznacz jej pan dzień i godzinę — późnym wieczorem. Przyjedzie zamaskowana w gondoli; bądź pan na brzegu zamaskowany, z latarką w ręku. Jestem pewna, że mi pan odpowie, pojmując, z jaką niecierpliwością będę na jego odpowiedź oczekiwała. Prześle mi ją pan przez kobietę, za pośrednictwem której pan list mój otrzymał. Kobietę tę zastanie pan na godzinę przed południem jutro w kościele Zbawiciela u pierwszego bocznego ołtarza po prawej stronie. Nie pisałabym oczywiście do pana, nie mając pełnego zaufania do jego honoru i jego dyskrecji”.

Zdziwił mnie nie sam fakt otrzymania podobnego listu, lecz ton listu. List był szalony, lecz zarazem pełny godności. Strzeliło mi do głowy, że napisać go musiała ta urodziwa i romantyczna zakonnica, która dawała lekcje mojej ukochanej... Ale oczywiście było to tylko proste przypuszczenie, gra imaginacji.

Odpisałem niezmiernie grzecznie, dając jednak do zrozumienia, iż obawiam się, aby nie paść ofiarą mistyfikacji. Co do sposobu widzenia się, wybrałem pierwszy. Niezwłocznie też otrzymałem liścik od hrabiny S., która nie pytając o nic, miała mi ułatwić wstęp do klasztornej parlatorium. W parę dni potem płynęliśmy z nią ku klasztorowi, roz-

<sup>160</sup>*eremita* — pustelnik. [przypis edytorski]

<sup>161</sup>*parlatorium* — rozmównica, pomieszczenie w klasztorze przeznaczone do rozmów z gośćmi. [przypis edytorski]

<sup>162</sup>*casino* (wł. dosł.: domek; daw.) — dom wypoczynkowy lub wakacyjny, zwłaszcza we Włoszech. [przypis edytorski]

mawiając, jak gdyby nic, o pogodzie. U furty hrabina wymienia nazwisko, jedno z najgłośniejszych w kraju. Po chwili jesteśmy w gabinecie, którego jedną ścianę stanowiła krata. Za kratą ukazuje się zakonnica; idzie prosto ku kracie, naciska guzik, szeroko rozsuwają się sztaby, przyjaciółki uściskują się, otwór znów znika, przyjaciółki rozmawiają ze sobą przez kratę, a ja dość napatrzeć się nie mogę jednej z najpiękniejszych, najbardziej uroczych kobiet chyba na ziemskim globie. Byłem teraz pewny, że M. M. jest właśnie tą zakonnica, o której mi tyle razy pisała C. C., jej przygodną nauczycielką. Nie tylko nie odezwała się do mnie, lecz nie racyła nawet na mnie spojrzeć. Miała najwyżej lat 23; wysoka, smukła, miała przepiękną rękę, którą mogłem doskonale oglądać, aż po łokieć obnażoną. Wyraz twarzy, przedziwnie miły, łagodził pewną wyniosłość; rozkoszne, wilgotne usta znamionowały ognisty temperament. Byłem oczarowany. Pilno mi było zostać z nią sam na sam. Nagle obie przyjaciółki zaczęły coś do siebie szeptać. Dyskretnie odsunąłem się dalej na stronę. Trwało to kwadrans, po czym krata znów się rozsunęła, przyjaciółki uściśniły się na pożegnanie, ruchoma krata znów się zasunęła i M. M. wyszła, nawet nie zwróciwszy uwagi na moją obecność. Rozumiałem dobrze, że chodziło jej tylko o to, abym ją zobaczył... Odwiozłem hrabinę S. do jej pałacu i cały przeniknięty tym, co zaszło, jąłem dociekać, jak też zakonnica może rozporządzać własnym *casino* w Murano dla przyjmowania w nim na całą noc swego kochanka! Dziw nad dziwami! Chyba sama jest metresą jakiegoś magnata... Co zaś do mojej C. C., to czułem doskonale, że już ją zdradzam, lecz sumienie miałem spokojne. Wydawało mi się, że nie wyrządzam jej przez to krzywdy, gdyż dygresja w stronę M. M. zapobiega znakomicie spowszednieniu mego stosunku do C. C., zapobiega nudzie i przesytowi. Byłem pewny, że sama C. C. byłaby tegoż zdania i nie brałaby mi za złe mojej „niewierności”. W arystokratycznych sferach weneckich udało mi się coś niecoś dowiedzieć o M. M. Dziwiono się, że wstąpiła do klasztoru tak piękna, bogata, wykształcona i wolnomyślna! Ot — mówiono — kaprys! Chodziły słuchy, że ma kochanka.

Jak tylko można było najspieszniej popędziłem do Murano. U furty klasztornej proszę w imieniu hrabiny S. o widzenie się z zakonnica M. M. Furtianka wprowadza mnie do gabinetu; siadam przed kratą i czekam. Czekam... czekam... całą i długą godzinę. Sądząc, że furtianka nie wypełniła mego polecenia, dzwonię i powtarzam. Znowu czekam. W dobre pół godziny zjawia się furtianka i oświadcza krótko i węzłowato: „Mateczka M. M. zajęta; przez dzień cały będzie niewidzialna”... Byłem jak piorunem rażony. Zakpiła ze mnie, zmistyfikowała! Byłem zły, a zarazem nieopisanie dotknięty w miłości własnej. Postanowiłem zemścić się. Trzeba przecie było odesłać jej listy, coś napisać... Napisałem kolejno trzy kartki... Podarłem... Dzień za dniem upływał. Czulem, że zakochany jestem w M. M., jak to mówią, po uszy. Zbyt silne uczyniła na mnie wrażenie. Piorunujące! Narreszcie udało mi się napisać list — znośny. Pisałem niezmiernie grzecznie i niezmiernie spokojnie; radziłem być na przyszłość ostrożniejszą, gdyż trafić może na człowieka o wiele mniej delikatnego i wyrozumiałego; tłumaczyłem, że do kościoła klasztorowego więcej przychodzić na nabożeństwo nie będę, gdyż nie chcę być „ogładany” przez jej koleżanki, którym z pewnością musiała opowiedzieć, jakiego mi doskonałego figla wypłatała. List posłałem przez *forlana*, tj. przez jednego z weneckich specjalnych posłańców dla spraw wymagających osobliwego sprytu i wypróbowanej dyskrecji, przykazując, aby, broń Boże, na żadną odpowiedź nie czekał.

Minęło dni kilka. Zdawało mi się, że rzecz cała jest zakończona i wyczerpana, gdy nagle pięknego poranku zjawia się u mnie ów *forlano*, któremu był posłał z listem do klasztoru. Powiada, że został wezwany do klasztoru przez furtiankę i że rozmawiał z pewną zakonnica, która go o mnie szczegółowo wypytywała; że nie znając mnie, nie mógł udzielić jej żadnych wiadomości; że wówczas dała mu ona list, obiecując dwa cekiny, jeśli mnie odszuka i list mi doręczy. Sprytny *forlano* po dziesięciu dniach pilnych poszukiwań, odnalazł mnie i — oto wywiązuje się z otrzymanego polecenia.

List M. M. był gorący i serdeczny. W wymownych słowach tłumaczyła mi, że wszystko stało się dzięki fatalnemu nieporozumieniu, dawała wyraz bezgranicznemu zdumieniu, że mogłem ją posądzić o chęć wypłatania mi tak niestosownego figla; zapewniła, że jeśli będę trwał w urazie, niemającej zgola żadnego usprawiedliwienia, to unieszczęśliwię ją na całe życie. Odpisałem natychmiast, nie tając bynajmniej katuszy, których zaznałem, w najpłomienniejszych słowach malując swoje uczucia. Nazajutrz popołudniu byłem już



w gabinecie klasztornym, a gdy M. M. weszła, rzuciłem się przed kratę na kolana. Prerażona, kazała mi wstać natychmiast; policzki jej płonęły i w cudnych oczach stał raj otworem. Usiedliśmy, niezdolni zamienić najbanalniejszych nawet słów, i patrzyliśmy tylko na siebie. Pierwszy przerwałem milczenie, pytając, czy może mi przebaczyć... Wyciągnęła ku mnie przez kratę rączkę swoją, którą okryłem pocałunkami i zrosiłem łzami.

— Znajomość nasza rozpoczęła się istną burzą — rzekła. — Lecz poznaliśmy się lepiej niż przez długie dni spokoju. I nauczyliśmy się — nieprawdaż? — być wyrozumiałymi wzajemnie dla siebie.

— A kiedy będę mógł widzieć się z panią tak, abym mógł z całą swobodą dać wyraz szczęściu, które przepelnia mi duszę?

— Możemy w moim *casino* zjeść kolację... lub u pana w Wenecji. Jak pan woli.

Odrzekłem, iż moje obecne położenie majątkowe pozwala mi na zaspakajanie wszelkich nawet fantazji oraz że wszystko, co posiadam, należy do cudnej istoty, którą ubóstwiam. Odpowiedziała:

— Cieszy mnie to, gdyż ja sama rozporządzam znaczną fortuną, która i mnie pozwala dogodzić wszelkiej fantazji mego kochanka.

— Ma pani kochanka? — wykrzyknąłem.

— *Cher ami!*<sup>163</sup> — przerwała. — Za chwilę będą dzwonić na nieszpory. Czas nam rozstać się, do pojutra. Przyjdź pojutrze; powiem ci wówczas dokładnie, w jaki sposób możesz być u mnie na kolacji.

— Sam?

— Rozumie się.

Poprosiłem o mały... zadatek. Krata się rozsunęła i upajający pocałunek połączył nas na chwilę.

Dwa dni byłem w istnej gorączce. Zdawało mi się, że kocham po raz pierwszy w życiu i że M. M. jest najcudniejszą ze wszystkich kobiet, które mnie kochały w ciągu lat już trzynastu spędzonych w winnicy miłości.

Za widzeniem się za kratą wręczyła mi klucz od swego *casino*.

— Jest tam oczywiście służba — rzekła. — Nikt jednak do ciebie nie przemówi, i ty również nie potrzebujesz nic mówić. Bądź w masce i czekaj, aż się dobrze ściemni. Wejdiesz na górę schodami na wprost głównych drzwi. Na piętrze będzie paliła się lampka. Ujrzysz zielone drzwiczki; wejdiesz; pierwszy pokój będzie rzęsiście oświetlony; znajdziesz mnie w drugim pokoju; jeżelibym tam nie była, poczekaj parę minut; postaram się być skrupulatnie punktualna.

Spytałem, czy będzie w ubraniu zakonnym.

— Z klasztoru wychodzę oczywiście w habicie, lecz w *casino* mam całą szatnię z najrozmaitszymi toaletami, nawet dla balów maskowych.

Prosiłem, aby pozostała w ubraniu mniszki, gdyż jej w tym niezmiernie do twarzy. Zainteresowałem się, czy jej kto opuszczającej klasztor nie zobaczy.

— O to bądź spokojny — odparła. — Oplynie zresztą wyspę i przekonaj się sam. Korytarzyk prowadzi do drzwiczek wychodzących bezpośrednio na brzeg, a dyskrecji usługującej mi „siostrzyczki” jestem najzupełniej pewna.

— A gondola?

— Mój kochanek ręczy mi za gondoliera.

— Boże! Cóż to za człowiek musi być ten pani kochanek! Przysięgnąłbym, że stary jest jak świat.

— Myli się pan najzupełniej. Ma niespełna czterdzieści lat i posiada wszystko, czego trzeba, aby być kochanym: piękność, wysoką inteligencję, dowcip, łagodny charakter, szlachetność...

— I pozwala pani na podobne... fantazje?

— Co pan nazywa fantazją? Od roku tylko należę do niego. Jest pierwszym mężczyzną, którego poznałam, podobnie jak pan jest pierwszym mężczyzną, który opanował moją wyobraźnię. Gdy mu to powiedziałam, roześmiał się i był zdziwiony. Potem doradzał mi, abym wpierym dowiedziała się dokładnie, kim pan jesteś, abym przypadkiem nie trafiła na człowieka, który mnie może skompromitować.

<sup>163</sup>*cher ami* (fr.) — drogi przyjacielu. [przypis edytorski]

— Kiedy mu pani powiedziałaś... wszystko?

— Przedwczoraj. Nic mu nie zataiłam. Pokazałam mu pańskie listy i odpisy moich. On ma pana za Francuza; chciałby wiedzieć, kto pan taki, lecz proszę się nie obawiać, nie będzie usiłował dowiedzieć się...

— Ja bym też rad wiedzieć, kim jest ów całkiem niezwykły jegomość...

Wieczorem, stosując się ściśle do udzielonych mi wskazówek, udałem się na *rendez-vous*<sup>164</sup> i w „drugim” pokoju zastałem panią mego serca w eleganckiej sukni wielkoświatowej damy. Pokój był obszerny, światło żyrandola odbijało się w zwierciadłach, na dwóch stolikach pełnych książek płonęły wspaniałe świeczniki. M. M. była inna niż w klasztorze, lecz jeszcze może piękniejsza. Padłem jej do nóg; zacząłem okrywać pocałunkami jej ręce, nie hamując się wcale. Lecz M. M. stawiała mi zdecydowany opór. Co za cudne jest to przewlekanie szczęścia, aby podwoić jego urok! Byłem kochankiem pewnym zwycięstwa, lecz zarazem nad wyraz delikatnym. Usta nasze płonęły pod namiętymi pocałunkami. Po dwóch godzinach tych wstępnych igraszek, ona, wiedzioną nieomylnym instynktem, nakazującym uczynić pauzę przed decydującym momentem, kazała podać kolację. Usługiwała nam wykwintnie ubrana dziewczyna, zręcznie i szybko. Ustawiła całą zastawę — same porcelany i srebra! — podała potrawy, sporządzone według przepisów najczystszej kuchni francuskiej, podała wina i poszła.

Piliśmy tylko burgund i wino szampańskie. M. M. jeła sama przyprawiać sałatę, a wszystko czyniła z nieopisanym wdziękiem i przedziwną gracją. Musiała najwidoczniej mieć za mistrza kochanka, nie lada wytwornisia i smakosza. Miałem wielką ochotę poznać się z nim.

— Powiem ci chętnie moje nazwisko — rzekłem — lecz ty w zamian powiedz mi, kto on taki!

Odrzekła:

— Powoli! powoli! Przyjdzie czas na zaspokojenie naszej wzajemnej ciekawości.

M. M. miała u zegarka kryształową flaszeczkę, podobną do mojej, a w niej na wacie niezmiernej rzadkości esencję różaną. Wyrabiano ją wyłącznie dla króla francuskiego. Kilka jej kropeł sam posiadałem. Była wręcz bezcenna. Rozmowa nasza zeszała na temat niezmiernej trudności dostania drogiego olejku.

— Tych kilka kropeł, które posiadam — rzekła — podarował mi mój kochanek, który też je otrzymał w prezencie.

— Pani de Pompadour<sup>165</sup> — wtrąciłem — przysłała małą flaszeczkę tej niezrównanej esencji panu de Moncenigo, ambasadorowi weneckiemu w Paryżu, za pośrednictwem pana de Bernis, obecnego posła francuskiego przy dworze Republiki Weneckiej.

— Pan zna pana de Bernis?

— Miałem zaszczyt obiadować z nim raz u pana de Moncenigo. Panu de Bernis szczęście dopisuje... przyznać jednak trzeba, że dzielnie mu sam dopomaga. Wysoko urodzony (jest, zdaje mi się, hrabią de Lyon), wysoką też jaśnieje inteligencją. Z racji też kształtnej postawy, a figury niemal kobiecej, zwą go Belle-Babet. Znam zbiór jego wierszy wcale, wcale niepospolitych...

Miało się już ku północy. Byliśmy po świetnej kolacji. Na kominku, u którego siedzieliśmy, rozmawiając, trzaskał wesoło ogień. Byłem zakochany ponad wszelką miarę w kobiecie cudnej jak marzenie. Zacząłem być natarczywy. Ona nie dała mi kroku na przód postąpić.

— Droga i okrutna! Skazujesz mnie na męki Tantala<sup>166</sup>. Jeśli nie chcesz powolna być nakazowi miłości, uczyn przynajmniej to, co o tej spóźnionej porze nakazuje czynić natura. Połóż się do łóżka, a zanim usniesz, ja, usiadłszy u twego wezgiłowia, będę ci opowiadał co przedziwniejsze historie... Lub może wołałabyś, abym odszedł?

— Byłoby mi bardzo przykro.

<sup>164</sup>*rendez-vous* (fr.) — spotkanie. [przypis edytorski]

<sup>165</sup>*pani de Pompadour*, właśc. *Jeanne Antoinette Poisson, markiza de Pompadour* (1721–1764) — faworyta francuskiego króla Ludwika XV. [przypis edytorski]

<sup>166</sup>*Tantal* (mit. gr.) — król lidyjski, syn Zeusa; zabił swego syna i jego ciało podał bogom na ucztę, by wypróbować ich wszechwiedzę; za karę został strącony do Tartaru, najmroczniejszej części podziemnej krainy zmarłych, gdzie stał zanurzony w wodzie, z owocami nad głową, nie mógł jednak dosięgnąć jednego ani drugiego, zaspokoić pragnienia ani głodu, zaś nad jego głową chwiały się głaz, grożąc zmiążdżeniem. [przypis edytorski]

- A dopieroż mnie! Jeżeli jednak mam zostać, to... to co rozkażesz, abym czynił?
- Możemy w ubraniu położyć się oboje na tej oto sofie.
- I ja mam też spać? Wymaga pani rzeczy niemożliwej.

W mig sama rozkłada na obie strony sofę, zarzuca ją poduszkami, słowem sporządza ogromne, a wygodne łoże. Rzucam się na nie; ona przez swawolę sama mnie z lekka popycha; poślizguje się; padamy na sofę oboje. Momentalnie zrzucam z siebie ubranie i usiłuję wyzyskać sytuację, co mi się najzupełniej nie udaje. Pozwala mi tylko rozwiązać, a po części porozrywać pięć, sześć wstążek u gorsu, co daje mi dostęp do najcudniejszego pod słońcem łona, które pospieszam okryć pocałunkami. Tylko to jednak — a więcej nic!... Nadaremnie, rozogniony cały, podwajam najpodstępniejsze zabiegi. Wybity z sił, muszę dać za wygraną i znużony śmiertelnie, w objęciach jej zasypiam. Zasypiamy oboje.

Zbudził mnie odgłos dzwonów.

- Co to jest? — pytam, zrywając się ze stosu poduszek.
- Wstawaj, mój drogi. Pora mi już wracać do klasztoru.
- Ubieraj się i pozwól niech cię oglądam w szatach świętej, ponieważ odchodzisz ode mnie w niepokalanej dziewiczości.

— Nie uskarżaj się... Ucz się ode mnie poprzestawania na tym, co... można. Przyszłym razem będziemy szczęśliwsi. Gdy odjadę, możesz tu zostać i wypocząć do woli.

Zadzwoiła; ukazała się służąca (najwidoczniej powiernica, dobrze opłacana), pomogła ułożyć w skromniutką koafiurę jej przepyszne włosy, pomogła schować do biurka i komody klejnoty i strojną suknię i przywdziać habit zakonny. Gdy służąca wyszła zawołać gondoliera, uściśnęła mnie najczulej, ucałowała ogniście i rzekła:

— Czekam na ciebie pojutrze, najdroższy. Przygotuj noc wenecką, gdyż chcę być u ciebie. Bądź zdrów!

Zadowolony, lecz niezaspokojony, rozłożyłem się wygodnie na ogromnej sofie i spałem snem sprawiedliwego aż do południa.

Tegoż dnia Laura przyniosła mi list od C. C. Widziała mnie — przez jakąś ukrytą szczelinę — rozmawiającego w gabinecie z M. M. Tak, to była właśnie serdeczna przyjaciółka i nauczycielka mojej C. C. „Jestem pewna — pisała — że się kochacie. Czemu przestałeś przychodzić na nabożeństwa do kościoła klasztornego? Umieram z niepokoju i tęsknoty”. Odpisałem natychmiast, że musiałem widzieć się z M. M. dla załatwienia pewnego polecenia hrabiny S. i że między nami nie ma nawet cienia tego, co da się nazwać miłością. Wzruszył mnie jednak list C. i postanowiłem pojechać na nabożeństwo do klasztornego kościoła w dzień św. Katarzyny. Za moją gondolą płynął jak cień jakiś osobnik, najwidoczniej mnie szpiegujący. Dla zmylenia go kazałem wylądować jeszcze w Wenecji, w parku pałacu Morosinich. Prześladowące mnie indywiduum też wysiada. Przebiegam park, przedostaję się dziedzińcami pałacowymi na wąską uliczkę i ukryty za węglem, ze sztyletem w ręku, czekam. Indywiduum wynurza się z bramy pałacowej; przyskakuję doń, przypieram do muru, przykładam sztylet do piersi i żądam wyjaśnień. Osobnik drży i blednie, w chwili atoli, gdy już ma mi się wypowiedzieć, przechodnie płoszą nas obu, szpieg mi się wymyka i ucieka... Nie dowiedziałem się niczego, lecz mam naukę! Trzeba być ostrożniejszym i jeździć do Murano albo w masce, albo nocą.

Nazajutrz, po św. Katarzynie, M. M. powiedziała mi w parlatorium, że wszystkie zakonnice ogromnie się ucieszyły, zobaczywszy mnie znowu na nabożeństwie po trzytygodniowej nieobecności. Zadowolona była nawet sama przełożona, pewna, iż lada dzień będzie wiedziała, kim ja jestem. Wpadliśmy przeto na domysł, że ona to właśnie, mateczka-przełożona, nasadziła na mnie szpiega, z którym miałem rozprawę u bramy pałacu Morosinich. Zapadło tedy postanowienie, iż odtąd nie będę już uczęszczał na nabożeństwa klasztorne. Powiedziałem jej o zdradzieckiej szparze.

— Nic to! — rzekła. — To była moja koleżanka, ogromnie miła i ładna panienka, całą duszą mi oddana. Zresztą, jużemy szparę gruntownie zatkali.

Na moje naglące pytania, gdzie i kiedy się spotkamy, rzekła:

— W Wenecji.

— Kiedy?

— Jutro, na parę godzin przed zachodem słońca. Czekaj na mnie u statui św. Bartłomieja. Upprzedzam, że do Wenecji zawiezie mnie mój kochanek.

Popędziłem bez pamięci do Wenecji. Nie miałem przecie własnego *casina*! Trzeba było je wyszukać, wynająć, wyporządzić... do jutra! Sypnąłem pieniędzmi i *casino* znalazło się, nawet najładniejsze i najokazalsze, jakie było w przedmiejskich dzielnicach. Należało do posła angielskiego, który sprzedal je za bezcen, wyjeżdżając z Wenecji, swemu kucharzowi. Nająłem je do Wielkiejnocy za sto cekinów zapłaconych z góry, pod warunkiem, że sam właściciel będzie mi sporządzał obiady i kolacje podczas moich *rendez-vous* w jego *casinie*. Miałem pięć pokoi, umeblowanych z wielkim smakiem i nieskazitelną wytwornością. W ścianie sali jadalnej był otwór, w otworze obracająca się szafka, w którą służba wstawiała wszystko, co miało być podawane, a nic a nic nie widząc, co się w sali dzieje i sama niewidzialna. W głównym saloniku, iskrzącym się od rżniętych kryształów i przepysznych zwierciadeł, brązów i marmurów, biegly wzdłuż ścian chińskie malowidła na porcelanie, przedstawiające zakochane pary w pozycjach zdolnych rozpalić najoporniejszą wyobraźnię. W sąsiednim, ośmiokątym pokoju ściany, posadzka i sufit wyłożone były najprzedniejszymi weneckimi zwierciadłami, odbijającymi ze wszech stron wszystko to, co się w pokoju dziać mogło. Tuż obok był gabinet *de toilette*<sup>167</sup>, a na lewo buduar<sup>168</sup>, istne pieścidełko, tudzież wanna z kararyjskiego marmuru. Wszędzie bogate złote ornamenty na tle prześlicznie malowanych kwiatów i arabesek. Kazawszy wszystkie kandelabry i żyrandole zaopatrzyć w świece i porozkładać gdzie trzeba najdelikatniejszą bieliznę, obstałowałem<sup>169</sup> wytworną kolację, kładąc szczególny nacisk na co najprzedniejszy gatunek win. Nie zapomniałem oczywiście o najpiękniejszych, jakie znaleźć mogłem, pantofelkach oraz o czepeczku z najdroższych francuskich koronek.

Erotyzm

Na godzinę przed terminem naszego *rendez-vous* byłem już u posągu św. Bartłomieja; noc była niezmiernie chłodna, lecz jam tego nie czuł. Byłbym jej nie poznał w męskim przebraniu! Uśmieła się serdecznie z chwilowego *qui pro quo*<sup>170</sup> i lekko wsparta na moim ramieniu, dała się prowadzić przez plac św. Marka prosto do mego *casina*. Podobało jej się niezmiernie; rzuciła się oglądać każdy zakątek, ja zaś nie mogłem napatrzeć się do syta — tak była cudna i nieopisanie kształtna w bladoróżowym, aksamitnym, męskim kostiumie, delikatnie przetykanym srebrem, w bogato wyszywanej kamizeli, w spodenkach z czarnego atlasu. Na klamrach bucików migotały brylanty; na małym palcu lewej ręki miała śliczny soliter<sup>171</sup>. Pomogłem jej wyładować z kieszonek: szczerozłote pudzeczko, perłami wysadzaną bransoletkę, złote etui, misternie rzeźbioną lornetkę, wreszcie niezmiernie cienkości batystowe chusteczki, dosłownie przepojone najprzedniejszymi perfumami. A co za cacka były jej zegarek, łańcuszek, breloki! W płaszczu znalazł się ukryty przedniej roboty mały angielski pistolecik. Zachwycony, wyznałem jej szczerze i otwarcie, że nie czuję się na siłach współzawodniczyć z jej kochankiem, widząc, jakim bogactwem i jak wyszukaną wytwornością ją otacza.

Strój

— Za ogrom szczęścia — rzekłem — które mi dajesz, czymże się odpłacę?

Nie dała mi mówić. Gdyśmy usiedli u kominka, pozwoliła mi rozpiąć koronkowe zwoje żabotu i napawać się do woli ukrytymi w nich skarbami, powstrzymując wciąż i powstrzymując mój aż nadto usprawiedliwiony impet ku dalszemu rozwinięciu tak szalenie podniecającej sytuacji.

Erotyzm

— Potem... potem!...

— Po kolacji?

— Tak.

Ogromnie jej się podobał kołowrotek w ścianie, gwarantujący, że nikt ze służby jej nie zobaczy.

— Możesz — rzekłem — ręczyć swemu... przyjacielowi, że nikt oprócz mnie cię tu nie widział.

— Będzie on niewątpliwie podziwiał twoją delikatność i zgadnie bez trudu, że w kunszcie podobańca się nie jesteś nowicjuszem. Ach! — westchnęła — z pewnością nie ja pierwsza rozkoszuję się cudami tego iście zaczarowanego pałacu.

<sup>167</sup>*de toilette* (fr.) — toaletowy. [przypis edytorski]

<sup>168</sup>*buduar* — pokój kobiety przeznaczony do odpoczynku. [przypis edytorski]

<sup>169</sup>*obstałować* (daw.) — zamówić, zlecić wykonanie czegoś. [przypis edytorski]

<sup>170</sup>*qui pro quo* (łac.) — nieporozumienie, pomyłka co do osoby. [przypis edytorski]

<sup>171</sup>*soliter* — pojedynczo oprawiony duży kamień szlachetny. [przypis edytorski]

— Jesteś najzupełniej w błędzie — odparłem. — Jesteś pierwszą kobietą, którą mam zaszczyt tu gościć. Zgoda, nie jesteś pierwszą kobietą, którą kocham, lecz będziesz ostatnią!

— Bądź już tylko tak wierny jak mój kochanek... Cenię wysoko jego przymioty; jest bez zarzutu... Cóż, kiedy serce moje przy nim milczy. Ty to co innego...

— A jednak nie pozwalasz mi...

— Cicho! Czuję, że niczego nie będę mogła ci odmówić. Nawet nocy, rozkosznej nocy, pierwszej w moim życiu.

— Pierwszej! Czyliż ich wiele nie spędziłaś ze swoim kochankiem?

— Nie przeczę, lecz wierz mi, wszystko tam wówczas było: przyjaźń, zadowolenie, wdzięczność, wszystko oprócz miłości.

— I opowiesz mi wszystko, co tu... było?

— Opowiem, pomijając oczywiście szczegóły, które by mogły zadrasnąć jego miłość własną.

Po kolacji i ponczu przypomniała sama, że mamy przed sobą tylko już siedem godzin. Zawiódłszy ją do gabinetu toaletowego, poprosiłem, aby się przebrała jak najbardziej za kobietę. Kazała mi pójść do salonu i czekać, aż mnie zawoła. Nie czekałem długo... W upojeniu miłości i szczęścia padliśmy sobie w objęcia i przez siedem godzin dawaliśmy sobie wzajemnie dowody najpłomienniejszego uczucia. Na pożegnanie wsunąłem jej do kieszeni koronkowy czepeczek; przyjęła go z żywym zadowoleniem, zapewniając, iż do końca życia nie rozstanie się z tą pamiątką najrozkoszniejszych chwil, jakich kiedy zaznała. Po kawie odprowadziłem ją do gondoli i powróciwszy do *casina*, zasnąłem jak suseł. Dziesięć godzin kamiennego snu wróciło mi zwykłą rzeźkość oraz wytrzymałość na wszelkie nawet ekscesy.

W parę dni potem oznajmiła mi, że chwilowo nie możemy się widywać, ponieważ jej kochanek wszystek jej czas zabiera. Odplywając z Murano, spostrzegłem zamaskowanego mężczyznę wysiadającego na brzeg z gondoli. Przyjrzawszy się bliżej, poznałem liberię poselstwa francuskiego. Zamaskowany mężczyzna podążył prosto ku klasztorowi. Byłem na nieomylnym tropie!... lecz postanowiłem nic o tym nie mówić mojej ubóstwianej. Wkrótce otrzymałem od niej list, donoszący mi, że jej kochanek wyjechał na dni dziesięć do Padwy i że możemy widywać się w jej *casino*, co bezpieczniejsze jest dla niej niż jeździć do mnie do Wenecji. Jakoż cztery razy w ciągu dziesięciu dni spędziliśmy najrozkoszniejsze sam na sam w jej *casinie*. Uczucie moje dla C. C. nie uległo zmianie, tylko, rzecz prosta, nieco ochłodło. Czyniła mi w swoich listach wymówki, że nie uprawiam dalszej znajomości z jej przyjaciółką, która jest naprawdę bardzo miła i śliczna. Odpisywałem, iż jedynie dlatego unikam jej przyjaciółki, aby nie być poznanym. Nie wyobrażam sobie, aby można było dwie kobiety kochać jednocześnie, miłością jednakowo mocną. Co podsycało nieustannie moją miłość dla M. M.? Lęk, aby jej nie utracić.

— Nie może być — mówiłem jej — aby podczas twej nieobecności w klasztorze ktoś akurat nie zapragnął się z tobą widzieć. Na przykład choćby sama przełożona.

— Wykluczone! — zapewniała. — Zakonnica w naszym klasztorze ma zapewnioną najniezawodniejszą swobodę. Jest niedostępna nawet dla samej przełożonej. W jednym tylko wypadku może się wykryć moja nieobecność, na wypadek wybuchnięcia w klasztorze pożaru. Nie byłoby do pomyślenia, aby którakolwiek mniszka siedziała spokojnie w celi swojej zamknięta podczas powszechnego rwetesu i zamieszania. Bądź spokojny! Niezmierna zręczność, no i złoto mego kochanka zapewniły mi bezgraniczną wierność jednej z zakonnicek, siostrzyczki usługującej oraz ogrodnika. To wystarcza. Bardzo mi są ponadto oddani kucharz i jego żona, która jest jakby ogólną gospodynią w całym klasztorze. Pewna też jestem obu gondolierów, aczkolwiek jeden z nich bodajże jest jednocześnie szpiegiem na służbie Inkwizycji Państwowej.

Na moje pytanie, czy powiedziała swemu kochankowi wszystko, odrzekła najspokojniej: „Wszystko”.

Natychmiast po jego powrocie z Padwy otrzymałem od M. M. list, który mnie poruszył do głębi. Pisała mi, że jej kochanek, widząc, iż jej uczucie dla mnie staje się coraz gorętsze, pragnie koniecznie mnie poznać. Nie zamierza bynajmniej nam przeszkadzać, gdyż jest na to za wspaniałomyślny; chce tylko osobiście poznać się ze mną. Raz jeden tylko, podczas pierwszego naszego *rendez-vous*, nocą, z dobrze utajonego ukrycia w jej

*casinie*, przyglądał się nam... i jest zachwycony, zarówno moim zachowaniem się, jak tym, com mówił. „Czyliż chcesz — pisała mi M. M. — aby się to powtarzało? Czy mógłbyś być całkiem swobodny i naturalny, czując, że ktoś nas podpatruje?” Nagliła, abym co rychlej odpowiedział jej: tak lub nie.

Rzecz wydała mi się uciechą. Odpisałem mojej ukochanej, że ceniąc wysokie przyjemności jej kochanka, gotów jestem dać mu widowisko, jakiego z pewnością nie widział jeszcze w życiu, a godne olimpijskich półbogów; niech go ona na nie zaprosi, ale niech on nic nie wie, że ja w tę sprawę jestem wtajemniczony.

Sześć dni, czekając na schadzkę, spędziłem na redutach<sup>172</sup>, grając zapamiętałe. Przegrałem ze sześć tysięcy cekinów, co jednak bynajmniej nie wpłynęło oziębliwie na moje uczucie. Nareszcie przyszła owa upragniona noc... Zastałem M. M. w jej *casinie* ubraną wykwintniej niż kiedy i, czego dotąd nigdy nie czyniła, delikatnie uszminkowaną na sposób wersalski. Spytałem o powód. Odrzekła, że ponieważ jej kochanek bardzo gustuje w szminkowaniu się kobiet *à la*<sup>173</sup> Wersal, przeto chciała mu zrobić przyjemność... Powiedziała mi też, że jeszcze nie jest on na stanowisku. Pokazała mi nieduży otwór nad kanapą, z którego wzrok mógł objąć doskonale cały pokój. Po pewnym czasie dała mi znak, że — już!... I rozpoczęła się komedia. Spożyliśmy wesoło kolację, po czym na rozłożonej jak zwykle sofie nie szczędziliśmy dowodów najgorętszej, a zarazem najnamiętniejszej miłości, że nad ranem aż krwią zbryzgałem jej bieliznę. Przeraziła się, lecz szybko rozproszyłem jej alarmy, dowcipkując i dowodząc, że miło. Przywdziawszy z powrotem habit zakonny, pożegnała mnie, zalecając, abym spokojnie i gruntownie wypoczął i zaraz napisał, jak się czuję — co wszystko wypełniłem najsumiennie.

Najukochańsza moja M. M. wyraziła chęć posiadania mego portretu ukrytego w medalionie o podwójnym dnie. Kazałem natychmiast sporządzić istne cacko, w którym za naciśnięciem sprężynki ukazywał się mój miniaturowy wizerunek spod obrazka Zwiastowania. Była uszczęśliwiona, a w parę dni potem otrzymałem od niej list z prośbą o przyjęcie rewanżu. Przy liście był kluczyk od małej szafki, stojącej w buduarze jej *casina*. „Podarunek — pisała — który chciej przyjąć ode mnie, ma tę jedyną wartość, że jest portretem tej, która cię ubóstwia. Nasz wspólny przyjaciel ma dwa takie wizerunki; przyjaźń, którą dla ciebie żywi, poddała mu wyborną myśl podzielenia się tymi wizerunkami z tobą. Tabakierka, którą znajdziesz w szafce, zawiera mój portret dwa razy powtórzony na dwóch ukrytych polach. Podniósłszy dno, ujrzysz mnie w ubraniu zakonnym, a pociśnawszy je w bok, odsłonisz mój wizerunek zgoła bez żadnego stroju. Nigdy, przenigdy żadna cię kobieta nie kochała tak bez pamięci... Nasz wspólny przyjaciel podsyca wciąż moje dla ciebie uczucie, zachwycając się tobą bezustannie. Bywa, że sama nie wiem, z nim, czy z tobą więcej zaznaję rozkoszy i szczęścia, to zaś wiem na pewno, że nikt ani tobie, ani jemu nie dorówna”. Istotnie, w ślicznym etui, znalazłem złotą tabakierkę ze śladami w niej tabaki, co oznaczało, iż była w użyciu. Stosując się do wskazówek w liście, ujrzałem najpierw ukochaną moją jako mniszkę w profilu, a na drugim dnie całą nagą, leżącą w pozie Magdaleny Corregia<sup>174</sup> na zwojach czarnego atlasu, zapatrzoną na Amora, siedzącego zgrabnie u jej stóp, na porzuconym habicie zakonnym. Prezent sprawił mi niewymowną radość. Zachwycony też byłem dowodem zaufania ze strony mojej najdroższej.

Na Trzech Króli udało się nam być razem na operze, a potem w salach gry. Graliśmy do spółki i rozbiliśmy bank, co mi sprokurowało równo tysiąc cekinów, dzięki którym, stałe szczęśliwy w grze, zapewniłem sobie na dłuższy czas bardzo wygodną, a nawet wcale wystawną egzystencję. Tegoż dnia, na Trzech Króli, otrzymałem list od C. C. Poznała na medalionie M. M. rękę malarza, który na jej pierścionku malował św. Katarzynę. Była pewna, że pod medalionowym Zwiastowaniem znajduje się mój portret. Ze swej strony M. M., jej serdeczna przyjaciółka, wyraziła pewność, że pod św. Katarzyną musi też ukrywać się nie kto inny, tylko mój wizerunek. „Wiem, że wy się kochacie — pisała — i szczerze wam współczuję, rozdzielonym przez okrutną kratę klasztorną. Jakże chętnie, mój drogi, ustąpiłabym ci mego miejsca. Uszczęśliwiłabym dwoje ludzi. Bądź zdrow!”

<sup>172</sup>*reduta* (daw.) — zabawa towarzyska, łącząca bal (często maskowy) oraz grę w karty dla panów i plotki oraz swatanie par dla pań. [przypis edytorski]

<sup>173</sup>*à la* (fr.) — na sposób, w stylu. [przypis edytorski]

<sup>174</sup>*Corregio*, właśc. *Antonio Allegri* (1489–1534) — włoski malarz okresu dojrzałego renesansu. [przypis edytorski]

W odpowiedzi przyznałem, że przeniknęła naszą tajemnicę, zaklinałem się zarazem, że uczucie, które żywię dla M. M., w najmniejszej mierze osłabia miłości mojej dla niej samej. Prawda, nie byłem szczery i otwarty, lecz to tylko dlatego, że uniosła mnie pasja zawiązywania tak zwanej intrygi, która zresztą w tym wypadku, wiedziałem dobrze, iż pierwszej lub później musi pęknąć, zważywszy na bliski stosunek łączący ją z M. M.

Karnawał szalał w całej pełni. Dowiedziałem się za pośrednictwem Laury, że w klasztorzym parlatorium ma się odbyć bal maskowy i postanowiłem pójść w tajemnicy przed obu moimi przyjaciółkami, a w przebraniu pierrota<sup>175</sup>. Byłem pewny, że ujrzę je obie, przyglądające się spoza kraty balowi, i będę mógł do woli porównać obu piękność i urok. W Wenecji podczas karnawału dozwolona jest po klasztorach ta niewinna rozrywka<sup>176</sup>. Publiczność tańczy w parlatorium, a mniszeczki przyglądają się spoza kraty. Pod wieczór bal się kończy, wszyscy się rozchodzą, a biedne zakonnice żyć muszą długo jeszcze potem... uciechą oczu, której jedynie zaznały.

Był to właśnie dzień, kiedy miałem się spotkać z M. M. w jej *casinie*. Poszedłem na bal nie dla niej, lecz dla C. C., którą okrutnie mi się zachciało zobaczyć. Kostium pierrota jest w Wenecji rzadko używany, toteż moje wejście do przepelnionego parlatorium sprawiło nieklamana sensację. Rozstępowano się, oglądano mnie od stóp do głowy... Ułatwiło mi to posuwanie się przez tłum wzdłuż kraty. Pełno było za nią zakonnice i siedzących i stojących, przyglądających się z widoczną ciekawością temu, co działo się na sali. Spostrzegłem w lot obie moje przyjaciółki, stojące obok siebie, nie mniej niż koleżanki zajęte balem i ubawione wirowaniem masek. Zaczepiłem jakąś zgrabną arlekinę i puściłem się z nią menueta, potem ze dwanaście z rzędu furlan przetańczyłem<sup>177</sup>, aż duch mi się zaparł w piersiach, potem uprzykrzającego mi się arlekina, chwyciwszy za pas, obnosiłem po sali; poliszynel<sup>178</sup> podstawił mi nogę, upadłem, otrzepałem zacie poliszynela, aż mu garb i brzuch odleciały, i przy rześzystych oklaskach zakonnice oraz nie mniej rozbawionej i wybuchającej śmiechem sali — ulotniłem się. Literalnie skąpany w pocie, dopadłem do gondoli i kazałem się wieźć na redutę, gdzie dokazywał i grał bez pamięci. Dopiero za dwie godziny miałem schadzkę z M. M. Zużyłem ich co się zowie dla nabicia sobie kieszeni złotem i srebrem. Pędzę do Murano i zastaję M. M. już w *casinie*, w stroju zakonnym, siedzącą u palącego się kominka. Zbliżam się na palcach, aby stanąć nagle przed nią w stroju pierrota i napaść się jej zdumieniem, gdy nagle — ja sam staję jak wryty. Mam przed sobą C. C. w ubraniu zakonnicy, tyleż co ja zdumioną, wpatrującą się we mnie i niezdolną przemówić słowa. Padam na fotel. Przez głowę przelatuje mi pewność, że nikt inny tylko M. M. zgotowała mi tę niespodziankę. Więc wie, że jestem kochankiem jej przyjaciółki? Siedzimy naprzeciwko siebie i milczymy. Upiływają minuty, wydające się nam wiekami. Ona pomieszana... Oczywiście nie poznała mnie w przebraniu pierrota, szczególnie zamaskowanego, ale widzę aż nadto dobrze, że zjawienie się pierrota wywarło na nią wrażenie piorunujące. Obecność C. C. nie była mi obojętna, o nie! Kochałem ją przecie, miała dla mnie tysiąc powabów. Była prześliczna... Chęć skorzystania z nadarżającej się tak świetnej sposobności walczyła we mnie z obawą, czy czasem M. M. (może nawet ze swym przyjacielem) nie obserwuje nas z potajemnego pokoju. Byłem wręcz nieszczęśliwy. Ale jeśli M. M. jest u okienka potajemnego „obserwatorium”, to ukaże się przecie w stosownej chwili... Ha! Niech się dzieje, co chce! Zdzieram maskę, perukę i daję się poznać mojej C. C. Ona klaszcze w ręce i woła: „Spodziewałam się, że to ty! Przeczucie mi mówiło!” Następują eksplikacje<sup>179</sup>. Po balu w klasztorze M. M. poprosiła ją, aby jej wyświadczyła wielką uprzejmość. Rozumie się, przystała natychmiast. Wówczas M. M. przebrała ją w strój zakonnicy i poleciła wyjść pod przewodem siostrzyczki służebnej z klasztoru, siąść do gondoli i kazać sobie wieźć „do *casina*” i tam czekać.

— Co i uczyniłam — rzekła — i otom tu jest! Możesz sobie wyobrazić moje przerażenie na widok wchodzącego pierrota... Byłabym umarła ze strachu, jeśliby nie przeczucie, że... to ty. Ale serce mi zamarło, gdyś cofnął się ode mnie, jakby przerażony. Więc spo-

<sup>175</sup>*pierrot* — postać z włoskiej *commedia dell'arte*, w białym stroju i z pobieloną twarzą. [przypis edytorski]

<sup>176</sup>*ta niewinna rozrywka* — „*cet innocent plaisir*”, pisze dosłownie Casanova. [przypis tłumacza]

<sup>177</sup>*ze dwanaście z rzędu furlan przetańczyłem* — *Je dansai douze furlanes*. [przypis tłumacza]

<sup>178</sup>*poliszynel* — postać z włoskiej *commedia dell'arte*, złośliwy gbur, prześmiewca, zwykle przedstawiany jako garbus z kogucim piórem na kapeluszu. [przypis edytorski]

<sup>179</sup>*eksplikacja* (z łac.) — wyjaśnienie, wytłumaczenie. [przypis edytorski]

dziewałeś się zastać tu — nie mnie! Ach, mój Boże! Czyś ty pomyślał, że oto upłynęło już osiem miesięcy od ostatniego naszego widzenia się... Pomyśl!... Jakie szczęście, że cię widzę!... Wiem, wiem, M. M. jest jedyną kobietą godną dzielić ze mną twoje uczucie i twoje pieśczoćoty... Nie czynię ci żadnych wyrzutów... Pójdź w moje objęcia!

Byłbym barbarzyńcą, byłbym czarnym niewdzięcznikiem, odrzucając od siebie tego anioła dobroci i piękności. C. C. jęła usprawiedliwiać swoją przyjaciółkę. Najwidoczniej, wiedząc o łączącym nas stosunku, chciała dać nam sposobność znalezienia się sam na sam. Zgodziłem się na to, lecz zastrzegłem się, że jestem na śmierć i życie zakochany w M. M. i że boli mnie okrutnie, iż ona mnie nie kocha, gdyż jeśliby kochała, nie urządziłaby sama schadzki dla mnie z C. C. Na to ona: „Kocha cię niezawodnie! Twoje szczęście jest jej szczęściem, to przecie takie proste! Ja jestem jej najserdeczniejszą przyjaciółką; nieprzykro jej przeto, że jestem jej rywalką”. Argumentowała zręcznie i gorąco. Rzekłem, iż M. M. poślubić nie mogę, a ją przeciwnie, już poczytuję za żonę... Końca tej rozmowie nie było, a północ się zbliżała. Służąca z własnego impulsu dała nam kolację. Miałem na sercu ciężar stupudowy<sup>180</sup>. Po kolacji rozmawialiśmy znów — jak brat ze siostrą, a o brzasku dnia, nie mogąc przezwyciężyć nastroju całkiem niesprzyjającego zapalom miłosnym, włożyłem maskę, tkliwie pożegnałem C. C., też wybierając się z powrotem do klasztoru, i oddaliłem się. Wracając do Wenecji w burzę i przenikliwy chłód, a lekko odziany, przeziębłem i dni kilka, gorączkując, przeleżałem w łóżku.

Dwa listy z klasztoru, które przyniosła mi moja wierna Laura, podziały na mnie jak balsam. C. C. przesała mi klucz od *casina*, spragniona spotkać się ze mną znowu; M. M. tłumaczyła, jak się wszystko stało. Przypuszczenia moje były trafne. Przypadkiem otworzywszy pierścionek mojej „żoneczki” z ukrytym pod św. Katarzyną moim wizerunkiem, odkryła naszą tajemnicę. Na razie sprawiło to jej wielką boleść, powoli jednak znalazła w tej komplikacji niewysłowiony urok i zaraz postanowiła zgotować mnie i przyjaciółce choćby chwil kilka niezamąconego szczęścia. Nocy owej w *casinie* znajdowała się istotnie w potajemnym „obserwatorium”; widziała i słyszała wszystko, nieskończone nasze rozmowy znużyły ją; usnęła i to było przyczyną, że nie ukazała się w porę, aby nas pogodzić. Wyszła z ukrycia już po moim odejściu... C. C. donosiła mi w liście, iż po klasztorze rozniosła się była wieść o utonięciu pierrota (który wszystkich tak ubawił na balu maskowym) w powrocie z Murano do Wenecji, podczas niesłychanie burzliwej nocy. Usłyszawszy to, M. M. zemdlała. Moja „żoneczka” nie znajdowała słów dla dość mocnego wyrażenia jej miłości dla mnie. Od tej daty rozmawiały nieustannie o mnie, dopełniając coraz to nowymi szczegółami mój wizerunek, zarówno duchowy, jak cielesny.

Oba listy poruszyły mnie do tego stopnia, iż chciałem zerwać się i pędzić do Murano. Niestety, mogłem tylko odpisać obu przyjaciółkom, a dopiero w sześć dni potem czułem się na siłach dać M. M. *rendez-vous* w jej *casinie*. Pilno mi było dać wyraz memu zachwytowi dla jej uczucia tak głębokiego, iż tylko moje szczęście i zadowolenie miała na względzie. Zdawała się żyć tylko dla mnie. Podobnie jak miłość dla mnie nie przeszkadzała jej okazywać daleko idących względów panu ambasadorowi, tak też zdawało się jej, że i ja mogę jednocześnie ubóstwiać ją i C. C. Uczucie jej wydawało mi się być szczytem bezinteresowności, altruizmu i doskonałości. Dziś, gdy lata szronem siwizny przyprószyły mi włosy i stłumiły zmysłów ognistość, spokojna wyobraźnia zgoła inne o tym wszystkim podsuwa mi rozumienie i widzę jasno, że uroczą moją zakonnica nie była wcale w zgodzie ze skromnością i wstydlivością, z tymi najpiękniejszymi przymiotami piękniejszej połowy rodzaju ludzkiego. Lecz przynajmniej wolna była od zatruwającej szczęście i życie okropnej, fatalnej zazdrości!

We dwa dni potem, 4 lutego roku tysiąc siedemset pięćdziesiątego czwartego, miałem znowu szczęście przebywać sam na sam z moim aniołem. Oboje przeprosaliśmy się wzajemnie, czując, że i ja, i ona obeszliliśmy się z bożkiem Miłości jak najniezręczniejsi jego wyznawcy i słudzy. Ale czyż słowa wyrażą tak subtelny tok myśli! Czyż wypowiedzą to, co czują dwie dusze zaplątane w labirynt sprzecznych, a zarazem dopełniających się uczuć! Wymowniejsze były pocałunki, a rychło potem, podczas gdy usta nasze milczały jak zakłęte, staliśmy się jakby jednym ciałem i jedną duszą. U szczytu wzruszenia, żądni dać sobie wzajemnie dowody jak najniebitsze pełnego pojednania i zupełnego przebacze-

Miłość, Seks

<sup>180</sup>*pud* — dawna rosyjska jednostka wagi, równa ok. 16 kg. [przypis edytorski]



nia, tudzież tych ogni, które zdawały się nas pożerać, podnieśliśmy się, nie wypuszczając się z objąć i padliśmy na pobliską sofę, pozostając tam aż do wyrwania się nam z piersi głębokiego westchnienia, którego nie bylibyśmy w stanie powstrzymać, choćby miało być w życiu ostatnim. Tak odbyło się szczęśliwe i rozkoszne pojednanie, zakończone wybuchem śmiechu, gdyśmy spostrzegli, że jestem jeszcze w płaszczu i w masce. Gdyśmy się naśmiali do woli i gdym zrzucił maskę, spytałem, czy nikt a nikt nie był świadkiem naszego pojednania się. Zamiast odpowiedzi wzięła świeczniki rzekła mi: „Chodź!”. Zaprowadziła mnie do pokoju, gdzie u ściany stała ogromna szafa. Otworzyła ją i odsunęła na bok jej tył, odsłaniając drzwiczki prowadzące do niedużego gabinetu. Było w nim wszystko, czego by potrzebować mogła osoba przebywająca w nim czas dłuższy. Obok kanapy była ruchoma, odsuwana deszczułka. Zaslaniała ze dwadzieścia otworów, przez które można było doskonale widzieć, co się dzieje we wszystkich stronach sąsiedniego pokoju. Przez nie właśnie przyjaciel M. M. przyglądał się pamiętnej nocy sześćoaktowej sztuce, zaaranżowanej przez miłość i prawa natury... Wyrwało mi się:

— Tyś z nim wówczas tu była?

Kiwnęła głową. Struchlałem.

Lecz ona jęła mnie uspokajając najtkliwszymi słowami.

— Nie żałuj — rzekła — żeśmy tu byli. On jest tobą wręcz zachwycony, twoją delikatnością uczuć, twoją szlachetnością, płomiennością uczuć twoich... Nie dziwi się, że cię kocham; rozumie i znajduje za rzecz całkiem naturalną, iż taki człowiek jak ty może wzbudzić w kobiecie bezgraniczną namiętność.

— Ale jakże mogliście — przerwałem — wytrwać tak długo, z osiem godzin, tu w ciemności i nie rozmawiając wcale!

— Tak nas wszystko interesowało! Zresztą, tu dość widno, gdy otwory są odsłonięte; były też odsłonięte, gdyśmy tu zakąsywali, przysłuchując się jednocześnie waszej rozmowie i nie tracąc ani słowa.

— Nie usnęliście?

— Skąd znowu! Przyjaciel mój, chyba bardziej jeszcze niż ja, interesował się każdym szczegółem. Zapewniał, iż nigdy jeszcze nie widział tak doskonałej sposobności dla studiowania serca ludzkiego. Zachwyciła nas też C. C. Wierzyć oczom i uszom nie chcieliśmy, aby piętnastoletnie niedoświadczone dziewczę, mogło tak się zachowywać. Jeżeli ją kiedy poślubisz, będziesz miał idealną żonę. Wprawdzie utracę cię wtedy, lecz przynajmniej będę miała pewność, że jesteś najszczęśliwszym z ludzi. Doprawdy, pojąć nie mogę, jak mogłeś, posiadając ją, zakochać się we mnie, a ona jak może znosić dzielenie się tobą ze mną. Szczytność uczuć tej dziewczyny jest istotnie niezrównana! Zamiast mnie nienawidzić... wiesz przecie, co nas obie łączy. Ona ci wszystko wyjawiała, nieprawdaż? Ach, tak! Spowiadając się przed tobą, sądziła, iż zgładzi swoją winę. Ma bowiem, wyobraź sobie, na sumieniu, że zdradza ciebie ze mną!

— Szlachetna, boska dziewczyna!

Tegoż wieczora M. M. wyjawiała mi, że jej kochankiem jest poseł francuski, pan de Bernis<sup>181</sup> i że ten nie posiada się z niecierpliwości, aby mnie poznać. Jęła mnie gorąco namawiać, abym zaprosił go na kolację do mego *casina*. Wszystko, oczywiście, miało być ułożone zgodnie z przepisami najskrupulatniejszego *savoir-vivre*<sup>182</sup>. Zgodziłem się...

We cztery dni potem przyjmowałem u siebie pana de Bernis z takimi atencjami, jakby sam monarcha uczynił mi zaszczyt przebywania za moim stołem ze swoją kochanką. M. M. była z tego najwidoczniej bardzo zadowolona. Uczta była wykwinna; rozmowa iskrzyła się dowcipem; pan de Bernis jaśniał wszystkimi przymiotami Francuza z najwyższych sfer towarzystwa. Zawadzono w rozmowie o romantyczne okoliczności, które towarzyszyły memu zapoznaniu się z M. M., od czego był już tylko jeden krok do mówienia o C. C. tudzież o moich dla niej uczuciach. Głos zabrała M. M., rozplywając się

<sup>181</sup> *poseł francuski, pan de Bernis* — Franciszek Joachim de Pierres de Bernis, równie zręczny poeta, jak dyplomata, członek Akademii w 30 roku życia, rychło potem minister spraw zagranicznych, usiłujący wbrew życzeniom pani de Pompadour kres położyć wojnie siedmioletniej. Kardynalską obleczony purpurą, był jednym z głównych promotorów kasaty jezuitów. Wielki pan całą gębą: polityk niepospolitej miary o szerokich widnokręgach; poeta wymuskany, przesadny, nieznośnie kwiecisty. Urodzony w 1715 roku, życie zakończył w Rzymie w 1794. Posłował w Wenecji w kwiecie wieku, licząc niespełna 40 lat. [przypis tłumacza]

<sup>182</sup> *savoir-vivre* (fr.) — zasady właściwego zachowania się w towarzystwie, dobre manieri. [przypis edytorski]

nad przymiotami i powabami swojej przyjaciółki. Pan de Bernis przysłuchiwał się pilnie, udając, iż C. C. nigdy w życiu nie widział. Rzekł w końcu, iż poczytywałby sobie za niezmierną przyjemność znalezienie się z nią w towarzystwie.

— Jaka szkoda — wyraził się — że jej tu nie ma między nami!

— Zbyt trudna byłaby z tym sprawa — podchwyciła M. M. — ale — rzekła, zwracając się do mnie — może byś pan zechciał wespół z moją najdroższą C. C. spożyć kiedy kolację w moim *casino*.

Odparłem, ukrywając zdziwienie z racji tak niespodziewanej propozycji:

— Towarzystwo pani nie da się żadnym innym zastąpić i żadnego dopełnienia nie potrzebuje... ale nie omieszkam skorzystać z łaskawego jej zaproszenia.

Pan de Bernis wtrącił żywo prośbę, abym uprzedził C. C., iż i on na ową kolację przybędzie.

Nazajutrz M. M., zawsze zręczna i przytomna, zaklinała mnie w krótkim liściku, abym jej szczerze wyznał, czy czasem nie zgodziłem się na kolację we czworo jedynie przez grzeczność. Odpisałem, że broń Boże, że osobliwie rad jestem, iż C. C., niedoświadczona i nieobyta, znajdzie się w towarzystwie, które niewątpliwie wielce się przyczyni do jej ogłady. Po takiej deklaracji, oczywiście, nie mogłem cofnąć się żadną miarą. Kłamka zapadła. Znajomość ludzi mówiła mi, że pan de Bernis zakochał się w C. C. i że to on zniewolił M. M. do podsunienia mi owej kolacyjnej propozycji. Nie ma co mówić! Majster nie lada w zadzierzgnięciu i prowadzeniu intrygi! I postawił na swoim!... Musiałem robić, jak to mówią, *bonne mine a mauvais jeu*<sup>183</sup>, tym bardziej iż przecie pan de Bernis okazał się ze swej strony dla mnie tak uprzedzająco grzeczny...

Miłość własna silniejsza jest niż zazdrość. Ona to pozwala człowiekowi rozsądnemu nie okazywać zazdrości człowiekowi wolnemu od tej okropnej przywary.

W dniu oznaczonym zastałem już posła w *casino*. Zaledwieśmy się rozgadali na dobre, weszły obie nasze przyjaciółki. C. C. aż cofnęła się parę kroków, spostrzegłszy mnie w towarzystwie obcego człowieka, lecz gdym ją jak najczulej przywitał, odzyskała równowagę, tym bardziej spostrzegłszy, iż obcy pan pożera ją zachwyconymi oczyma i widocznie nie mniej jest zachwycony odpowiedzią w najczystszej francuszczyźnie, którą mu się odwzajemniła za komplement tchnący najwytworniejszą atmosferą Wersalu. C. C. była istotnie urocza i powabna jak chyba nigdy jeszcze... Życzyłem sobie, aby olśniewała. Prowadziłem rozmowę w ten sposób, aby miała raz po raz sposobność błysnięcia dowcipem i humorem. Podniecała ją moja zapobiegliwość, czuła, że się podoba... panu de Bernis wydała się istnym cudem. O niekonsekwencjo serca ludzkiego! Pragnąłem z całej duszy, aby wydała się jak najlepiej i szczerze cieszyłem się z jej sukcesów, a zarazem, aby pan de Bernis nie zakochał się w niej bez miary i pamięci.

Podczas kolacji godnej monarszego stołu pan poseł obsypywał moją C. C. komplementami, nadszkakiwał jej, był tylko nią zajęty. Było przy stole wytwornie, niezmiernie przyzwoicie i ogromnie wesoło. M. M. miała wszystkie pozory osoby zadowolonej, że się jej zamierzone dzieło udało. Poseł był w siódmym niebie. Po pięciu godzinach najprzyjemniej spędzonych rozstaliśmy się niebawem po północy.

Byłem pewny, że poseł nie jest człowiekiem, który poprzestanie na admirowaniu pięknych oczu C. C., i że M. M. wtajemniczona jest w jego plany, które ona, właśnie ona, ma za zadanie wprowadzić w życie. Czułem, że C. C. wymyka mi się z rąk, że wpadłem w pułapkę. Lecz przyznam się, że cała ta intryga mocno mnie zajęła i że z niecierpliwością czekał na dalszy jej przebieg.

Pan de Bernis, zachwycony spędzonym u mnie wieczorem, sam się zaprosił na podobną zabawę do M. M., do jej *casina*, obligując mnie i C. C., abyśmy raczyli też przybyć. Nie sposób było odmówić. Czułem, że drugi z kolei wieczór we czworo nie będzie miał tak przykładowego przebiegu jak kolacja w moim *casino*, że z matematyczną ścisłością muszą nastąpić trudne do uniknięcia warianty...

Przybywszy na oznaczoną godzinę do *casina* M. M., zastałem obie moje przyjaciółki, grzejące się u kominka.

— Jak się macie, moje najdroższe, a gdzież jest nasz Francuz-*galantuomo*<sup>184</sup>?

<sup>183</sup>*bonne mine a mauvais jeu* (fr.) — dobra mina do złej gry. [przypis edytorski]

<sup>184</sup>*galantuomo* (wł.) — poczciwy, szlachetny człowiek, dżentelmen. [przypis edytorski]

— Nie ma go jeszcze, lecz patrzeć tylko, jak się ukaże.

Zdjąłem maskę, usiadłem między obie przyjaciółki i starałem się tak dzielić moje pocałunki, aby żadnej z nich krzywda się nie działa. Wiedziały dobrze, że mam równą prawa do jednej, jak do drugiej, pomimo to nie przekroczyłem granic najskrupulatniejszej rezerwy; dałem wyraz ucieście, iż widzę je w tak doskonałej z sobą harmonii, one zaś były widocznie zadowolone, iż nie potrzebują się jej wstydzić. Więcej niż godzina upłynęło nam na galanteriach i komplementach; byłem wciąż najprzykładniej powściągliwy; pociągała mnie bardziej ku sobie M. M., lecz za nic w świecie, dając jej preferans<sup>185</sup>, nie poważylbym się mojej ukochanej C. C. urazić. Nagle i niespodziewanie — liścik od posła! Przeprasza, że przyjść nie może i błaga o takiż reunion<sup>186</sup> na przyszły piątek, kiedy już na pewno będzie mógł w nim uczestniczyć. Spozrzegłem od razu, że C. C. spochmurniała i zesmutniała. Usiłowałem ją zręcznie wybadać, czy dla pana de Bernis nie żywi już przypadkiem uczucia wręcz graniczącego z miłością. Wykręciła się sianem, zapewniając, że tylko zawód, który spotkał jej przyjaciółkę, jest przyczyną jej złego humoru.

To mówiąc, jakby chciała M. M. pocieszyć, siada na jej kolanach, nazywając ją swoją żoneczką, i obie prześliczne dziewczątka zaczynają takimi osypywać się wzajemnie pieszczotami, iż tylko brać się za boki i konać ze śmiechu. Nie myślę im przeszkadzać; przeciwnie, zagrzewam je do coraz pełniejszego uraczania mnie widowiskiem, nie po raz pierwszy zresztą oglądanym. M. M. wzięła do ręki zeszyt z rycinami przedstawiającymi najrozkoszniejsze pozy i rzucając mi wymowne spojrzenie, spytała, czy nie byłoby dobrze zacząć zapalić w sąsiednim pokoju o przestronnej alkwie. W mig przeniknąwszy jej myśl, odparłem, iż nie wyobrażam sobie pełniejszego szczęścia, jak zażywane we troje. Pokój sąsiedni nie miał żadnej komunikacji z potajemnym gabinetem, co oczywiście dawało najzupełniejszą rękojmię, że nasze trio niczyjego podglądania obawiać się nie potrzebuje. Po wesoło spożytej krótkiej kolacji przed palącym się kominkiem, gdy obie precudnej piękności dziewczeczki zaczęły, przekomarzając się ucieszenie, porównywać swoje wdzięki, porozpinawszy sobie wzajemnie gorsety, rozłożyłem na stole *L'Academie des Dames*<sup>187</sup> i rzuciłem myśl odtworzenia w żywym obrazie niektórych grup figurujących na ilustracjach tej niezrównanej książki. Propozycja moja została w lot przyjęta i we chwil kilka znaleźliśmy się we troje w alkwie sąsiedniego pokoju, na wspaniałym łożu, a w stroju, aby wyrazić się najdelikatniej: przyrodzonym człowiekowi, *dans l'état de simple nature*<sup>188</sup>. Początkowo, poprzestając na roli jedynie widza i świadka, napawałem się grą kontrastów bachantkujących<sup>189</sup> ze sobą brunetki i blondynki, lecz rychło, niezdolny dłużej zapanować nad sobą, rzuciłem się między obie, kolejno to jedną, to drugą odwodząc prawie od przytomności z nadmiaru rozkoszy i miłosnych zapalów.

Wyczerpani, zasnęliśmy snem kamiennym. Zbudził nas zegar, wydzwanający głośno godzinę czwartą. Mieliśmy jeszcze dwie godziny przed sobą, którycheśmy, wierz proszę, czytelniku, nie zmarnowali... Rozstaliśmy się o brzasku dnia, okrutnie pomęczeni i zawstydzeni, że mogło nas takie zmęczenie ogarnąć, lecz zarazem zadowoleni nad wszelki wyraz i niecierplivi zaznać znowu podobnej uciechy.

Rozmyślając dnia następnego nad tym, co zaszło, czułem niedwuznaczne wyrzuty sumienia. M. M. kochała mnie, to nie mogło ulegać żadnej wątpliwości; unosił ją tylko temperament, była niewolnicą wybujałych zmysłów własnych i pilno jej było mieć we mnie współwinnego. Zmysły, rzecz była jasna, panowały nad jej sercem. Dochodziłem do wniosku, iż nieobecność posła była z góry ułożona. M. M. liczyła na to, że domyślę się... i dobrowolnie padnę w zastawione sidła.

Bądź co bądź jednak, zawdzięczałem panu posłowi noc wręcz nadzwyczajną i sama grzeczność nakazywała odwdziżyć mu się podobną usługą. Co zaś do C. C., to rzeczą było aż nadto widoczną, iż M. M. robiła z nią, co zechce... Nieszczęsna dziewczyna była całkowicie w jej mocy i ja — ja właśnie! — przyłożyłem ręki do tego. Ciężkie wes-

<sup>185</sup>*preferans* (daw.) — dawanie komuś pierwszeństwa, okazywanie szczególnych względów. [przypis edytorski]

<sup>186</sup>*reunion* (z fr.) — zebranie towarzyskie; przyjęcie. [przypis edytorski]

<sup>187</sup>*L'Academie des Dames* — francuska adaptacja łacińskiego dialogu erotycznego Nicolasa Chioriera. [przypis edytorski]

<sup>188</sup>*dans l'état de simple nature* (fr.) — w stanie prostej natury. [przypis edytorski]

<sup>189</sup>*bachantkować* (neol.) — zachowywać się żywiolowo i wyuzdanie jak bachantki, kobiety świętujące na cześć boga wina Bachusa. [przypis edytorski]

technienie wyrywało mi się z piersi na przypomnienie, że wcale nie oszczędzał podczas naszej ostatniej orgii — ani jednej, ani drugiej, niestety! I już teraz strzeli obu do głowy porzucić klasztor! Co pocznę z obiema? Stanowczo, nadmiar szczęścia... *Embarras de richesse*, doprawdy, niemający w sobie nic radosnego. Bilem się z myślami: iść na *rendez-vous* naszej czwórki, czy nie iść? Śmieszny będę, zachowując się jak poświęcony, a jeśli nie pójdę, to C. C. jest bezapelacyjnie zgubiona; tracę ją na zawsze i z naszego małżeństwa nic już być nie może. Trzeba było koniecznie dowiedzieć się czegoś pozytywnego. Wkładam maskę i idę do ambasady francuskiej. Powiadam szwajcarowi<sup>190</sup>, iż pragnąłbym wysłać do Wersalu pilny list przez wracającego tam specjalnego kuriera. Szwajcar mnie zapewnia, iż żaden kurier nie zbiera się jechać do Wersalu. „Jak to? — powiadam. — Wszak pan ambasador całą noc pracował”. — „Być może, tylko nie u siebie w domu. Jego Ekselencja jadł kolację u posła hiszpańskiego i wrócił do domu dopiero nad ranem”. Nie było żadnej wątpliwości. Kości rzucone...

W najfatalniejszym humorze napisałem do C. C., iż do *casina* na projektowaną kolację nie przyjdę. I nie poszedłem; spędziłem całą noc w klubie, grając zapamiętałe. Nazajutrz dwa listy. C. C. donosi, iż we troje bawili się doskonale, zwłaszcza po ponczu i szampanie, że przyjaciel jej przyjaciółki był niezmiernie miły i wesoły, lecz że ani się umył... do mnie; że kocha mnie zawsze całym sercem i że wciąż jestem jedynym człowiekiem, do którego chciałaby i mogła należeć na życie całe. Uśmiełem się serdecznie, czytając taki list... Nie mniej niepospolity był list M. M.. Zgadła, iż był to z mojej strony rewanz, że chciałem uraczyć pana de Bernis tak rozkosznym wieczorem, jak ten, który mi pozwolił spędzić z M. M. i C. C. Pisała atoli, że żadne tria nie osłabia jej gorących uczuć dla mnie, że tylko przyjaźnią dopełnia miłość. Na końcu dawała mi *rendez-vous* w *casinie* weneckim, pragnąc mnie mieć wyłącznie dla siebie.

Przyszła w ubraniu męskim i poszliśmy w pierw na redutę. M. M., nadzwyczajna we wszystkim, była też wręcz nadzwyczajna w grze. Mieliliśmy ja 800, ona 600 cekinów. Przegraliśmy wszystko co do grosza. Gdzieś na reducie, w miejscu tylko jej wiadomym, był pan de Bernis. Wzięła od niego 300 cekinów. I te prysły jak bańka mydlana. Podziwiałem moją towarzyszkę. Była w tak doskonałym humorze, jakby nie przegrała właśnie, lecz wygrała 12 000 franków. Co do mnie, byłem nieco chmurny. Usiłowała mnie zabawić szczegółową relacją o nocy spędzonej z posłem i C. C. w jej *casinie*; słuchałem z niesmakiem, czując, że to opowiadanie czyni mi M. M. mniej powabną i pożądaną, a dobry rycearz, gdy zwątpi w swe siły, niewiele czego dokonać potrafi. Na szczęście nie sprawdziła się ta reguła i wróciwszy do mego *casina*, spędziliśmy ze dwie godziny, nad wszelki wyraz upojne i godne nas... Przed rozstaniem się zobligowała mnie moja najdroższa, abym wziął z jej *casina* monety, ile mi będzie potrzeba. „Będę z tobą grać do końca, przez cały karnawał!” — rzekła. Uczyniłem zadość jej chęci. Wziąłem wszystko złoto, którym w jej *casinie* znalazł<sup>191</sup> i zaczęło mi się szczęście niepospolicie. Przez cały karnawał wygrywałem i wygrywałem. Kapitał mojej najdroższej zdublowałem.

W Wielki Poniedziałek (nie wypadło zwlekać dłużej), spędziliśmy wieczór i dobrą część nocy we czworo. Ja, stosownie do powziętego niezłomnego postanowienia, byłem tylko M. M. zajęty. C. C. widziała to dobrze i nie tracąc ani humoru, ani kontenansu<sup>192</sup>, też zdawała się widzieć tylko i jedynie nowego swego kochanka. Toteż poprosiłem M. M., aby jako gospodyni domu tak wszystko zarządziła, aby jedna para drugiej pary w niczym nie krępowała. Po kolacji pan de Bernis zaproponował partyjkę faraona<sup>193</sup>, którego obie panie nie znały, gdyż na redutach grano wyłącznie w *basseta*<sup>194</sup>. Wyłożywszy na stół 100 luidorów, poprowadził grę tak, iż całą sumę wygrała C. C. W ten sposób uważał za stosowne złożyć jej tradycyjną daninę „na szpilki”. Młodziutkie dziewczę dosłownie nie wiedziało, co począć z tak ogromną sumą; była jak ośniona. Jęła prosić przyjaciółkę, aby wzięła pieniądze w depozyt, aż do czasu, gdy będzie opuszczała klasztor, aby wyjść

<sup>190</sup>szwajcar (daw.) — odzwiercy, człowiek pełniący służbę przy wejściu do budynku. [przypis edytorski]

<sup>191</sup>Wziąłem wszystko złoto, którym w jej casinie znalazł — *O tempora, o mores!* [łac.: O czasy, o obyczaj!]. [przypis tłumacza]

<sup>192</sup>kontenans (daw., z fr.) — pewność siebie, odwaga. [przypis edytorski]

<sup>193</sup>faraon — dawna gra hazardowa wykorzystująca karty, pochodząca z końca XVII w., wywodząca się z *basseta*; gracze obstawiali w niej, które karty zostaną odkryte przez „bankiera”. [przypis edytorski]

<sup>194</sup>basset — dawna gra hazardowa wykorzystująca karty, powstała w XVI w.; należała do bardzo ryzykownych. [przypis edytorski]

Gra, Pieniądz

Gra, Kochanek

za mąż. Gdyśmy skończyli grać, M. M. zaczęła skarżyć się na ból głowy i wyraziła chęć pójścia do alkowy, aby tam się przespać, ja zaś miałem ją ukołysać. W ten sposób daliśmy nowej parze kochanków czas i możliwość pozostawania w upragnionym sam na sam. Gdy po sześciu godzinach nastawiony budzik oznajmił nam, iż czas zbliża się do rozstania, zastaliśmy oboje pogrążonych w uścisku. Co do mnie, spędziłem z M. M. noc niezmiernie przyjemną, nie pomyślawszy ani razu o C. C.

Wiedziałem dobrze, iż po tym, co zaszło między nią a posłem, mowy już być nie może o naszym małżeństwie, ponieważ jednak ode mnie zależało powstrzymać ją na brzegu przepaści, a tegom nie uczyniłem, poczytywałem sobie przeto za święty obowiązek być jej wiernym przyjacielem. Cała wina była po mojej stronie. Ja to sam dałem jej przykład zdradzania, ja, którym ją był przecie uwiódł; ja kazałem jej słuchać na ślepo przyjaciółki, wiedząc dobrze, iż jej rady i jej przykład zaprowadzą niedoświadczoną dziewczę na najfatalniejsze manowce; ja to wyrządziłem jej najcięższą obrazę, na jaką wystawić można kochankę niepozobawioną delikatności uczuć i szczerze miłującą. O! Jakżebyłem mógł dzielić niesprawiedliwy sąd ludzki, wymagający od słabej kobiety więcej niż od mężczyzny!

Niedługo potem umarła matka C. C. i obie przyjaciółki, lokujące się dotychczas w wspólnym pokoju, rozłączono, co uniemożliwiło C. C. uczestniczenie w naszych zebraniach. Na domiar pan de Bernis otrzymał wiadomość, iż ma być lada dzień odwołany z Wenecji. Z góry uprzedzał, iż swoje *casino* zostawia do naszej dyspozycji, dopóki będziemy tego „gniazdka” potrzebowali. Mnie w opiekę oddawał obie panie, czyniąc szczególne dyspozycje co do M. M., jeśliby się miały normalne skutki miłości okazać.

Niebawem nastął dzień rozstania. Mieliśmy spędzić ostatni wieczór razem. Przybywszy atoli do *casina* w Murano, zastałem M. M. samą i we łzach tonącą. Przyjaciel jej był odjechał... Przez całą noc usiłowałem rozproszyć jej smutek, lecz nadaremnie. Przyszła do siebie dopiero w kilka dni potem, a miłość, którą żywiła dla mnie, rychło bardzo obudziła zwykle pożądanie spędzania ze mną rozkosznych sam na sam. Sprawa atoli była niełatwa. Z klasztoru wykraść się było niezmiernie trudno; nie dowierając żadnemu gondolierowi, sam przewoziłem ją do *casina* w zakupionej łodzi. Raz rozszrożyła się niebywała burza... O mało że nie spóźniliśmy się z powrotem do klasztoru, co by wywołało niesłychany skandal. Innym razem, podczas gdyśmy w *casinie* zażywali najśłodszego wywczasu, urwipocie jacyś skradli mi gondolę z wybrzeża wyspy. Istnym cudem udało mi się jeszcze na czas odwieźć M. M. do klasztoru.

Lecz i te nasze, tak utrudnione schadzki miały się niebawem zakończyć. Okoliczności tak się złożyły, iż *casino* pana de Bernis musiało być sprzedane (całą kwotę otrzymała M. M., z wyraźnego zarządzenia posła); książki i ryciny (w sam raz... brewiarz dla kardynała!) zostały mu odesłane do Paryża i my zostaliśmy bez gniazdka. Mogliśmy tylko widywać się w klasztornym parlatorium, przez kratę. M. M. aczkolwiek hojnie przez pana de Bernis wyposażona w klejnoty, których sprzedaż zapewniała jej wcale nawet pokaźną, dożywotnią rentę, mizerniała i bladła. Formalnie gasła. Wyniszczały ją, wpędzały do grobu smutek, tęsknota, śmiertelna nuda. Pewnego dnia wręczyła mi wszystko, co posiadała, pieniądze, resztę klejnotów, książki, listy. „Jeżeli nie umrę — rzekła — wrócisz mi to wszystko; jeżeli umrę, niech to będzie twoją własnością”. Prosiła, abym do niej pisał, gdyż tylko jeszcze listy moje utrzymują ją przy życiu. Z twarzą zalaną łzami przystałem na wszystko. Kochałem ją namiętnie, głęboko. Postanowiłem, aby być bliżej niej, zamieszkać w Murano, dopóki jako tako nie przyjdzie do zdrowia. Wszystko, co mi dała — a wartość tego była bardzo znaczna — złożyłem jako depozyt w palazzo Bragadino. Laura wyszukała dla mnie ładne *casino* w Murano, a za gospodynię dała mi piętnastoletnią córeczkę swoją, Tonię.

Początkowo wcale nie zwróciłem na nią uwagi, ile że moja dusza przepelniona była po brzegi nieutulonym smutkiem. Po paru dniach spostrzegłem, że jest naprawdę bardzo a bardzo ładna i poczułem szczerze zawstydzienie, przekonawszy się, jak dalece byłoby jej łatwo mnie pocieszyć. Lecz drogi był mi mój smutek i postanowiłem nawet oddalić od siebie wszystko, co by go mogło rozproszyć. Miałem, nie zwlekając, polecić Laurze, aby mi się postarała o inną dla mnie gospodynię. Cóż jednak najsilniejsze postanowienia pomogą

Dar, Rozstanie, List

wobec sofizmatów<sup>195</sup>, którymi ułomna ludzka natura zbić je usiłuje! Wmówiłem w siebie — bez trudu — że dziewczyna nie jest przecie temu winna, iż wywiera na mnie to lub owo wrażenie i że nie mam prawa za to jej wydaleć. Tedy została.

Tymczasem zostałem jak piorunem rażony wiadomością, że M. M. jest umierająca. Byłem w desperacji, zalewałem się łzami, nie wychodziłem wcale z domu. Napisałem list do C. C., polecając jej powiedzieć przyjaciółce, że wykradnę ją z klasztoru natychmiast, gdy wróci do zdrowia. „Mam — pisałem — 4000 cekinów i resztę jej klejnotów, co wszystko razem stanowi kapitał, z którego procentów będziemy mogli żyć wygodnie w każdym zakątku Europy”. Otrzymałem od C. C. natychmiastową odpowiedź, że przyjaciółka jej wpadła po przeczytaniu mego listu w malignę<sup>196</sup>, w istne delirium. Przez trzy godziny głośno mówiła po francusku — na szczęście po francusku, gdyż to, co się jej z ust wymykało, byłoby rozpędziło na cztery wiatry pobożne zakonnice. Ogarnęła mnie okrutna rozpacz. Niewiele brakowało, abym się też nie położył do łóżka. M. M. majaczyła przez trzy dni i trzy noce, odzyskawszy zaś zmysły, poleciła przyjaciółce odpisać mi, iż sama myśl, iż ją wykradnę i na zawsze ją wezmę dla siebie, niezawodnie wróci jej zdrowie. Odpisałem, iż od realizacji tego planu moje własne życie zawisło. W ten sposób ludziliśmy się, ja i ona.

W tej rozterce uczuć i myśli przedziwnym ukojeniem była dla mnie naiwna prostota Toni, spijającej w izbie przylegającej do mego pokoju i nieidącej spać za nic w świecie wpierw, zanim ja sam się położę. Tak przez ścianę z tym przemiłym dziewczęciem przeżyłem siedem tygodni. Tonia była nie tylko ładna, była najkompletniej piękna, mogłaby uchodzić za piękność w każdym kraju Europy. Usługiwała mi jak najpilniej, jak najczujniej; byłem jej za to nieskończenie wdzięczny; starałem się nie zwracać uwagi na jej powab i wdzięk. Niejedną noc przeczuwała przy mnie w fotelu, pielęgnując mnie jak matka, zawsze cierpliwa, zawsze słodka, zawsze niezmordowana. Nie pocałowałem jej ani razu; nie pozwoliłem sobie nigdy rozbierać się w jej obecności i ona też nigdy nie weszła do mego pokoju inaczej, jak najprzystojniej ubrana. Wszelako... czułem, że staczam wewnętrzzną walkę i dumny byłem z odnoszonego zwycięstwa.

Nagle wezwanie zmusiło mnie pewnego dnia udać się do Wenecji, do mego przyjaciela P. Miałem nocować za domem; złożyło się inaczej i późnym wieczorem wróciłem do Murano zmoczony do nitki, gdy deszcz lał jak z wiadra, a marna gondola była na wpół otwarta. Po ciemku wchodzę po schodach; pukam do drzwi sieni, gdzie Tonia, pewna, iż nie wrócę na noc, była się już spać położyła. Zbudzona, zrywa się i otwiera mi w koszuli, ze świecą w ręku.

— Wejdz — rzekłem — i zaświeć mi w pokoju.

— Ubiorę się!

— Nie trzeba, zarzuć cośkolwiek na siebie.

Usłuchała. Zapalając świecznik, spostrzegła, iż stoję na środku pokoju jak zmokła kura, i nie może powstrzymać się od śmiechu.

— Drogie dziecko — powiadam — osusz mi tylko włosy. Sam nie potrafię.

Pobiegła po puder i zręcznie operując miotełką, jęła mi moją nieszczęsną koafiurę doprowadzać do porządku. Niestety, koszulę miała na sobie za szeroką u góry, a u dołu za krótką. Czyniłem sobie wyrzuty gorzkie, że nie pozwoliłem jej ubrać się akuratnie, było atoli już po niewczasie. Czułem, że ginę... Obie ręce mając zajęte, nie mogła ukryć istnych jabłek z ogrodu Hesperyd<sup>197</sup>, wyzierających spod bielizny, a nieopisanie kuszących swymi świeżutkimi kształtami. Czyliż miałem zamknąć oczy? Nie gwałcąc tego, co przyrodzenie mi dało, jąłem zapuszczać spojrzenia coraz głębiej, wywołując tym na twarzy Toni coraz płomienniejsze rumieńce.

— Przytrzymaj — rzekłem — koszulkę ząbkami, wówczas nic nie zobaczę.

Lecz niestety, stała się rzecz jeszcze gorsza, gdyż zasłona była zbyt krótka i oczom moim ukazały się dwie kolumny, ku których wzrok mój sięgnął niemal fryzowi. Mimo woli krzyknąłem, nie mogąc opanować rozkosznego wzruszenia. Toni, nie wiedząc,

<sup>195</sup>sofizmat — pozornie poprawne rozumowanie rozmyślnie dowodzące nieprawdziwej tezy, w rzeczywistości opierające się na zatajonym błędzie. [przypis edytorski]

<sup>196</sup>maligna — wysoka gorączka połączona z zaburzeniami świadomości i majaczeniem. [przypis edytorski]

<sup>197</sup>ogród Hesperyd (mit. gr.) — ogród pilnowany przez siostry Hesperyd, nimfy zachodzącego słońca, w którym rosła jabłonia rodząca złote jabłka. [przypis edytorski]

Pożądanie

Eroryzm, Pożądanie, Seks,  
Miłość

jak i gdzie ma się schronić przed mymi pożądanymi spojrzeniami, rzuciła się, niewiele myśląc, na kanapę; ja zerwałem się i stanąłem przed nią podniecony do niemożliwości, a niezdeterminowany, co mam uczynić.

— Ubiorę się — rzekła — a potem pana ufryzuję.

— Broń Boże! — odparłem. — Usiądź mi na kolanach i zawiąż mi oczy.

Usłuchała. Lecz zaledwie ją poczuł przy sobie, cały plan ślepej babki wziął w łeb, iskra zapaliła prochy, rzuciłem ją na moje łóżko, okryłem całą pocałunkami, osypałem wyznaniem wiecznej miłości, a z zarzucenia mi ramion na szyję odczułem doskonale, iż śliczna Tonia od dawna czekała z upragnieniem na taką chwilę.

Uszczknąłem różyczkę i — jak zwykle — wydała mi się piękniejsza nad wszystkie, którym kiedy zrywał po błoniach miłości. Budząc się nazajutrz rano, czułem, że śmiertelnie jestem w Toni rozmiłowany, że nigdy jeszcze żadnej nie kochałem tak silnie kobiety. Nie budząc mnie, była odeszła do swej izby i teraz, usłyszawszy, że się poruszył, przyszła zajrzeć, czy czego nie potrzebuję. Wymawiałem jej serdecznie, iż nie czekała, aż ja sam przyjdę powiedzieć jej dzień dobry. Za całą odpowiedź podała mi list M. M. Położyłem go na stronie i wziąłem TONIĘ w objęcia.

— Jak to! — zawołała. — Co za cud się stał! Niepilno panu ten list przeczytać? Człowieku zmienny i niestały, czemuś nie pozwolił mi wyleczyć się sześć tygodni temu! Ale to nic... Teraz ja szczęśliwa, szczęśliwa, szczęśliwa... Błogosławiony ten deszcz wczorajszy! Drogi, kochany, kochaj mnie tylko tak, jak tę kobietę, do której co dzień pisujesz, a już niczego braknąć mi nie będzie.

— A wiesz ty, kto ona?

— Po co mi wiedzieć? Ty bądź moim panem i władcą, niczego więcej nie pragnę.

Nie uważałem za potrzebne wdawać się w eksplikacje. Zapewniłem ją, iż kochać jej nie przestanę do końca życia. Wyrzywała się; chciałem ją zatrzymać — nadaremnie. Uciekła, tłumacząc, iż musi sporządzić mi obiad tak pyszny, tak pyszny... jak noc ze mną spędzona. Byłem zachwycony i zdumiony. Skąd w takiej dziewczynce tyle uczucia, delikatności, wdzięku! To już nie lękliwa Tonia z dni poprzednich; tryumfuje; szczęście ją tak przeobraziło; jakie zadowolenie maluje się jej na twarzy, jaśniejącej jak zorza poranna! Pojąć nie mogłem mojej dotychczasowej względem niej obojętności.

List M. M. wydał mi się mniej interesujący niż zazwyczaj, aczkolwiek był aż nadto czuły. Pierwszy też raz odpisywanie nie szło mi gładko i swobodnie... Z przemiłą TONIĄ przeżyłem uroczych dni dwadzieścia dwa, może najcudniejszych w całym moim życiu. Dziś najnieznośniejsze może dla mnie jest to, iż posiadając serce pełne jeszcze ognia, a sił, z racji lat tylu rzuconych za siebie, mniej, znacznie mniej niż dawniej, nie mam już przed sobą ani jednego takiego dnia jak te, którym przeżył z tą czarującą dziewczyną.

W końcu kwietnia widziałem się z M. M. — przez kratę. Powitała mnie ogromnie serdecznie: blada, wymizierowana, zmieniona. Przeniosłem się z Murano na powrót do Wenecji, wciąż zapewniając, iż o wykradzeniu jej myślę bez ustanku i wypracowuję plan. *Casino* własne wciąż miałem w Wenecji. M. M. mogła mnie odwiedzać tylko dwa razy na tydzień; częstszym gościem w moim *casinie* bywała Tonia. Ten podwójny stosunek nie mógł długo pozostawać tajemnicą. Zwierzyłem się mojej niezrównanej M. M. Nie wzięła mi za złe stosunku z TONIĄ. Szczerze interesowała się każdym jego szczegółem. Była to w moim życiu epoka najszczęśliwsza. Wiodło mi się we wszystkim. Miałem w bród kobiet i pieniędzy. Każdy z nas ma w życiu taki jeden najszczęśliwszy, złoty okres. Po nim nastaje zazwyczaj szereg, jeżeli nie dni, to lat gorszych albo zgoła niepomyślnych — we wszystkim. Tak też musiało być i ze mną. Szczęście w grze opuściło mnie z kretesem. Ponieważ grałem z M. M. w motii<sup>198</sup>, nie mogłem zataić przed nią oplakanego już stanu moich funduszków. Sprzedało się klejnoty... I te stopniały. M. M. zatrzymała dla siebie tylko 500 cekinów. Rzecz prosta, że o ucieczce z klasztoru, o kosztownej, bądź co bądź, imprezie mowy już teraz być nie mogło. Czekałem na powrót szczęścia, oskubując to tu, to tam drobnych graczów.

Miłość, Szczęście

<sup>198</sup> *motia* (daw., z fr.) — spółka, współuczestnictwo. [przypis edytorski]

Angielski rezydent-minister Murray<sup>199</sup>, który użyczył mi swego *casina* dla schadzki z pewną znamienitą kurtyzaną<sup>200</sup>, zaprosił się pewnego razu do mego *casina*. Chętnie się mu odwzajemnił, lecz nie zupełnie. Tonia była zachwycająca, wesoła, nad wyraz uprzejma, lecz ściśle w granicach najskrupulatniejszej przyzwoitości. Nazajutrz otrzymałem od pana posła list następującej treści: „Jestem w pańskiej Toni śmiertelnie zakochany. Jeżelibyś Pan zgodził się mi ją odstąpić, oto cobym dla niej uczynił. Dam jej na własność kompletnie umeblowane mieszkanie, pod warunkiem, że będę używał praw kochanka *en règle*<sup>201</sup>. Dam jej służącą, kucharkę i dawać będę po 30 cekinów miesięcznie na stół, na dwie osoby, oprócz win, których sam będę dostarczał. Po roku pożycia ze mną otrzyma dożywotnią rentę wynoszącą 200 talarów<sup>202</sup>. Czekać będę osiem dni na twoją odpowiedź, drogi przyjacielu”. Odpisałem natychmiast, że za dni trzy będę mógł donieść mu, co na to powie matka Toni, bez której zgody sprawy nie da się ubić. Zresztą — dodałem — zdaje mi się, że dziewczyna jest w odmiennym stanie. Dla Toni propozycja angielskiego ambasadora miała bardzo doniosłe znaczenie. Kochałem ją... jużci, że kochałem... lecz wiedziałem dobrze, że wieki z nią żyć nie będę, a przede wszystkim, że nie mógłbym nigdy takiego jej losu zapewnić, jak gwarantowany przez angielskiego magnata. Szczerze i otwarcie rozmówiłem się z nią.

— Więc chcesz mnie porzucić? — rzekła ze łzami w oczach.

— Mam tylko twoje dobro na względzie.

— Bynajmniej, bo przecie nie mogę należeć jednocześnie do was obu.

— Będziesz należała tylko i wyłącznie do twego nowego kochanka. Pomyśl tylko! Toć przecie z łatwością uzbierasz sobie posag i wyjdiesz wspaniale za męż. Ja nie mogę ci tego dać...

— Daj mi dziś pokój; daj mi wypłakać się i namyślić. Jutro przyjdź do mnie na kolację.

Nie omieszkałem przyjść.

— Twój Anglik — rzekła — wcale przystojny i elegancki; nie mogę tylko powstrzymać się od śmiechu, gdy zacznie mówić po wenecku, ale to nic... Jeżeli nasze charaktery i usposobienia nie będą harmonizowały, możemy się przecie rozstać po roku i mam zapewnionych dwieście talarów dożywotniej renty!

— Cieszę się niezmiernie, iż rozumiesz tak logicznie.

— Boję się... waham... Sprawa jest zbyt delikatnej natury, abym sama mogła mówić o tym z matką. Ty z nią o tym pomów.

Laura, z którą nie widziałem się od wieków, była uszczęśliwiona. Tonia — zaopiniowała bez namysłu — wygrała wielki los! No i będzie w stanie zaopiekować się matką, której z latami sił chyba nie przybywa. Pokazała mi 130 cekinów, zarobionych u mnie przez Tonię i danych jej w depozyt. Barberina, najmłodsza siostrzyczka Toni, pocałowała mnie w rękę. Spostrzegłem, że jest prześliczna i dałem jej wszystką srebrną monetę, którą miałem w kieszeni. Po czym, gdy Tonia nadeszła, Laura zaczęła ją błogosławić i polecać opiece św. Katarzyny. „Dawać mi będziesz — rzekła — tylko trzy liry dziennie; przeniosę się do Wenecji i tam z całą rodziną potrafię się utrzymać względnie nawet dostatnio”. Tonia, oczywiście, zgodziła się chętnie. Uściskały mnie. Rzecz była postanowiona i rozstrzygnięta ku ogólnemu zadowoleniu.

Załatwiwszy tak ważną sprawę, poszedłem odwiedzić M. M. Wyszła do parlatorium w towarzystwie C. C. Była smutna, lecz jaśniejąca przedziwną pięknnością. Oznajmiłem jej, że Tonia przenosi się do Wenecji, do Murraya. „Szkoda! — rzekła. — Teraz, gdy jej nie będzie w Murano, to i ty rzadkim tu będziesz gościem”. Zaprzeczyłem gorąco, obiecując

<sup>199</sup>angielski rezydent-minister Murray — skończony debosz, z którym Casanova niejedną noc przechulał. Złożył się raz z autorem pamiętników, że ponieważ nie ma w Wenecji zakonnicy, której by nie można było mieć za odpowiednią sumę, a przez pośrednictwo zręcznego rajfura (od których rola się wówczas stolica dożów), przeto i M. M. najpiękniejszą z pięknych do swego *casina* sprowadzi. Rajfur spod ciemnej gwiazdy przyprowadził mu w ubraniu zakonnym jakąś spod ciemnej gwiazdy bandytkę, tylko podobną do M. M. Próba przywołania tejże nocy M. M. do parlatorium klasztornego dowiodła niezbitcie, iż Murray smotnie przegrał, ku wielkiej ucieście i... uldze Casanovy. [przypis tłumacza]

<sup>200</sup>kurtyzana — utrzymanka bogatych, wpływowych mężczyzn. [przypis edytorski]

<sup>201</sup>*en règle* (fr.) — jak należy, zgodnie z zasadami. [przypis edytorski]

<sup>202</sup>talár — dawna duża srebrna moneta o stosunkowo dużej wartości. [przypis edytorski]



odwiedzać ją jak najczęściej. O ironio! Właśnie przecie nadciągał czas, kiedyśmy się mieli rozstać na zawsze.

Tonię zabrał Murray. Pocieszała mnie po jej stracie siostrzyczka jej, Barberina, lecz i z tą się niebawem rozstałem. Po pewnym czasie, właśnie, kiedym zaczynał gustować w pewnej prześlicznej młodej damie, wypadło mi odwiedzić M. M. Oznajmiła mi, że ojciec C. C. umarł i że opuściła klasztor, aby poślubić pewnego adwokata. M. M. doręczyła mi jej list. Jeżelibym — pisała C. C. — trwał w zamiarze ją poślubić, to da kosza swemu adwokatowi i wyjdzie za mnie jak najchętniej... Poprosiłem jej powiedzieć, że obecnie nie mam ani posady, ani stanowiska, że przeto sam radzę najserdeczniej nie odrzucać bardzo dobrej partii. Pomimo tego rodzaju pożegnania C. C. zdecydowała się poślubić swego adwokata dopiero wówczas, kiedy po mojej ucieczce z więzienia pod ołowianymi dachami nikt już nie mógł mieć najłżejszej nawet nadziei, iż kiedykolwiek wrócę do Wenecji. Spotkałem się z nią dopiero po dziewiętnastu latach. Nieszczęśliwą była i wdową. Jeżelibym teraz był w Wenecji, nie poślubiłbym jej jużci, gdyż brać żonę w moim wieku byłoby wręcz bezczelnością, lecz podzieliłbym się z nią wszystkim, co posiadam, i żył bym z nią jak z tkliwie miłowaną siostrą.

Kochanek

\*

Niedługo potem otrzymałem anonimowy list, ostrzegający mnie przed groźącym mi niebezpieczeństwem. Nie zwróciłem nań uwagi, a list mówił prawdę. Od dawna już śledził mnie szpieg Inkwizycji Państwowej. Znalazł u mnie książkę traktującą o magii. Niejaka pani Memino wniosła skargę, iż obu jej synów deprawuję, wpajając w nich zasady ateizmu, zaś jakiś dobrze opłacony denuncjant zeznał i świadków stawiał, iż w diabła nie wierzę. Sprawa przeszła w ręce pierwszego państwowego inkwizytora, dobrego mego przyjaciela, któremu przypadło w udziale aresztować mnie jako burzyciela porządku publicznego i spokoju. Dołało oliwy do ognia aż trzech najzacniejszych w świecie obywateli, którzy pod przysięgą zeznali, iż przegrywając w karty, nigdy w życiu nie zaklął, osypując diabła wyzwiskami, czego przecie nie omieszka uczynić żaden wierzący, prawomyślny katolik. Byłem przy tym oskarżony o jądanie wyłącznie mięsa, o bywanie na nabożeństwach wyłącznie wielkoświatowych i wystawnych, tudzież rzucono na mnie bardzo daleko idące podejrzenie, iż należę do masonów. Na domiar, ponieważ mieszkałem kolejno u trzech wybitnych patrycjuszów i byłem częstym gościem u zagranicznych ambasadorów, wyprawiono stąd wniosek, że posłem zagranicznym sprzedaję za grube pieniądze tajemnice państwowe, wyłudzone podstępnie od owych weneckich patrycjuszów.

Wina

Rzucono mnie do najokropniejszego z więzień świata, do więzienia nad pałacem dożów, pod tak zwane dachy ołowiane. Przebyłem tam miesiące całe i byłbym tam życia dokonał, gdy by nie odważne wzięcie się za bary z niegodziwym losem. Z nieopisanym trudem i narażając się na niesłychane niebezpieczeństwa — uciekłem.

Uciekłem nie tylko z więzienia, lecz i z ojczyzny, i od tej daty tułam się po świecie, z kraju do kraju, z miasta do miasta, często opływając w dostatki, przepych i świetność, rzucając złoto garściami jak Krezus<sup>203</sup>, lecz zmuszony często zdobywać je podstępem lub nawet wręcz sposobem, którego z czystym sumieniem nie dałoby się nazwać uczciwym.

## UCIECZKA

Słynna swojego czasu na świat cały ucieczka Casanovy z weneckiego więzienia zajmuje w jego pamiętnikach miejsca sporo. Da o niej wystarczające wyobrażenie relacja streszczona. Ujęcie Casanovy przez samego *messer-grande* na czele czterdziestu żołdaków, a z rozkazu Wysokiego Trybunału Św. Inkwizycji, nastąpiło w nocy z dnia 25 na 26 lipca 1755 roku. Aresztowano go we własnym jego mieszkaniu, gdzie dokonano skrupulatnej rewizji; zabrano mu wszystkie książki i rękopisy.

Co było powodem zastosowania tak ostrych środków względem Casanovy? Jak się już napomknęło, podejrzany był o konszachty polityczne z am-

<sup>203</sup> *Krezus* (595–546 p.n.e.) — król Lidii słynący ze swojego wielkiego bogactwa; jego imię jest obecnie synonimem bogacza. [przypis edytorski]

basadorami obcych potencji<sup>204</sup> rezydującymi w Wenecji, o praktyki czarno-księskie, o należenie do masonów, o szerzenie ateizmu, o zakłócanie spokoju i porządku publicznego, o prowadzenie trybu życia nazbyt już niezgodnego z przepisami nawet wyrozumiałej moralności. Nieprzyjaciół miał sporo; denuncjacje były wówczas w Wenecji na porządku dziennym.

Internowano Casanowę w więzieniu dla przestępców politycznych — „Pod ołowiami”. Były to faktycznie strychy pałacu dożów, rozciągające się bezpośrednio pod krytym ołowiem dachem gmachu; stąd nazwa *I Piombi*. Dziś jeszcze zwiedzają to słynne więzienie turyści. Główną dolegliwość pobytu „Pod ołowiami”, to jest pod ołowianymi blachami, którymi kryty jest pałac dożów, stanowiło szalone — podczas letnich miesięcy — gorąco. Poza tym słynne więzienie nie różniło się niczym od najzwyczajniejszych. Cella, którą zajmował Casanova, była niska i szczupła, lecz *régime*<sup>205</sup> więzienny nie był bynajmniej „okrutny”: wolno było więźniowi sprowadzać jadło z miasta i wymieniać książki ze współwięźniami, dość często pozwalano więźniom wychodzić na krótką przechadzkę po korytarzu lub po niewchodzących właściwie w obręb więzienia ubikacjach<sup>206</sup> na poddaszu. Cella, którą zajmował Casanova, znajdowała się bezpośrednio nad salą, gdzie Rada Dziesięciu zgromadzała się na najpoufniejsze konferencje nocą, po głównym, urzędowym posiedzeniu.

Przebył Casanova w więzieniu od dnia 26 lipca 1755 r. do Wszystkich Świętych roku następnego, 1756. Uciekał w nocy z dnia 1 listopada na Dzień Zaduszny, obrawszy rozmyślnie tę właśnie porę, kiedy żadne sesje w pałacu dożów się nie odbywały, a nawet czujność straży musiała nie być osobliwie wyteżona.

Wtrąćmy nawiasem, że Św. Inkwizycja Państwowa miała w swym rozporządzeniu w ówczesnej Wenecji oprócz „Ołowiów” i tzw. „Czwartaka” jeszcze jedno więzienie, faktycznie najokropniejsze, mianowicie tzw. „Studnie” o 19 celach. Były to podziemia pałacu dożów. Wrzucano do nich przestępców skazanych na śmierć i „ułaskawionych” na więzienie dożywotnie. Były to istne groby. Wypełniała je na dwie stopy woda morska, przedostając się do cel przez okienko zakratowane wespół z resztkami światła dziennego. Więzień, unikający nieustannego moknięcia w słonej wodzie (a zimą mocno chłodnej), wlaził na rodzaj pomostu, na tapczan górujący nad wodą i na nim sypiał i jadł. Dawano mu zupę oraz wodę i chleb. Chleb trzeba było spożywać natychmiast, gdyż inaczej chwytaly go ogromne szczury morskie, plądrujące nieustannie po „Studniach”. I pomimo tych okropnych warunków, więźniowie przesiadywali w owych „Studniach” dziesiątki lat... Mocne jest i twarde życie ludzkie!

Casanova pod swymi „Ołowiami” był przeto w sytuacji o wiele pomyslniejszej niż jego towarzysze niedoli tam z antypodów, to jest z pałacowych „studzien”. Nieraz mu to też na myśl przychodziło.

\*

Wartownik Wawrzyniec, człek równie niskiej kondycji, jak poziomych<sup>207</sup> instynktów, był raczej sługą Casanovy niż stróżem. Hojnie go też więzień obdarzał z sum otrzymywanych od rządu na wikt. Wawrzyniec posprowadzał Casanovie z miasta do celi najniezbędniejsze meble i dostarczał wiktuałów, rozumie się, po cenie dalekiej od rynkowej lub restauracyjnej normy. Pomimo tych „wygód” piekielne gorąco robiło swoje. „Zalewałem się potem — pisze Casanova — do tego stopnia, iż po obu stronach fotela, na którym siadywałem zupełnie nagi, podłoga była zwilżona strumieniami mego potu”. Po

<sup>204</sup>potencja (daw., z łac.) — potęga, siła. [przypis edytorski]

<sup>205</sup>régime (fr.) — tu: rygor. [przypis edytorski]

<sup>206</sup>ubikacja (daw., z łac.) — pomieszczenie. [przypis edytorski]

<sup>207</sup>poziomy (daw.) — niski, przyziemny, pospolity. [przypis edytorski]

paru miesiącach takiego *régime*'u zapadł na dokuczliwą gorączkę. Lekarz więzienny zalecił przeniesienie chorego do sąsiedniej ubikacji, o wiele mniej wystawionej na okrutną operację słoneczną. Rychło też niezmiernie silna organizacja Casanovy przystosowała się do „warunków lokalnych”. Wyzdrowiał, a wróciwszy do celi, borykał się już tylko z nudą i robactwem. Nieznośne było też tykanie i bicie ogromnego zegara kościelnego (św. Marka), rozlegające się nieustannie „Pod ołowiami”, lecz i do tego przyzwyczaił się powoli Casanova. Przeżył też w celi więziennej trzęsienie ziemi, które, tylko zawadziwszy o Wenecję, zburzyło wówczas niemal całą Lizbonę.

Od pierwszej zaś chwili pozostania sam na sam z refleksjami więziennymi przemyślał o ucieczce.

Sprawę skomplikowało danie Casanovie współlokatora. Ów *socius doloris*<sup>208</sup> był to młody stangret, w którym za bardzo gustowała ognistego temperamentu sama jaśnie oświecona hrabianka. Gdy romans wyszedł na jaw dzięki stanowi, w jakim się znalazła, surowy rodzic jej, hrabia, oddał „zuchwałego” stangreta w ręce Św. Inkwizycji, która go wzięła pod klucz. Nie było to w ścisłym rozumieniu przestępstwo „polityczne”, lecz widocznie nie chciano sobie łamać głowy nad tą kwestią formalną i młodzieńca, bardzo zacnego, potulnego i rozkochanego, godnego niewątpliwie lepszego losu, rzucono między więźniów stanu. Bywało tak nie tylko w Wenecji... Ową ofiarę zbyt daleko zaszłych zapalów miłosnych rychło Casanovie odjęto i przeniesiono do tzw. „Czwartaka”. Tam nieszczęsny Maggiorino przebył lat pięć, po czym przetranslokowano go do Cerigo, na lat dziesięć, jak informuje Casanova, który się młodzieńcem szczerze interesował.

Używając przechadzki poza swoją celą, po rodzaju lamusa, gdzie zrzucano bezładnie najrozmaitsze rozmaitości „niepotrzebne”, spostrzegł Casanova walającą się tafelkę marmurową i zabrawszy ją do celi, ukrył między bielizną. Innego dnia znalazł rygiel, stary, zardzewiały, żelazny, walający się rygiel. Zabral go też do celi i przekonał się ku niemałej swej radości, że tafelką marmurową da się powoli, lecz najwyborniej, jakby osełką, wytoczyć i zaostrzyć to marne na pozór żelastwo. Nigdzie się tak czas nie dłuży, jak w więzieniu... Casanova ani się spostrzegł, jak operując zręcznie a wytrwale swoją tafelką i swym ryglem, doszedł do posiadania narzędzia, mającego w danych okolicznościach wartość wprost bezcenną. Wytoczyłem sobie — pisze — coś w rodzaju ośmiokątnej sztylety o wystarczającej długości. Ostry był, mocny, długi. Postanowiłem zrobić nim otwór w posadzce mej celi, pod łóżkiem, torując sobie w ten sposób ucieczkę.

Zanim jednak Casanova mógł przystąpić do dzieła, uruczono go nowym towarzyszem. Tym razem był to po prostu oszust, najordynarniejszy złodziej. Na szczęście opamiętano się dość rychło, że nic z „politycznymi” nie może mieć wspólnego i Casanova znowu został sam. Niezwłocznie zajął się odwróceniem od swej celi wszelkiego sprzątnia. W tym celu rozciął sobie palec i krwią zbryzgał chustkę. W nad wyraz tępego Wawrzyńca nietrudno było wmówić, że oto są skutki podnoszenia tumanów kurzu! Krwotok płucny! Przestraszony Wawrzyńiec dał raz na zawsze spokój sprzątniu. Nastaly miesiące zimowe, a z nimi 19 godzin na dobę zupełnej ciemności. Casanova sporządza sobie kagańczyk i pali oliwą, którą mu Wawrzyńiec przynosi do sałaty. I pracuje gorliwie, po sześć godzin z rzędu, rozłupując na drzazgi dyle podłogi, podważając płyty, rozkruszając skamieniałe wapno... Drzazgi i wszelkie ułamki zgarnia do chustki i wychodząc na zwykłą przechadzkę, wynosi do lamusa. Najcięższa była sprawa z przebicciem warstwy cementu, zmieszanego z drobno tłuczonym marmurkiem (*terrazzo marmorino*). Lecz i temu podołał zaimprovizowany instrument, oddający Casanovie znakomite usługi.

Oczywiście nie obeszło się bez popłochów i zawisań całej imprezy na włosku. Najgorsze było uruczanie Casanovy raz po razu współtowarzyszem więziennym, co oczywiście przerywało robotę. Tak np. popasał w celi Casanovy przez dwa blisko miesiące niejaki Gabriel Schalon, Żyd, uprawiający zawodowo lichwę oraz deprawowanie tzw. „złotych młodzieńców”. Znowu nie „polityczny”... lecz widocznie w Wenecji dożów więcej było miejsca w więzieniach dla przestępców „stanu” niż dla ordynarnych opryszków, tedy choć prowizorycznie sadzano tych ostatnich tam, gdzie nie dla nich było miejsce. Nareszcie jednak trafił „Pod ołowiem” ktoś mający po temu niezaprzeczone kwalifikacje. Pięknego poranku zalokowano w celi Casanovy hrabiego Fenarolo, niezmiernie zamożnego wiel-

<sup>208</sup>*socius doloris* (łac.) — towarzysz cierpienia. [przypis edytorski]

koświatowca, ofiarę intryg wiedeńskich, o których długo by rozpowiadać. Wiedząc, z kim ma do czynienia, Casanova nie ukrywał się przed nim wcale, wtajemniczył go w swoją robotę i miał w nim najmilszego towarzysza niedoli przez całych osiem dni, gdyż nie dłużej trwało nieporozumienie, któremu hrabia zawdzięczał swoje uwięzienie.

Gdy brakło dla ostatecznego przebicia otworu tylko już może paru godzin pracy — nastąpiła katastrofa. W drodze łaski przeniesiono Casanovę do innej, przestronniejszej celi... Nawet z prześlicznym widokiem przez zakratowane okno, aż po Lido. Nawet z miłym, świeżym zefirem, łagodzącym przez to okno nieznosny skwar. Ale było tam Casanovie do prześlicznych widoków i orzeźwiających zefirów! „Dusza moja — pisze — zostawała tam, w tej okropnej mojej celi, z gotową, wspaniałą dziurą w podłodze pod łóżkiem”.

Oczywiście, gdy więźnia przeprowadzono do nowej rezydencji, wnet spostrzeżono starannie ukrywany otwór w podłodze. Na szczęście odkrył go sam tylko Wawrzyniec i przybiegł niezwłocznie do Casanovy, wściekły, miotający najokropniejsze wyzwiska i zrozpaczony. Rewidują Casanovę, przetrząsają pościel... nie znajdują oczywiście ani młota, ani świdra, ani siekiery, ani dłuta. Rygiel tkwi głęboko ukryty w fotelu, który przeniesiono z jednej do drugiej celi wspólnie z całą ruchomością więźnia.

Wawrzyniec w pasji najwyższej domaga się wydania mu narzędzi, którymi Casanova wywiercił otwór w podłodze. Grozi torturami. A Casanova na to:

— Jeżeli prawdą jest, że wywierciłem jakiś tam otwór w podłodze, powiem, że wy, panie Wawrzyncze, dostarczyliście mi narzędzi.

Na takie *dictum*<sup>209</sup> nie było repliki. Wawrzyniec był złowiony jak w samotrzasku. Był na łasce i niełasce Casanovy. Od tej też daty będzie Casanovie oddany jak wierny pies.

Za pośrednictwem Wawrzyńca nawiązuje Casanova regularną korespondencję z dwoma swymi sąsiadami, przebywającymi we wspólnej celi. Są to mnich, jak najlepiej urodzony, Balbi i hrabia Andrzej Asquino, człek już mocno niemłody. Wędrują z ich celi do celi Casanovy książki, a w nich najszczegółowszy plan spisku. Casanova posyła Balbiemu, będącemu w sile wieku, swój nieoceniony instrument, z rygla uczyniony. Układają się, że Balbi przebijie dwa otwory: w podłodze swej celi (to znaczy w suficie celi Casanovy) oraz w ścianie; przez otwór w podłodze dostanie się do celi Casanovy, a przez otwór w ścianie wydostaną się... na dachy pałacu dożów, wszyscy czterej, to znaczy: on, Casanova, Balbi, hrabia i Wawrzyniec, który *volens volens*<sup>210</sup> musi dzielić losy Casanovy, jeżeli nie chce pozostać na stanowisku... jako współnik zbiega.

Balbi bierze się tak dzielnie do pracy, iż w osiem dni otwór w suficie jest gotowy, lecz los przeciwny zsyła na Casanovę ponowną klęskę. Dają mu więziennego towarzysza, na szczęście kompletnego idiotę, niezmiernie pobożnego, a w dodatku przekonanego, że ciąży na nim klątwa Boża. Casanova wmawia weń, że posiada moc przywoływania na ziemię aniołów, że jeden z nich zstąpi do jego celi... przez sufit, że zdejmie z nieszczęśnika klątwę Bożą i uwolni go z więzienia! Wszystko to oczywiście komunikuje Casanova Balbiemu, jak również, że postanowił Wawrzyńca, upijającego się jak bela, zostawić na zajmowanym stanowisku, a wziąć z sobą Soradaciego (tak się nazywał towarzysz więzienny Casanovy), tym bardziej że przyrzeczone ma solennie odzyskanie wolności.

Termin ucieczki wyznaczony zostaje na dzień Wszystkich Świętych, właściwie na noc z 1 na 2 listopada. Przez Wawrzyńca Casanova dowiedział się, że inkwizytorowie w tym czasie nie będą odbywać żadnych posiedzeń, gdyż porożjeżdżali się na wieś na cały tydzień, mniej lub więcej świąteczny. Pora tedy najstosowniejsza — jedyna!

„Powiedziałem Soradaciemu — opowiada Casanova — że anioł, zstąpiwszy do naszej celi przez sufit, przyniesie nożyce. Tymi nożycami on, Soradaci, ostrzyże nam obu brodę, mnie i aniołowi...”

— Czy anioł może mieć brodę? — spytał gamoń.

Wy tłumaczyłem mu, że anioł nie może ukazywać się ludziom w swej niebiańskiej postaci, lecz bierze w takich okolicznościach na siebie postać ludzką. Ten zaś, który nam ma się ukazać, wiem dobrze, że będzie z brodą.

<sup>209</sup>*dictum* (łac.) — dobitna wypowiedź. [przypis edytorski]

<sup>210</sup>*volens volens* (łac.) — chcąc, nie chcąc. [przypis edytorski]

— Po ostrzyżeniu nam brody — rzekłem — wyjdziemy na dach pałacowy, z dachu spuścimy się na plac św. Marka i udamy się do Niemiec”.

Łatwo sobie wyobrazić minę Soradaciego na widok wypadającej z pułapu deski i spadającego do celi przez otwór w suficie — mnicha. Casanova nie dał opamiętać się Soradaciemu. W kilka chwil spadły dwie brody, a przez otwór w ścianie dostano się do starego hrabiego. Ten zrezygnował z ucieczki, nie czuł się na siłach peregrynować<sup>211</sup> po dachach, osobliwie nocą. Casanova przeto i Balbi — a przy pomocy Soradaciego, któremu trzeba było wreszcie powiedzieć prawdę i wyznać, że się go rozmyślnie wystrychnęło na dudka, lecz uszczęśliwionego, że z więzienia ucieka — Casanova tedy i Balbi, i Soradaci robią liny z prześcieradeł i sienników, pakują w zawiniątka coś nie coś z ubrań na zmianę, potem zaś w rogu lamusa przebijają otwór w suficie, podważają jedną z ołowianych blach dachu i Casanova z nieopisaną rozkoszą wytyka głowę na przepiękną, pogodną, orzeźwiająca noc księżycową. Wylazłszy na dach, ma pod sobą plac św. Marka, rojący się tłumem, używającym w noc miesięczną<sup>212</sup> ulubionej przechadzki. Nie sposób w noc tak jasną, wobec tłumów ludzi peregrynować po dachu pałacu dożów! Cienie niezwykłych „turystów” padałyby na plac i zwróciłyby oczy wszystkich na ową niepowszednią wędrówkę. Trzeba czekać, czekać zniknięcia z nieba księżycy i opróżnienia się placu.

Miedzy zejściem księżycy a wschodem słońca było bitych siedem godzin zupełnej ciemności. Zaledwie opanowała niebo i ziemię, Casanova i Balbi wyszli na dach. Soradaci w ostatniej chwili stchórzyli i wołali zostać. Pomagając sobie zaostrzonym rygłem oraz rękami, obaj zbiegowie dostali się na grzbiet dachu. Podczas pełznięcia po wystarczająco stromej pochyłości mnich wypuścił z rąk paczkę ze swymi osobistymi manatkami, a gdy usiedli okrakiem na dachu, wiatr zwał mu kapelusze...

Casanova, przykazawszy Balbiemu, aby się nie ruszał z miejsca, udaje się na zwiady, posuwając się okrakiem po grzbiecie dachu. Mowy nie ma o spuszczeniu się w stronę kanału... ani na dziedzińce pałacowe... ani na dachy i kopuły kościelne... a przede wszystkim nie ma do czego przytwierdzić powiązanych prześcieradeł. Po dłuższym rozglądaniu się po wszystkich zakątkach Casanova spostrzega poniżej dachu, pod okapem, nieduże okienko, widocznie oświetlające jakiś niezamieszkały zakamarek. A jeżeliby i było to okno jakiejś izby zamieszkiwanej przez kogoś ze służby, istniała niezbita pewność, że zbiegów więziennych nikt ze służby pałacowej nie zdradzi i nie wyda, tak inkwizytorowie byli powszechnie nienawidzeni. Tedy... do tego okienka! Lecz jak się doń dostać? Casanova, czepiając się spojeń blach, zsuwa się z grzbietu dachu na zrąb dachu, kładzie się na brzuch i z głową zwisającą nad przepaścią, jedną ręką, przy pomocy swego rygłowego instrumentu, podważa lekką kratę okienka, opiera ją o framugę, a potem, kalecząc sobie dość dotkliwie rękę, rozbija szyby. Wówczas iście nadludzkim wysiłkiem wspina się z powrotem na grzbiet dachu i znowu, posuwając się okrakiem po nim, wraca do Balbiego.

Pomagając sobie moim nieocenionym narzędziem — opowiada — według metody poprzednio już zastosowanej, wlażłem z powrotem na grzbiet dachu i dotarłem do miejsca, gdzie był zostawił mego towarzysza. Zostałem go wściekłego i zrozpaczonego. Osypał mnie gradem wyzwisk, że go tak długo zostawił samego. Zapewniał mnie, że czekał tylko świtu, aby wrócić do więzienia.

— Cóżżeś pan myślał, że się z mną stało?

— Żeś pan gdzieś runął w dół głową.

— I wymyślając mi od ostatnich, dajesz pan folgę radości, że widzisz mnie żywego i całego?

— Cóżżeś pan tam robił tak długo?

— Idź pan za mną, a zobaczysz.

Ku okienku znalazła się inna droga, nie tak karkołomna, jak ta, którą był przebył Casanova — lecz jak się do wnętrza zakamarka czy izby, czy mieszkania (oczywiście: pustego) dostać? Traf i tym razem rzecz rozstrzygnął. Znalazła się gdzieś drabina oparta o komin. Zbiegowie z nieopisanym trudem zdołali ją wpuścić z dachu w okienko tak, iż po kolei jeden za drugim dostali się do wnętrza. Z pustej tej izby wiodły ciężkie niezamknięte drzwi

<sup>211</sup> peregrynować — podróżować lub wędrować przez dłuższy czas. [przypis edytorski]

<sup>212</sup> miesięczny (daw., poet.) — księżycowy. [przypis edytorski]

do jakiejś dużej sali z ogromnym stołem w po środku, otoczonym fotelami. Ciemności egipskie nie pozwalały zorientować się, co to być może za sala. Wracają tedy Casanova i Balbi do izdebki i tam Casanova, znudzony nadludzką fatygą, pada na ziemię i zasypia kamiennym snem. Balbi może go dobudzić się z niemalym trudem dopiero około piątej godziny nad ranem. Przy świetle dziennym okazuje się, że wielka sala ze stołem w pośrodku jest jedną z ubikacji ogromnego archiwum pałacu dożów — dokąd oczywiście mało kto kiedy zaziera. Zbiegowie po kręconych schodkach schodzą do sali położonej o piętro niżej, a z niej przedostają się do znanej dobrze Casanovie kancelarii doży. Zamknięta szczelnie dokoła. O wydostaniu się przez okno na istny labirynt dziedzińców i podwórzy, otaczających kościół św. Marka, ani myśleć! Trzeba tedy zabrać się do masywnych podwoi i przebić je. Udaje się uczynić w nich dość szeroki otwór, głównie przy pomocy znalezionej w kancelarii mocnego instrumentu do dziurawienia zwojów pergaminu; wylażąc, Casanova drze sobie na strzępy odzienie i okrwawia się, jakby go ze skóry odzierano, lecz oto schody, oto drzwi niezamknięte, oto sala jeszcze jedna i... i drzwi potężne, ogromne, które by nie inaczej, jak tylko wystrzał armatni mógł wysadzić.

— Tu już kres tego, com ja mógł uczynić — powiada filozoficznie Casanova. — Teraz kolejna Pana Boga i na Fortunę. Niech dokonają reszty.

I zabiera się najspokojniej do zatamowania bandażami krwi, sączącej się obficie z formalnych ran, wdziewa zabrane ze sobą z celi więziennej odświętne szaty, doprowadza włosy do jakiegoś takiego porządku; rzuca w kąt wszystko, co z siebie zdjął, wkłada na głowę kapelusz z zamasztywym białym piórem i tak wysztafirowany wyziera oknem na wielkie podwórze pałacu dożów. Nie było, jako w dzień świąteczny, zamiataczy, lecz jeden z woźnych, spostrzegłszy natychmiast jakiegoś wielmożę wyglądającego z okna sali, struchlał. Pewny był, że przypadkiem zamknął w sali któregoś z członków jakiegoś najprześwietniejszego kolegium. Pędzi tedy, co sił starczy, na schody, dopada do drzwi sali, odmyka... a w tej chwili wypadają mu mimo nosa Casanova i Balbina na schody i zanim zacny cerber<sup>213</sup> zdołał się opamiętać, już są w galerii prowadzącej ku tak zwanym Schodom Olbrzymów, po których schodzą bez zbytniego już pośpiechu na pałacowe podwórze i mkną przez nie ku głównemu wyjściu. Już je mają za sobą... już są na Piaçecie (Piazzetta) i w gondoli.

— Szybko! Szybko! Dwóch ramiarzy... Do Fusine!

Gondola w lot odbija od brzegu — opowiada Casanova — rzucam się na poduszki, Balbi siada na ławce, bez kapelusza, w bogatym płaszczu. Ja zaś w letnim moim ubraniu, w kapeluszu wytwornym wyglądam na szarlatana lub astrologa. Zaledwieśmy minęli komorę celną i wplynęli na wody Giudecci, skąd droga prowadzi albo do Fusine, albo do Mestre, rozkazuję gondolierom płynąć... do Mestre. Oczywiście, chodziło o zmylenie ewentualnego pościgu. Gdyśmy mieli kanał za sobą, nigdy mi się on jeszcze nie wydał tak piękny, osobliwie, że jak okiem sięgnąć nie widać było ani jednej ścigającej nas łodzi. Ranek był cudny, powietrze przedziwnie świeże i czyste, gondola leciała jak ptak.

Przybyliśmy szczęśliwie do Mestre, a stamtąd na wózk w niespełna dwie godziny do Treviso. Byliśmy ocaleni! Wolni! Świat stał znowu przede mną otworem.

## W WARSZAWIE

Przez Rygę, Królewiec jechał Casanova do Warszawy z Petersburga, gdzie zestosunkowany z wieloma magnatami, bywał u dworu i niejedną miał rozmowę z imperatorem Katarzyną Drugą.

W Warszawie stanąłem kwaterą u Campioniego, prowadzącego szkołę tańca, i nie tracąc chwili, zaraz nazajutrz pośpieszyłem poroznosić listy z rekomendacjami otrzymane w Petersburgu. Pierwszą wizytę złożyłem księciu Adamowi Czartoryskiemu<sup>214</sup>. Zastałem go otoczonego co najmniej czterdziestoma osobami. Odczytawszy list, który mu doręczyłem, zaprosił mnie na kolację. Tegoż dnia byłem u paryskiego ambasadora Polski, u hrabiego Sułkowskiego, męża wielkiej nauki, dyplomaty, dającego siebie unosić

<sup>213</sup> Cerber (mit. gr.) — trzygłowy pies, pilnujący wejścia do krainy zmarłych; tu przen.: groźny strażnik. [przypis edytorski]

<sup>214</sup> Czartoryski, Adam Kazimierz (1734–1823) — książę, syn wojewody ruskiego, generał Ziem Podolskich, mąż stanu i pisarz; wielki angloman, kontrkandydat Poniatowskiego do korony polskiej. [przypis tłumacza]

szerokim planom. Bardzo się ze mnie ucieszył i mając mi wiele, jak zapowiadał, do powiedzenia, zatrzymał mnie na obiad. Spożyliśmy go sam na sam, a trwał bitych godzin cztery. Nudziłem się śmiertelnie, formalnie przez hrabiego egzaminowany, jak żak szkolny. Polityka była mu nad wszystko, przepadał za polityką. Swoją drogą, pośpieszyłem na wieczór do księcia Adama, aby gruntownie zapomnieć o elukubracjach<sup>215</sup> politycznych zawołanego dyplomaty. U księcia zastałem duże towarzystwo: byli i biskupi, i generałowie, i ministrowie, był wojewoda wileński i wreszcie sam król, któremu przez księcia byłem prezentowany. Jego Królewska Mość wypytywał mnie szczegółowo o cesarzową Katarzynę i o najwybitniejsze osoby jej dworu. Miałem szczęście służyć królowi detalami, które widocznie go zajęły. Przy kolacji posadzono mnie po prawej ręce monarchy; wciąż się do mnie zwracał; byliśmy może jedni u stołu, którzyśmy potraw nie tknęli. Król polski niewysokiego wzrostu, lecz bardzo kształtny, twarz ma pełną wyrazu; mówi płynnie i pięknie, błyskając dowcipem i niepospolitymi zwrotami. Nazajutrz książe Adam zaprowadził mnie do potężnego ruskiego wojewody<sup>216</sup>. Zastałem tego słynnego męża w otoczeniu panów w strojach narodowych, w długich butach, w krótkich spencerach (*en petits jastaucorps!*); mieli głowy i wąsy (!) zgolone. On to z bratem, wielkim kanclerzem litewskim, przyczynili się w największej mierze do osadzenia na tronie polskim Stanisława Augusta.

Nie minęło trzy miesiące, a dostawcy warszawscy zaczęli mi ze wszech stron nadsyłać swoje oferty. Trudno mi było z nich korzystać, nie mając grosza przy duszy. Los atoli łaskawy czuwał nade mną. Niejaki Schmidt, nie wiedząc dlaczego kwaterujący z łaski króla darmo na zamku, zaprosił mnie do siebie. Był król, był zawsze uprzedzająco uprzejmy biskup Krasicki<sup>217</sup>, był *l'abbe* Gigliotti i trzy, cztery jeszcze osoby, biegle jako tako w literaturze włoskiej. Król, zawsze w doskonałym humorze, gdy widział dokoła siebie liczniejszą socjetę, a znający klasyków lepiej niż jakikolwiek kiedy król na świecie, cytował i cytował zarówno poetów, jak prozaików rzymskich. Zdumiony, otwierałem szeroko oczy, osobliwie gdy król jął przytaczać teksty z rękopisów, które niechby nawet tylko istniały w wyobraźni Jego Królewskiej Mości... Nie odzywałem się wcale, a jadłem za trzech z przytoczonych wyżej racji. Rozmowa zesłała na Horacego; emulowano<sup>218</sup> w cytowaniu najrozmaitszych sentencji nieśmiertelnego poety. Wszyscy jednoznacznie aprobowali jego filozofię. Zagadnięty przez *abbé* Gigliottiego, rozwiodłem się o „Augustach”<sup>219</sup> i o ich pochlebach, a mimochodem zawadziłem o króla szwedzkiego.

— A cóż on ma wspólnego z Augustem? — podchwycił król.

— Gustaw — odparłem — jest anagramem Augusta<sup>220</sup>.

— Gdzieżeś to pan znalazł?

— W pewnym rękopisie, znajdującym się w Wolfenbüttlu<sup>221</sup>.

Król roześmiał się głośno, przypomniawszy sobie, że i on przed chwilą cytował jakieś manuskrypty z końca świata.

I spytał mnie, czy nie pamiętam jakiegoś aforyzmu Horacego, w którym by satyra ujęta była w osobliwie delikatną formę. Nie namyślając się, zacytowałem: „*Coram rege sua de paupertate tacentes plus quam poscentes ferent*”<sup>222</sup>.

<sup>215</sup>elukubracja — lichej utwór literacki, tekst pisany lub mówiony wypracowany mozolnie przez osobę pozbawioną talentu. [przypis edytorski]

<sup>216</sup>Czartoryski, August Aleksander (1697–1782) — książę, wojewoda ruski, ożeniony z ostatnią z Sieniawskich primo voto Denkofową, najbogatszą w kraju dziedziczką, główny filar tzw. Familii, rezydujący kolejno w Wilanowie, Puławach, Sieniawie i Brzeżanach. [przypis tłumacza]

<sup>217</sup>Krasicki, Ignacy (1735–1801) — poeta, prozaik, komediopisarz i publicysta, przedstawiciel oświecenia, od 1766 biskup warmiński. [przypis edytorski]

<sup>218</sup>emulować (daw., z łac.) — rywalizować, współzawodniczyć. [przypis edytorski]

<sup>219</sup>August a. Oktawian August, właśc. Gaius Iulius Caesar Octavianus (63 p.n.e.–14 n.e.) — pierwszy cesarz rzymski; po okresie wojen domowych zapoczątkował epokę pokoju wewnętrznego i dobrobytu, zreformował armię i finanse, patronował rozbudowie i upiększaniu Rzymu, był opiekunem literatury. [przypis edytorski]

<sup>220</sup>Gustaw jest anagramem Augusta — w dawnej pisowni łacińskiej, w której głoski „w” i „u” są zapisywane tą samą literą: v. [przypis edytorski]

<sup>221</sup>Wolfenbüttel — miasto niemieckie w Saksonii, w pobliżu Brunszwiku, dawna siedziba książąt Księstwa Brunszwiku-Wolfenbüttel; siedziba założonej w 1572 Biblioteki Księcia Augusta, pod koniec XVII w. jednego z najobszerniejszych księgozbiorów epoki. [przypis edytorski]

<sup>222</sup>Coram rege sua de paupertate tacentes plus quam poscentes ferent (łac.) — Horacy, *Listy*, ks. I, *List XVII*, w. 43–44. [przypis edytorski]

— Prawda! — rzekł uśmiechając się król, a pani Schmidt poprosiła biskupa o przekład, czemu on chętnie zadość uczynił: „Ukrywający ubóstwo swoje przed królem więcej od niego otrzymuje niż ten, który prosi o wsparcie”. Zaczyna niewiasta zauważać, iż w tej sentencji żadnej satyry dopatrzeć się nie może. Obawiałem się odezwać, sądząc, że i tak już powiedział za wiele. Sam król zwrócił rozmowę na inny temat, na Ariosta, wyrażając życzenie, abym wspólnie z nim go kiedy czytał.

W kilka dni potem znalazłem się na drodze, którą szedł król. Podał mi rękę do pocałowania i wsunął mi zwitek papieru. Było w nim 200 dukatów, którymi pospieszyłem spłacić długi. Od tej daty nie opuściłem żadnego „wstawania” królewskiego, asystując pilnie przy układaniu koafiury Jego Królewskiej Mości. Król znał dobrze język włoski, nie mógł tylko mówić po włosku. Ilekroć przypominę sobie wysokie i tak mnogie przymioty tego niepospolitego monarchy, pojąć nie mogę, jak mógł popełnić tyle błędów, z których bynajmniej nie było najmniejszym to, iż przeżył własną ojczyznę.

W przejeździe z Wiednia do Petersburga odwiedziła mnie w Warszawie słynna Binetti<sup>223</sup> wraz z mężem swoim, też znakomitym tancerzem. Nazwisko jego było Picq. Król w rozmowie ze mną wyraził życzenie zatrzymania jej w Warszawie na osiem dni, honorując tysiącem dukatów. Pośpieszyłem donieść o tym artystce, która atoli nie chciała mi wierzyć. Dopiero uwierzyła księciu Poniatowskiemu — a we trzy dni Picq postawił na nogi cały balet. Tomatis wziął na siebie dekoracje, kostiumy i orkiestrę. Przybysze tak się podobali Warszawie, iż zaangażowano ich na cały rok, z czego Catai była mocno niezadowolona. Binetti nie tylko ją zaćmiła, lecz odbiła jej kochanka. Niebawem prowadzić ją do domu, postawiony stopę na najwykwintniejszą, i zaroilo się dokoła niej od adoratorów, wśród których figurował i hr. Moszczyński, i kanclerz wielki koronny Branicki<sup>224</sup>, poufały króla.

Publiczność baletowa rozdzieliła się: na obóz panny Catai i na binettistów. Rzecz prosta, ja byłem w obozie Binetti, lecz nie mogłem tego okazywać ze względu na przyjaźń łączącą mnie z Czartoryskimi, protegującymi tancerkę warszawską. Księżę Lubomirski był jej kochankiem i oczywiście nie myślałem zrywać łączących mnie z nim stosunków z racji współzawodnictwa jakichś tam baletnic. Uprzywilejowany kochanek panny Binetti, Ksawery Branicki, liczył wówczas lat 32 zaledwie; służył we Francji i wracał z Berlina, gdzie posłował przy dworze Fryderyka Wielkiego<sup>225</sup>. Binetti podjudzała Branickiego na Tomatisa, skarżąc się, że ją szykanuje. Branicki przyrzekł, że Tomatis będzie miał za swoje. Czekał tylko na okazję, którą wybrał wcale osobliwą.

Dnia 20 lutego jest Branicki na operze i zjawia się nagle i niespodziewanie w łożu panny Catai. Ona sama i będący w łożu Tomatis przekonani są, że szambelan<sup>226</sup> zerwał z Binetti. Jakoż, wychodząc, podaje ramię artystce. Tomatis idzie za nimi. Branicki siada z Catai do powozu Tomatisa i krzyczy mu: „Siadaj waść do innego powozu!”. Temu wrywa się, że zwykł jeździć tylko we własnym powozie. Branicki woła na powóz; Tomatis zabrania podjeżdżać. W rezultacie Branicki, zmuszony wysiąść z powozu tancerza, każe swemu hajdukowi<sup>227</sup> przejechać po gębie pana dyrektora opery. Jak się rzekło, tak się stało. Biedny Tomatis, odurzony i zaskoczony zniemacka, nawet nie porwał się za szpadę. Dopadł swego powozu i odjechał. Byłem świadkiem tej sceny, wychodząc właśnie z opery.

Sprawa wnet się rozgłosiła i Tomatis nie śmiał nikomu oczu pokazać. Zwrócił się ze skargą do króla, lecz cóż miał król począć? Branicki tłumaczył się, że tylko replikował na wyrządzoną mu obrazę. Binetti była w siódmym niebie. Co do mnie, byłem na Branickiego oburzony. Nikt go zresztą w kraju nie lubił, jako całkowicie oddanego Rosji. Król obdarzał go przyjaźnią ze względów natury politycznej. Intrygować przeciwko Branickiemu nie chciałem, gdyż właśnie zabiegałem o względy Jego Królewskiej Mości, mając

<sup>223</sup> Binetti, Anna (ok. 1738–po 1786) — znana włoska tancerka baletowa i kurtyzana; w latach 1765–1777 partnerka sceniczna i życiowa francuskiego tancerza i baletmistrza Charles’a Le Picqa (1745–1806). [przypis edytorski]

<sup>224</sup> Branicki, Franciszek Ksawery (ok. 1730–1819) — późniejszy hetman wielki koronny i głośny regimentarz Targowicy. Wówczas, w 1756 roku był tylko marszałkiem koronnym. [przypis tłumacza]

<sup>225</sup> Fryderyk II Wielki (1712–1786) — król Prus z dynastii Hohenzollernów, panował w latach 1740–1786, stał się twórcą potęgi państwa pruskiego. [przypis edytorski]

<sup>226</sup> szambelan — Casanova tytułuje wciąż Branickiego *grand chambellan dela conronno*. [przypis tłumacza]

<sup>227</sup> hajduk (z węg.) — służący ubrany na wzór piechoty węgierskiej. [przypis edytorski]



nadzieję zostać sekretarzem króla. Uroczyście obchodzono u dworu dzień św. Kazimierza. W teatrze miano dawać po raz pierwszy jakąś sztukę polską. Nie rozumiejąc języka, nie miałem wielkiej ochoty siedzieć w teatrze jak na niemieckim kazaniu. Lecz król wyraźnie i po dwakroć kazał mi iść. Poszedłem. Sztuki słuchałem z łoża królewskiej, a gdy król opuścił salę, zaraz po pierwszym balecie, wyszedłem i ja — za kulisy, powinszować sukcesu pięknej Casacci, piemontczance, która się była istotnie bardzo podobała Jego Królewskiej Mości. Po drodze zjrzałem do łoża Binetti. Był tam Branicki. Przywitaliśmy się ceremonialnie i ja podążyłem do Casacci, która zaczęła zaraz czynić mi wymówki, że teraz dopiero po raz pierwszy przychodzę do niej za kulisy, co było świętą prawdą. Gdy tak rozmawialiśmy, wchodzi Branicki. Było rzeczą aż nadto widoczną, że szedł za mną, szukając zwady. Wchodzi — w towarzystwie niejakiego Binińskiego, oficera regimentu, którego Branicki był szefem — i powiada prawie z punktu:

— Przyznajcie, panie Casanova, że nie w porę przychodzę. Pan kocha się w tej damie, jak widać?

— Czyliż nie jest nad wyraz miła, panie hrabio?

— Do tego stopnia, że ja jestem nią bardzo a bardzo zajęty i że nie zniosę, aby ktokolwiek był moim rywalem.

— O! W takim razie chętnie odstąpię placu panu hrabiemu.

Branicki podniósł głowę do góry, mierząc mnie wzrokiem:

— Pan ostrożny, panie Casanova. Owóż, pan mi odstępuje?...

— Bez zwłoki, panie hrabio! Któż by śmiał współzawodniczyć z takim dostojnikiem jak Wasza Ekscelencja?

Zdaje mi się, że zaigrał mi po ustach uśmiech, który się hrabiemu wielce nie podobał. Krzyknął:

— Za tchórza mam tego, który cofa się wobec lada pogróżki!

Nie mogłem pohamować zrozumiałego odruchu i dotknąłem ręką rękojeści szpady, lecz opanowawszy nerwy, wrzuciłem tylko ramionami i wyszedłem. W chwili, kiedy zamykał drzwi, doleciały do mych uszu wypowiedziane aż nadto głośno wyrazy: „Tchórz wenecki!”

Wściekłość mnie ogarnęła i krzyknąłem od progu:

— Mości hrabio Branicki! Jestem gotów każdej chwili dowieść, że „tchórz wenecki” nie boi się magnata polskiego.

Rubikon<sup>228</sup> był przekroczony. Stałem na ulicy z dobre pół godziny, czekając na Branickiego. Nie ukazał się wcale. Zziębnięty wskoczyłem do pierwszego lepszego powozu i kazałem wieźć się do pałacu wojewody ruskiego, gdzie król miał jeść kolację.

Może i dobrze się stało, że Branicki nie wyszedł. Kto wie?... może byłby mu towarzyszył Biniński i nie zawahaliby się mnie po prostu uśmiercić. Polacy pomimo pozorów ugrzecznienia i łagodności mają jeszcze w sobie sporo barbarii — Sarmatów i Scytów<sup>229</sup>. Zdają się nie rozumieć, że prawidła honoru nie pozwalają zwać się na przeciwnika choćby w dziesięciu na jednego, byle okoliczności po temu sprzyjały.

Wojewoda ruski był wyjątkowo na mnie łaskaw. Graliśmy przy jednym stole i ja wciąż przegrywałem. Tedy spytał, gdzież mam głowę, żem tak roztargniony. Odrzekłem: „O sto mil!”. A on na to z widoczną pasją: „Gdy się gra z kimś, co zasługuje na uwagę, nie wypada myśleć o Bóg wie czym”... Rzucił karty na stół i wyszedł z sali.

Krół nie przybył. Było mi to bardzo nie na rękę, gdyż chciałem z całej sprawy zdać Jego Królewskiej Mości szczegółową relację. Wszyscy też siedli do stołu powarzeni. Wojewoda ruski zdawał się mnie nie widzieć. Na szczęście o przygodzie, która mnie spotkała, zagadał książę Lubomirski, okazując mi wiele współczucia.

— Branicki był pijany — mówił do mnie — i taki człowiek jak pan nie powinien zważać na impertynencje podchmielonego szlachcica.

<sup>228</sup>Rubikon — rzeka w pln. Włoszech, w czasach republiki rzymskiej stanowiąca granicę pomiędzy leżącą na pln. Galię Przedalpejską a położoną na pld. Italią, do której wodzom rzymskim nie wolno było wkrazać z armią. Zakaz, chroniący republikę przed zamachem stanu, został złamany w r. 49 p.n.e. przez Juliusza Cezara, który przekroczył Rubikon ze swoim legionem, rozpoczynając w ten sposób wojnę domową. „Przekroczenie Rubikonu” oznacza wykonanie przełomowego kroku, którego skutków nie da się cofnąć. [przypis edytorski]

<sup>229</sup>Sarmaci i Scytowie — spokrewnione starożytne waleczne ludy koczownicze, zamieszkujące wschodnią Europę; od Sarmatów wg literatury i publicystyki polskiej XV–XIX w. wywodziła się szlachta polska. [przypis edytorski]

Rozmowę naszą słyszał wojewoda, rozchmurzył się, a gdy wstano od stołu, wziął mnie na stronę.

— Teraz, gdy wiem wszystko — rzekł łaskawie — nie dziwię się twemu, panie Casanova, roztargnieniu. Szczerze z panem współczuję; sprawa nie byle jaka.

— Wasza Książęca Mość może raczy mi rady jakiej udzielić.

Książę rozłożył ręce.

— Własnych inspiracji słuchaj, kochany panie — rzekł. — One wskażą ci najwłaściwszą drogę.

Zrozumiałem. Nazajutrz posłałem listowne wyzwanie Branickiemu, który je przyjął. A w godzinę potem — sam się u mnie zjawił! Swoich towarzyszy zostawia za moimi drzwiami, wchodzi, zasuwa rygiel, siada na łóżku (gdzie leżąc, zajęty byłem właśnie pisanie), a ja mimo woli sięgam pod poduszkę po pistolet kieszonkowy.

— Daj pan pokój — powiada. — Nie przychodzę przecie zabić pana, leżącego spokojnie w łóżku. Przychodzę, aby panu powiedzieć, że pojedynku nigdy nie odkładam do następnego dnia. Owoż bić się będziemy dziś albo nigdy.

— Niemożliwe, panie hrabio! Muszę coś zredagować dla Jego Królewskiej Mości, a kurier dziś odjeżdża.

— Napiszesz pan po rozprawie.

— A testament?

— Masz pan coś do legowania<sup>230</sup>? Nie pilno. Masz pan jeszcze z pięćdziesiąt lat przed sobą dla napisania testamentu.

— Ale po cóż koniecznie dziś?

— Dobrze sobie! Król dowie się o wszystkim i obu nas każe wziąć pod klucz.

— Toś, hrabio, mówił królowi?...

— Co się panu śni! Ale mu doniosą. Przeto dziś albo nigdy!

— Ha!... W takim razie niech będzie! Pojedynek z Waszą Ekscelencją zbyt wiele przynosi mi zaszczytu... Proszę przeto, może hrabia zechce wstąpić po mnie po obiedzie.

— Chciałem zabrać pana teraz już.

— A ja chciałem wpierw coś przekąsić dla nabrania sił.

— Patrzcie! Ja pojedynkuję się zazwyczaj na czczo. Lecz po coś mi pan przysłał miarę swej szpady? Będziemy się strzelali. Z człowiekiem nieznanym tylko się strzelam.

— Żaden ja „nieznany”. Dziesięć najpoważniejszych osób w Warszawie zaświadczy, że nie jestem jakąś tam bandycką hetką pętelką. Będę się rąbał, mam do tego prawo, a zresztą pan, panie hrabio, przyjąłeś z góry wszelkie moje warunki.

— Słusznie. Lecz i waść, panie Casanova, jesteś zbyt dobrze wychowany, aby nie przyjąć pistoletowej rozprawy, jeśli ci ją proponuję. A zresztą... jeśli chybimy oba, to weźmiemy się potem do szabel, aż do której krwi pan zechcesz.

— Zgoda. Do pierwszej krwi wystarczy. Tuszę<sup>231</sup>, że hrabia obierze miejsce tak bezpieczne, abyśmy z żadnymi władzami nie mieli najmniejszych ambarasów<sup>232</sup>.

— Rozumie się! Uściskaj mnie pan teraz, boś, jak widzę, człek honoru i męznego serca. Sza! Nikomu ani słowa. I do zobaczenia się o trzeciej!

Gdy wyszedł, skończyłem pisać, oddałem skrypt w kopercie Campioniemu, przykazując, aby doręczył królowi, i spożyliśmy obiad co się zowie doskonały, nie szczędząc wybornego wina, którego na stole były cztery gatunki. Byłem syty, a głowę miałem lekką i swobodną, jakbym nie tknął kielicha.

Punktualnie o trzeciej zajechał Branicki. Powóz był sześciokonny, dwóch ordynansów prowadziło w ręką dwa konie okulbaczone; towarzyszyli hrabiemu adiutanci oraz jakiś generał w paradnym mundurze — jego sekundant. Usiadłem w powozie obok Branickiego. Zwrócił moją uwagę, że może chciałbym wziąć z sobą kogokolwiek ze służby. Odrzekłem, że moja „liberia” zbyt by mizernie wyglądała przy hrabiowskiej świcie i że przeto, o ile bym potrzebował jakiej usługi, zdaję się całkowicie na jego troskliwość i opiekę. Za całą odpowiedź ścisnął mi energicznie dłoń. Ruszyliśmy. Widocznie miejsce było z góry wskazane przez hrabię, gdyż nie dał ani znaku, ani rozkazu. Oczywiście, że nie pytał, dokąd jedziemy. Jechaliśmy w milczeniu dobry kwadrans. Powóz zatrzymał się u bramy

Pojedynek

Pojedynek

<sup>230</sup>legować (daw.) — zapisywać w testamencie. [przypis edytorski]

<sup>231</sup>tuszyć (daw.) — spodziewać się, mieć nadzieję. [przypis edytorski]

<sup>232</sup>ambaras (daw.) — kłopot, przykrość. [przypis edytorski]

jakiegoś parku. Poszliśmy w głąb ku altanie o kamiennych ławach, ze stołem, również kamiennym, pośrodku. Któryś z subalternów<sup>233</sup> hrabiego, drab w mundurze huzarskim, przyniósł parę pistoletów, nabił i położył skrzyżowane na stole.

— Wybieraj pan! — rzekł Branicki.

W tym momencie zainterweniował generał.

— Co? — zawołał. — Tu chcecie się bić? Tu? Ależ na litość Boską, toć przecie jesteście jeszcze w granicach starostwa.

Zaczęła się żywa alterkacja<sup>234</sup>. Generał za nic w świecie nie chciał być świadkiem pojedynku. Chciał odjeżdżać, wzburzony cały. Na propozycję oddania całej sprawy do rozstrzygnięcia królowi wyraziłem mu zgodę, pod warunkiem, że hrabia przyzna, iż żałuje, że mnie obraził bez słusznego powodu. Na to Branicki krzyknął: „Przybyłem tu się bić, nie akomodować<sup>235</sup>!” i powtórzył, wskazując na pistolety: „Wybieraj pan!”

Odsłoniliśmy obaj piersi i stanęliśmy naprzeciw siebie. Szerokość altany nie pozwalała na większy odstęp jak na najwyższej dwanaście kroków. Branicki mierzył przez kilka sekund; nie poczytując sobie za obowiązek czekać, aż dobrze się przyceli, strzeliłem. Oba strzały padły jednocześnie; świadkowie utrzymywali, iż usłyszeli jeden huk. Branicki zachwiał się i padł. Rzuciłem się ku niemu. Jego służba skoczyła na mnie zdobytymi szablami. Byłaby mnie zarąbała, jeśliby ich pan i władca nie krzyknął z ziemi: „Stójcie, kanalie! Nazad! Wara mi od pana de Seingalt!” Cofnęli się jak piorunem rażeni i mogłem podnieść mego adwersarza prawą ręką, sam będąc w lewą raniony. Zaniesiono Branickiego do oberży, oddalonej o paręset kroków od parku. Iść nie mógł; co chwila ku mnie spoglądał, orientując się, skąd krew mam na spodniach. W oberży położono go na materacach, lekarz opatrzył ranę. Branicki uznał ją za śmiertelną. W rzeczy samej lekka nie była. Kula przebiła bok na wylot. Trudno było przypuścić, aby wnętrzności nie były obrażone. Rzekł mi też natychmiast Branicki:

— Zabijeś mnie pan. Unoś głowę, póki cała. Oto moja wstęga Orła Białego, oto moja sakiewka. I jedna, i druga przydać się panu mogą.

Gorąco podziękowałem, alem pieniędzy nie przyjął. Nie skrywałem bólesci, którą mi sprawia nieszczęsny rezultat pojedynku. Uściskaliśmy się. Opuściłem oberżę — puściutką. Wszystko, co żyło, było się rozbiegło, kto po felczerów, kto po krewnych, kto po księży, kto po przyjaciół... Sam, ranny, bez broni, włókłem się po grubo zaśnieżonej drodze. Na szczęście spotkałem furmankę, która mnie odwiozła do Warszawy. Na przedmieściu spotkałem pędzących na miejsce pojedynku przyjaciół Branickiego. Nie zauważyli mnie; temu może zawdzięczam, że mnie nie rozsiekano.

W Warszawie, nie zastawszy księcia Czartoryskiego w domu, schroniłem się do klasztoru dominikanów. Posłałem natychmiast po Campioniego, po chirurga i służącego. Nadbiegli kolejno, dowiedziawszy się, co się stało, wojewoda podlaski, wojewoda wileński, wojewoda kaliski, polecając mi usilnie opiece ojców dominikanów. Przeniesiono mnie też co rychlej z celi, bardziej podobnej do więziennej niż do klasztornej, do wcale miłego apartamentu. Rana moja okazała się dolegliwsza, niż się zapowiadała. Kula, drasnąwszy mi brzuch i uderzywszy o metalowy guzik, miała jeszcze dość siły, aby mi strzaskać pierwszy palec ręki lewej i ugrząźć w dłoni. Imćpan Gendron, podobno chirurg zawołany, wyjął mi ją wcale niezręcznie, potęgując bóle i tak już wcale nieznośne.

Książę Lubomirski przyniósł mi wiadomość, że przyjaciele i adherenci<sup>236</sup> Branickiego, z istnym furiatem Binińskim na czele, poprzysięgają roznieść mnie na szablach, że stan Branickiego wciąż jeszcze budzi wielkie obawy, że odwiedzał go król, że panuje powszechne zdziwienie, iż Branicki nie trafił mnie prosto w serce, on, strzelający tak znakomicie. Kurier wojewody ruskiego przyniósł mi bilecik króla pisany do wojewody, tej treści: „Drogi wuju! Branicki umiera, niemniej o Casanovie pamiętam; proszę mu powiedzieć, że ma moją łaskę bez względu na to, co stać się może”. Zrosiłem łzami ten drogocenny list.

Nazajutrz od wczesnego ranka — jeszcze więcej wizyt. Odwiedzili mnie wszyscy, którzy z tej lub owej racji mieli coś z Branickim na pieńku, a już oczywiście przede

<sup>233</sup>subaltern (daw., z łac.) — podwładny. [przypis edytorski]

<sup>234</sup>alterkacja (daw.) — zatarg, sprzeczka. [przypis edytorski]

<sup>235</sup>akomodować się (daw.) — przystosowywać się. [przypis edytorski]

<sup>236</sup>adherent — stronnik, poplecznik. [przypis edytorski]

wszystkim jego wrogowie. Sporo było też osób... Każdy chciał mi pożyczyć pieniędzy lub dawać. Odmawiałem, co było z mej strony istnym bohaterstwem. Pięć, sześć tysięcy dukatów byłbym zgarnął z łatwością. Jedno, com przyjął od księcia Czartoryskiego, obiady codzienne dla czterech osób na cały czas mojej rekonwalescencji. Mogłem znacznie ugaszczać przyjaciół, sam jedząc nader mało.

Tymczasem stan mojej ręki zamiast poprawiać się — pogarszał. Groziła mi gangrena. Najznakomitsi chirurdzy doradzali amputację. Na szczęście nie zgodziłem się; lekarzy wyrzuciłem za drzwi i leczyłem się środkami domowymi. Dzięki temu mam do dziś dnia lewą rękę całą i zdrową. W dzień Wielkiejnocy mogłem po raz pierwszy wyjść z domu.

W kilka dni po moim pierwszym wyjściu na miasto otrzymałem wezwanie od króla, abym się stawił u dworu. Ujrawszy mnie, podał mi natychmiast rękę do ucałowania, co gdy przykląkasz na jedno kolano, skuteczniał, odezwał się do mnie, jak z góry było ukartowane:

- Skąd ta ręka u Waści na temblaku?
- Reumatyzm, Wasza Królewska Mość.
- Radzę wystrzegać się na przyszłość podobnych wypadków.

Taki był przebieg audiencji. Z zamku pojechałem prosto do Branickiego. Bardzo się interesował stanem mego zdrowia, co dzień posyłając dowiadywać się, jak się miewam. Chciałem mu też złożyć gratulacje z powodu otrzymania nowego tytułu dworskiego: wielkiego łowczego. Moje przybycie sprawiło piorunujące wrażenie wśród świty i służby hrabiego. Wybałuszono oczy, głośno dawano wyraz zdziwieniu. Poprosiłem adiutanta, aby mnie zaanonsował hrabiemu. Poszedł, podnosząc rękę do łzami zachodzących oczu.

Branicki siedział na łóżku, śmiertelnie blady. Powitał mnie skinieniem ręki. Rzekłem mu:

— Przychodzę uznać, że źle uczyniłem, nie zniósłszy drobiazgu, na który nie warto było zwracać uwagi. To, co między nami zaszło, więcej mi przysporzyło zaszczytu, niż wyrządziło obrazy. Proszę przeto, raczcie, panie hrabio, wyjaśnić sprawę wśród swoich przyjaciół, którzy nie orientując się w wysokich sentymentach pana hrabiego, sądzą, iż pan hrabia jest moim nieubłaganym wrogiem.

— Panie Casanova! — odparł. — Wrogiem moim będzie ten, kto nie będzie miał dla pana szacunku, na który w tak wysokiej mierze zasługujesz. Protekcji mojej nie potrzebujesz; zdobyłeś protekcję króla. Siadaj pan. Bądźmy przyjaciółmi. Winszuję, żeś za drzwi wyprosił chirurgów. Dobrześ im pan powiedział, że pragnęliby mnie się przypocholebić, odpilowując panu rękę. Ale po coś pan, kiedym strzelał, nie trzymał ręki za sobą!

— I dobrze się stało. Byłbyś mnie, panie hrabio, w bok ranił, może śmiertelnie.

— A pan celowałeś w głowę! — zawołała wielkiej piękności dama siedząca opodal Branickiego. — Chciałeś koniecznie mego brata zabić.

— Broń Boże!

— Sam mu pan powiedziałeś, że czaszkę mu roztrzaskasz.

— Mało się to mówi! Celowałem przeciwnie, w korpus. Łatwiej trafić.

— Widać, żeś pan strzelec zawołany — wtrącił hrabia.

— O, bardzo nietęgi. Prawie nigdy pistoletu do ręki nie biorę. Był to pierwszy w moim życiu strzał... tak niefortunny.

— A widzi pan, że miałem rację pojechać na plac na czczo. Jeślibym był po tak obfitym jak pan obiedzie, kula by niezawodnie poszarpała me kiszki, a tak się między nimi gładko prześlizgnęła.

Dowiedziałem się potem, że Branicki w dzień pojedynku spowiadał się i do komunii przystępował.

Pojechałem do marszałka Bilińskiego<sup>237</sup>, pełniącego w Królestwie Polskim urząd najwyższego sędziego. Gdy mu gorąco dziękowałem za jego względność<sup>238</sup> i pobłażliwość dla mnie, odparł dość szorstko i surowo:

— Gdyby nie osobista interwencja króla, nie zawałalibyśmy się za stosować do pana najwyraźniejszej litery prawa.

— To znaczy?

<sup>237</sup> *Bilińskiego* — Casanova pisze „Ricliński” lub tak nazwisko przeinaczył zecer, co pamiętniki składał. [przypis tłumacza]

<sup>238</sup> *względność* (daw.) — okazywanie komuś względów; życzliwość, wyrozumiałość. [przypis edytorski]

— Kary śmierci... Lecz — dodał, rozchmurzając się — sprawa zlikwidowana. Król pana ulaskawił. Nie mówmy o tym więcej. Widocznieś pan na łaskę Jego Królewskiej Mości zasłużył i szczerze mu tego wieszczę.

I zaprosił mnie bardzo kordialnie na obiad. Wojewoda ruski przyjął mnie wręcz z otwartymi ramionami. Zaproponował mi mieszkanie w swoim pałacu. Czekając na jego wyporządzenie, miałem pojechać do Kijowa, czyniąc zadość nader dla mnie pochlebnym zaproszeniom. Przez cały tydzień ugaszczano mnie: kto obiadem, kto kolacją. Wszędzie rozpytywano o najdrobniejsze szczegóły pojedynku. Opowiadałem... nawet, bywało, w przytomności króla, udającego, że nic nie słyszy.

Casanova jedzie do Kijowa, której to atoli podróży nie znajdujemy opisu w jego pamiętnikach. Wraca do Warszawy i zastaje tam całkiem względem niego odmienione ludzi sentymenty. Najlepsi przyjaciele zdają się go formalnie unikać. Nikt go do siebie nie zaprasza. Sam wojewoda ruski za ledwie odpowiada na ukłon. Cóż się stało? Okazuje się, że do Warszawy nadpływały z zagranicy nader niepochlebne wieści o imćpanu Casanovie de Seingalt. Tak mu przynajmniej powiedział, nie owijając niczego w bawełnę, Sułkowski. Były oczywiście w tych wieściach i rzeczy prawdziwe, i oszczercze pogłoski... Lecz któż by tam jedno od drugich odróżniał — w Warszawie! Do króla doszły i było rzeczą ryzykowną pokazać się u dworu. Sułkowski doradzał: opuścić co najrychlej Warszawę. Rada była dobra, lecz absolutne pustki w kieszeni uniemożliwiały na razie zastosowanie się do tej najlepszej rady. Píše tedy Casanova do Wenecji o monetę i siedzi w Warszawie. Oto jednak incydent, który przyspieszył jego wyjazd ze stolicy Polski.

\*

Pewnego pięknego poranku zjawił się u mnie ów generał, który sekundował Branic kiemu w pojedynku. Przychodził w imieniu króla z wyraźnym rozkazem Jego Królewskiej Mości, abym w ciągu ośmiu dni opuścił Warszawę. Zachnąłem się, zawołałem, że to wio lencja<sup>239</sup>, że nie usłucham, że mogą mnie tylko wywieźć z Warszawy, że na świat cały będę protestował...

Król, Pieniądz

— Co pan sobie myśli — rzekł spokojnie generał — nic a nic mnie nie obchodzi. Polecono mi wyłącznie zakomunikować panu rozkaz Jego Królewskiej Mości. Uczyni pan, co będzie uważał za odpowiednie.

Napisałem natychmiast długi list do króla. Wyznałem mu, że honor nie pozwala mi opuścić Warszawy, ponieważ zadłużyłem się i nie mam czym moich długów popłacić. Hrabia Moszczyński podjął się doręczyć mój list królowi. Nazajutrz zakomunikował mi ustnie, iż król nie wiedział o moich ambarasach natury finansowej i wręczył mi tysiąc dukatów, dar Jego Królewskiej Mości. I dodał: „Jeżeli Jego Królewska Mość nastaje, abys pan wyjeżdżał co rychlej z Warszawy, to ma jedynie na względzie pańskie własne dobro. Król pragnąłby widzieć pana co rychlej w miejscu bezpiecznym, gdyż wie dobrze, iż pan niemal co dzień otrzymuje tu, w Warszawie, prowokacje, na które, rozsądnie czyniąc, nie odpowiadasz, które jednak mogą pierwiej lub później do prowadzić do konfliktu z ludź mi mającymi do pana, mniejsza, słuszną czy niesłuszną, ansę<sup>240</sup> i czyhającymi na pańską zgubę. To króla niepokoi i rad by co rychlej dowiedzieć się, że nic już panu nie grozi”.

Z uczuciem najgłębszej wdzięczności prosiłem hrabiego, aby złożył królowi moje najgorętsze podziękowania i zapewnił go, że rozkazy jego będą możliwie prędko spełnione.

We dwa dni potem długi moje były popłacone, a ja byłem w drodze do Wrocławia...

## SIOSTRZENICA PASTORA

Po raz trzeci losy zawiodły mnie do Genewy. Stałem w „Les Ballances”, gdzie dano mi wyjątkowo dobrą kwatere. Zbliżyłem się do okna — patrzę — napis na szybie, skreślony brylantem pierścionka!... „Zapomnisz o Henriecie”... Tak, to on, ów napis! Wycięła go

<sup>239</sup>wiolencja (z łac.) — przemoc, gwałt. [przypis edytorski]

<sup>240</sup>ansa — uraza. [przypis edytorski]

na szybie Henrieta, przed laty, żegnając się ze mną tu, w tym pokoju, przed odjazdem do Francji na zawsze<sup>241</sup>. Rzuciłem się na fotel i pogrążyłem w dumaniach. Gdzieżeś ty teraz, Henrieto, co się z tobą dzieje? O! Jakżem nie wart był ciebie wówczas — i dziś nawet tym bardziej nie jestem. Dziś już nawet nie ma we mnie dawnej mocy uczuć. Chyba mi ją wróci wspomnienie o tobie, Henrieto! Czulem nieopisaną pustkę dokoła siebie i w sobie. Zerwałbym się, zda się, i pognał szukać Henriety, jeśli by jej wyraźny zakaz mnie nie powstrzymywał.

Otrząsłszy się po pewnym czasie z przygnębiającej melancholii, powlokłem się odszukać pewnego sędziego, z którym łączyły mnie podczas ostatniego pobytu w Genewie stosunki wcale bliskie. Sędzia miał aż trzy niepospolicie urodziwe przyjaciółki, do których zalecałem się ku wielkiej ucieście sędziego. Innej już, niestety, zażywać nie był w stanie. Nie zwlekając, poszliśmy odwiedzić piękne panie. Po drodze spotkaliśmy pastora, z którym też się przyjaźniłem podczas mojej ostatniej bytności w Genewie, a który miał siostrzenicę słynącą z niepospolitej biegłości... w teologii. Pastor, uszczęśliwiony ze spotkania się ze mną, zaprosił mnie do siebie na obiad. „Koniecznym jutro!” — nastawał kilkakrotnie. Przyrzekłem.

Po drodze sędzia oznajmił mi, że prawdopodobnie zastaniemy u jego przyjaciółek pewną dziewczeczkę, jeszcze wcale a wcale nieświadomioną. „Tym lepiej! — rzekłem. — Może mi się uda wtajemniczyć ją w misteria całkiem jej nieznanne”. Przyznać muszę, że mało miałem w życiu chwil tak przyjemnych, jak witanie się z niezmiernie miłymi, a jakże ślicznymi przyjaciółkami sędziego. Kochały się bez cienia zazdrości, zawiści lub chciwości. Lubiły bawić się — jednakowo. Nie miały wręcz czasu na swary i intrygi. Obecność ich nowej przyjaciółki zniewoliła nas mitygować objawy radości, zaś z dziewczeczką, spuszczającą oczka i rumieniącą się po uszy, przywitałem się zgodnie z najskrupulatniejszą przyzwoitością. Po wymianie zwykłych, konwencjonalnych frazesów między ludźmi, którzy przez dłuższy czas się nie widzieli, pozwoliliśmy sobie na lekkie dwuznaczniki, które musiały młodziutkiej Helence sporo dać do myślenia. Zwracając się wprost do niej, rzekłem, iż sama Wenus nie mogłaby być od niej piękniejsza i że ręczę, iż i umysł jej musi być równie niepospolity, a wolny od przesądów. „Przestrzegam — odparła skromnie — wszystkich przesądów nakazanych przez honor i religię”. Poczulem wnet, że nie jest to twierdza, którą można zdobyć śmiałym natarciem, że trzeba iść do celu i powoli i ostrożnie. Dziewczka podobała mi się jak mało która... Zakochałem się w niej na zabój.

Gdy wymieniono jej moje nazwisko, spytała, czy to ja przed dwoma laty prowadziłem tak interesujące dyskusje teologiczne z jej kuzynką, siostrzenicą pastora? Potwierdziłem, nadmieniając, że jutro proszony jestem do pastora na obiad. „Może i ja tam przyjdę — rzekła — gdyż pasjami lubię dysputy filozoficzne, choć oczywiście sama nie mogę brać w nich udziału”. Spostrzegłem, że sędzia jest zachwycony Helenką. Nie mógł się jej dość nachwalić przede mną, a i w oczy jej mówił najwyszukańsze komplementy. Helenka jednak zdawała się nie spostrzegać tych wybryków natarczywej galanterii lub nie rozumieć, dokąd zmierzają. Dla zabawienia dam dobyte mego puzderka z klejnotami. Pierścionki niezmiernie się im podobały, prosiłem przeto, aby wzięły te, które się im najbardziej podobają. Poszła za ich przykładem i Helenka, dziękując mi za wybrany pierścionek upajającym pocałunkiem. Niebawem pożegnała nas i wyszła, my zaś mogliśmy z całą swobodą powtórzyć przywitanie, bez uprzedniej ceremonialności.

Nie dziwiłem się, że sędzia zakochany jest w Helence. Była w stanie obudzić nawet płomienną namiętność. Atoli przyjaciółki nasze niewielką miały nadzieję pozyskania jej dla naszych rozrywek; utrzymywały zgodnie, iż wobec mężczyzn Helenka jest wstydliva

<sup>241</sup>Henrieta, przed laty, żegnając się ze mną... — Casanova spotkał ją był gdzieś między Rzymem a Parmą, podróżującą w kiepskim przebraniu z jakimś zacnym, lecz 60-letnim kapitanem wojsk węgierskich, w charakterze jego przyjaciółki. Casanova, uderzony zarówno jej pięknnością, jak niepospolitym wykształceniem oraz wielkoświatowym obejściem, pozyskuje jej względy i na mocy polubownego układu z kapitanem zamiast do Neapolu, dokąd zmierzał, jedzie do Parmy i tam Henrietę (mówiącą notabene tylko po francusku) kapitanowi zabiera. Jadą do Genewy: spędzają ze sobą parę cudnych miesięcy. On nie wie, kto ona; ona nawet nie pyta, kto on. Unikają ludzi; żyją tylko sam na sam. Aż oto traf zdradza tajemnicę, że Henrieta jest niezmiernie zamożną francuską damą, która pozwoliła sobie użyć rekreacji na najpełniejszej swobodzie... nawet obyczajów. Henrieta bierze słowo od Casanovy, że nigdy nawet usiłować nie będzie dowiedzieć się o niej czegoś więcej, i rozstaje się z nim. O tym niepowszednim intermezzo będzie potem Casanova często wspominał... [przypis tłumacza]

do niemożliwości. Po smacznym i obfitym traktamencie<sup>242</sup> zabawialiśmy się jak zwykle wesoło i nad wyraz przyjemnie, sędzia zaś jak zwykle tylko się przyglądał naszym ewolucjom, mając i w tym swoją uciechę. Rozstaliśmy się około północy. Zacny sędzia odprowadził mnie do domu.

Nazajutrz liczne towarzystwo zasiadło do obiadowego stołu u gościnnego pastora. Byli między innymi panowie de Harcourt i d'Himenez. Ten ostatni rzekł, iż Wolter wie o moim przybyciu do Genewy i byłby rad ze mną się zobaczyć. Odpowiedziałem głębokim ukłonem. Z radością spostrzegłem Helenkę. Widocznie była zaprzyjaźniona z córką pastora, ta zaś ostatnia była piękna, ani słowa, i apetyczna, lecz brakło jej czegoś... czegoś... co jak magnes pociąga i podsyca, i podnieca. Postanowiłem jednak pozyskać jej względy, dlatego, aby pochlebne było to, co będzie o mnie mówiła Helence.

Rozmowa była potoczna przez cały ciąg trwania obiadu, który był, nawiasem mówiąc, doskonały. Dopiero przy deserze pastor poprosił pana Himeneza, aby zadał nieco pytań jego siostrzenicy. Wiedząc o tym, że pan Himenez słynie z niepospolitej wiedzy, jałem słuchać z wyteżoną uwagą. Spytał najpierw: czy restrykcja wewnętrzna wystarcza dla usprawiedliwienia kłamstwa? Jadwiga odrzekła z wielką prostotą, że aczkolwiek kłamstwo jest nieraz niezbicie potrzebne, wszelako pozostaje zawsze kłamstwem.

— Niech mi pani wytłumaczy, jak mógł Chrystus Pan twierdzić, iż nie wie, kiedy świat się skończy?

— Tak mówił, ponieważ istotnie nie wiedział.

— W takim razie nie był Bogiem?

— Wywód opaczny. Ponieważ Bóg wszystko może, przeto mógł doskonale nie wiedzieć, jak i kiedy ma się świat skończyć.

Posypały się oklaski; pastor wstał, obszedł stół i uściskał siostrzenicę. Miałem na języku replikę, która by zwała jej sylogizm<sup>243</sup> jak domek z kart, lecz nie puściłem pary z ust, pragnąc przypodobać się prześlizgniętej teolożce. Pan de Harcourt, nagabywany o zadanie kwestii, wymówił się swoją absolutną... bezreligijnością. Wówczas Jadwiga zwróciła się do mnie. Skorzystałem z wyzwania, aby w pytania kazuistyczne<sup>244</sup> zręcznie wpleść pełne galanterii komplementy, które w nie mniejszej mierze podobały się całemu towarzystwu, jak tej, pod której adresem były wystosowane. W samej też rzeczy ta urodziwa blondyna, posiadająca niepospolity intelekt, zaczyna opanowywać moje serce...

Po obiedzie poprosiłem Helenkę, aby zniewoliła swoją kuzynkę do wybrania sobie z mego puzderka z klejnotami pierścionka. Gdym go zobaczył na ręczce Jadwigi, jałem, całując wielokrotnie tę rączkę, dziękować jej z takim zapalem, iż nie mogła już mieć żadnej wątpliwości co do ożywiających mnie uczuć.

Wieczorem, podczas kolacji, Helenka zdała swoim trzem przyjaciółkom dokładną relację o obiedzie u pastora, a wyraziła się tak subtelnie i ściśle zarazem, iż pozostawało mi tylko zachwycać się i dziwić. Na noc nie mogła zostać, natomiast wyraziła nadzieję, że uda się jej może uzyskać od matki pozwolenie na spędzenie całych dwóch dni w pewnej willi nad jeziorem, należącej do przyjaciółek. Sędzia poradził, aby prośbę Helenki osobście poparły. Matka uległa tak usilnym molestacjom i wszystkie trzy, wraz z Helenką, odjechały na wieś.

Na wsi, w obszernej willi, było miejsca dosyć dla wszystkich; i dla sędziego, i dla jego trzech przyjaciółek, i dla mnie, i dla Helenki. Toteż pierwszą noc spędziliśmy w willi nad jeziorem niezmiernie przyjemnie. Tylko sędzia był markotny. Wszelkie jego awanse<sup>245</sup> Helenka przyjmowała bez wzdragań się i wymykań, lecz z rozpaczliwą obojętnością.

— Głupia dziewczyna! — fuknął przede mną podczas rannego śniadania. — Nie mam więcej ochoty się z nią zadawać. Dzikus niemilosierny! Dziś muszę przez cały dzień być w Genewie i może wypadnie mi noc spędzić w mieście. Proszę... niech pan spróbuje dać

<sup>242</sup>traktament (z łac.) — poczęstunek. [przypis edytorski]

<sup>243</sup>sylogizm — schemat rozumowania logicznego wyprowadzający wniosek z dwóch przesłanek; tu: rozumowanie. [przypis edytorski]

<sup>244</sup>kazuistyka — drobiazgowo rozważanie szczegółowych problemów, najczęściej moralnych lub prawnych, poprzez podciąganie ich pod zasady ogólne, pot.: pokrętnie argumentowanie w celu uzasadnienia założonej z góry tezy. [przypis edytorski]

<sup>245</sup>awanse — grzeczności, szczególne względy. [przypis edytorski]

sobie radę z Helenką... Może pan będzie szczęśliwszy i mała nauczy się traktować jak należy ludzi szczerze jej przyjaznych.

Wtajemniczone w sprawę przyjaciółki natychmiast po odjeździe sędziego zorganizowały spacer po parku i lesie i urządziły wszystko tak, żem się niebawem znalazł z Helenką sam na sam. Spróbowałem sumiennie adwokatować sędziemu, lecz bezskutecznie.

— Czemu pan — przerwała — nie zaprosi kiedy na obiad pastora i mojej kuzynki? Chętnie by mnie wzięli ze sobą...

— Co za szczęśliwy pomysł! Jakże się cieszę!...

— Myślę! Będzie pan miał sposobność rozkoszować się towarzystwem mojej kuzynki.

— Oddaję jej sprawiedliwość: jest piękna i niezmiernie inteligentna, lecz proszę mi wierzyć, że cieszę się jedynie dlatego, ponieważ pani obiecuje mi jej towarzyszyć.

— A jeżeli panu nie uwierzę?

— Zasmuci mnie pani niewymownie, bo... bo kocham panią z całej duszy!

— Wolne żarty. Musiałeś pan złożyć niejedną dowód tkliwych i gorących uczuć wszystkim trzem przyjaciółkom, których mocno żałuję.

— Czemu?

— Bo żadna z nich nie może mieć najmniejszej pewności, że właśnie ją pan kocha.

Usiłowałem jej wytłumaczyć, że między miłośkami a miłością zachodzi ogromna, kolosalna różnica. Zdawała się podzielać moje zapatrywania, gdyż sama jęła mi dawać rady, jak i gdzie mam zaprosić pastora i jego siostrzenicę na obiad.

— Ale — pośpieszyła dodać — jeżeli ja mam należeć do obecnych, to proszę tak zrobić, aby pastor zaprosił i moją matkę.

— Pani matkę!

— Tak, koniecznie. Pastor kochał się w mojej matce przed dwudziestu laty i dziś jeszcze...

— Niech będzie. Gdzież mam ugościć tak przemile towarzystwo?

— Pańskim bankierem jest pan Tronchin, prawda?

— Tak jest.

— No, to niech pan poprosi, aby użył panu swojej cudnej letniej rezydencji nad jeziorem. Chętnie to uczyni, ręczę. Nie mów pan tylko nic ani sędziemu, ani moim przyjaciółkom. Sama im powiem... gdy czas będzie po temu.

— Czy pani jednak sądzi, że pani uczona kuzynka chętnie przebywa w moim towarzystwie?

— O! Bardzo nawet chętnie, o to możesz pan być spokojny.

Sędzia wrócił na noc nad jeziore. Ułożyliśmy się spać w ten sposób, że ja udałem się do pokoju najstarszej z przyjaciółek, sędzia zaś został z dwoma młodszymi. Co do Helenki, wiedząc dobrze, że nie dojdę z nią do ładu, poprzestałem na paru całusach i życzyłem jej dobrej nocy. Po drodze do swego pokoju wstąpiłem do sędziego. Zastałem go nudzącego się straszliwie wobec obu towarzyszek, pogrążonych w głębokim śnie. Popsułem mu doszczętnie humor relacją o moich niefortunnych próbach zjednania dlań względów Helenki.

— Dam chyba za wygraną... — rzekł z zupełną rezygnacją w głosie.

— Może to i będzie najrozsądniejszą rzeczą, którą sędzia możesz uczynić. Zamartwiać się dla głupiej dziewczyny, głową o mur walić nie jest dowodem rozsądku. Szczęście nie powinno nas kosztować ani za mało, ani za wiele.

Pan Tronchin zgodził się jak najuprzejmiej i najchętniej na to, abym w jego wspaniałej willi ugościł moich przyjaciół i sam się zaprosił na mój obiad. Zadysonowałem tedy obiad — a przedni! — na sześć osób.

Obiad też był od początku do końca najchlubniejszym popisem kucharza, ale ozdobą uczyt piękniejszą niż wszystkie kwiaty i kryształy była Jadwiga. Było w jej uczoności tyle niewieściego wdzięku i czaru, iż podbijała i ośniewała nawet tych, którzy się na jej wywody nie pisali wcale. A jaka w niej była lotność, bystrość, przytomność umysłu! Byłem oczarowany, zachwycony, rozplómienny. Pan Tronchin, dzielając w zupełności mój zachwyty, dziękował mi raz po raz za prawdziwą ucztę duchową, którą mu zgotowałem, za zapoznanie go z osobą tak niepospolitą, a oszołamiającą jak Jadwiga i zaprosił nas do siebie na pojutrze. Interesy niecierpiące zwłoki zniewoliły go opuścić nasze towarzystwo natychmiast po deserze. Pastor tymczasem, zajrząwszy akuratnie i do szampana, i do win



cypryjskich, i do likierów, przypomniał sobie, jak to mówią, „dziewiczy wieczór” i jął prawie tysiące duserów byleż pani swego serca, matce Helenki. *La maman*<sup>246</sup>, też rozmarzona po kilku kieliszkach, patrzyła na pastora zamglonymi oczyma. Skorzystałem z psychologicznego momentu, aby coraz bardziej roztkliwiająca się parę poprosić o pozwolenie spacerowania się po parku z obiema pannami. Pastor i *la maman* skwapliwie udzielili nam swego pozwolenia. Obie panny były w doskonałych humorach, mając też w czubku niejedną libację.

Zaledwieśmy skręcili w aleję, nasza rozmowa potoczyła się na temat różnicy między kobietą a mężczyzną, specjalnie zaś objawów podniecenia u mężczyzny i u kobiety. Pośpieszyłem udzielić Jadwidze namacalnej demonstracji, stwierdzając jednocześnie, że i ona musi czuć analogiczną sureksycytację<sup>247</sup> lokalną. Przyznała, iż w samej rzeczy ją uczuwa, a czasem, nocą, do tego stopnia silną, że musi sobie ulżyć według praw natury. Młoda teolożka prowadziła tę filozoficzną rozmowę w tonie niezmiernie poważnym, jakby uniwersyteckiego wykładu, co nie przeszkadzało, aby dyskurs nasz nie rozplomie- niał policzków Helenki rumieńcami zdradzającymi, że i ona ulega opanowującemu nas nastrojowi. Doszliśmy właśnie do dużego basenu pełnego wody. Szerokie schody marmurowe jakby zapraszały do zstąpienia w odświeżające nurty. Strzeliło mi do głowy — a miałem nieco w czubie — zaproponować, aby panny choćby tylko zanurzyły nóżki w wodzie, co znakomicie spowoduje orzeźwienie, ja zaś chętnie podejmę się je i rozzuć i obuć.

— Zgoda! — rzekła Jadwiga.

— Ja też! — dorzuciła Helenka.

— No to niech panie siądą na pierwszym stopniu.

Ja zaś sam usiadłem na czwartym stopniu, tuż nad wodą, i zacząłem zdejmować im trzewiczki i pończochy, wynosząc pod niebiosa boskie kształty ich nóżek i nie zdradzając najmniejszej chęci posunięcia się wyżej ponad kolana. Weszły do wody, oczywiście podnosząc suknie, ku czemu je zresztą gorliwie zachęcałem.

— Wielkie rzeczy! — zawołała Jadwiga — alboż to mężczyźni tydek nie mają!

Helenka, wstydząc się mniej mieć odwagi niż kuzynka, poszła w jej ślady.

— Dosyć! Dosyć, uroczę najady<sup>248</sup>! — rzekłem. — Możecie się przeziębici. Wychodźcie z wody!

Jęły wycofywać się z basenu, unosząc suknie jeszcze wyżej, aby ich, broń Boże, nie zamoczyć. Mnie przypadło w udziale rozkoszne osuszanie nóżek wszystkimi chustkami, jakieśmy mieli przy sobie. Nie potrzebuję chyba zapewniać łaskawego czytelnika, że nie omieszkałem skorzystać z tylokrotnie nasuwającej się przy tym sposobności i zajrzenia i dotknięcia tam, gdzie zajrzeć można było i dotknąć — przypadkiem. Uroczą kuzynka utrzymywała, że jestem stanowczo nazbyt ciekawy, lecz Helenka pozwalała mi hołdować tej ciekawości z taką słodyczą i względnością, iż musiałem z całej siły się powstrzymywać, aby nie pójść dalej. Gdy je obułem, oświadczyłem, iż oglądałem najtajniejsze wdzięki dwóch najpiękniejszych kobiet w całej Genewie.

— Widok ten jakież, jeśli wolno spytać, uczynił na panu wrażenie?

— Nie śmiem paniom zaproponować, abyście się przekonały własnymi oczyma.

— Mamy jeszcze przed sobą z dobre dwie godziny! — rzekła nagle Helenka.

Te słowa odłoniły mi wszystkie oczekujące mnie rozkosze... Obejrzałem się dokoła. Tuż w pobliżu wznosił się pawilon, a byłem przekonany, że niezamknięty, dzięki przewidywanej uprzejmości pana Tronchin. Do tego więc pawilonu powiodłem moje towarzys- ki, nic nieodgadujące moich zamiarów... Pawilon był wewnątrz suto ozdobiony: wazami alabastrowymi, sztychami... lecz najprzedniejszą i najcenniejszą jego ozdobą była szeroka otomana, wręcz zapraszająca do wygodnego wypoczynku. Na tej otomanie, usiadłszy między obiema pannami i osypując je pieszczotami, wtajemniczyłem je dokumentnie w różnice zachodzące między mężczyzną a kobietą. Po czym, wróciwszy do przystojniej- szych póz, nie oszczędziłem sobie pocałunków. „Lecz — rzekłem — uszczęśliwiłyście mnie panie tylko połowicznie!...” Wytłumaczyłem rzecz jaśniej i pokazałem im coś, co

<sup>246</sup>*la maman* (fr.) — (ta) mama. [przypis edytorski]

<sup>247</sup>*sureksycytacja* (z fr. *surexcitation*) — nadmierne podniecenie. [przypis edytorski]

<sup>248</sup>*najady* (mit. gr.) — boginki wodne, opiekunki strumyków, jezior i źródeł. [przypis edytorski]

Erotyzm

Erotyzm

najniezbiciej zabezpiecza od skutków zbyt pełnego używania szczęścia. Teolożka oświadczyła, że weźmie rzecz pod uwagę.

Wracaliśmy do willi jak dobrzy znajomi i przyjaciele, zdecydowani wejść ze sobą w jeszcze ściślejsze i poufalsze stosunki. Zastaliśmy pastora i matkę Helenki, przechadzających się brzegiem jeziora.

We dwa dni potem ugaszczał nas mój bankier. Bankiet właściwie był na cześć Jadwigi, najpiękniejszej z pięknych, i moją, jako cudzoziemca dość zamożnego, aby wydawać, nie licząc, pieniądze na najwyszukańsze fantazje. Dwadzieścia osób zasiadło do stołu. Jadwiga brylowała. Nigdy jeszcze jej świetny umysł nie jaśniał taką elastycznością, sięgającą i przepastnych głębin, i zawrotnych wyżyn. Po obiedzie tak była otoczona składającymi jej hołdy, iż docisnąć się do niej nie mogłem. Tym gorliwiej asystowałem Helence, która mi powiedziała, że pastor i Jadwiga zapowiedzieli się na kolację do jej matki i że może już jutro będą u niej. „Jadwiga — dodała — zostanie u nas na noc i będę z nią spała w jednym pokoju. Zawsze tak jest, gdy z wujem jest u nas do późnego wieczora. Chcesz pan ją widzieć? No, to wskażę panu jutro o południu miejsce, gdzie będziesz mógł się ukryć”. Oczywiście, że przystałem na wszystko z uniesieniem.

Nazajutrz złożyłem wizytę matce Helenki, ona zaś, odprowadzając mnie do drzwi, pokazała mi zakamarek między dwoma schodami, „O siódmej — rzekła — znajdziesz pan drzwi od tego zakamarku otwarte i gdy wejdiesz, zarygluj je za sobą”. O trzy kwadranse na siódmą<sup>249</sup> siedziałem już zaryglowany w moim ukryciu. Nareszcie! Wybiła dziesiąta i w jakie pół godziny potem usłyszałem głos pastora, żegnającego się i schodzącego z wolna po schodach. Przypomniała mi się analogiczna sytuacja podczas moich przygód z siostrzenicami pani d’Orio. Ach, dużo wody upłynęło od tego czasu, ale roztropności mi nie przybyło, o nie! Przybyło mi tylko doświadczenia. Przede wszystkim życie nauczyło mnie, że dziewczęta są trudne do uwiedzenia, ponieważ braknie im kurażu; niech no jednak taka lekliwa dziewczeczka ma zaufaną przyjaciółkę, wówczas poddaje się prawie bez oporu; słabość jednej powoduje upadek drugiej. Ojcowie i matki myślą właśnie przeciwnie, że towarzystwo przyjaciółki znakomicie broni ich córki od wszelkich niepożądanych przygód. Zazwyczaj zabraniają córce pójść sam na sam z kawalerem na bal, na przechadzkę... lecz czynią chętnie ustępstwo od tej reguły, gdy córce towarzyszy jaka przyjaciółka lub koleżanka. Powtarzam: nie mają racji, albowiem gdy młodzieniec umie wziąć się do rzeczy, córka jest zgubiona. Falszywy wstyd nie pozwala im oprzeć się kategorycznie pokusie, a pierwszy krok prowadzi z matematyczną ścisłością i niezmierną szybkością do kompletnego upadku. Jeżeli przyjaciółka pozwoli uszczknąć najbłahszą nawet oznakę przychylności, wówczas, aby się z tego powodu nie rumienić, nie zazna spokoju, dopóki nie zniewoli przyjaciółki do dania jeszcze mocniejszego dowodu tkliwych uczuć, i przy pewnej tylko zręczności z męskiej strony skromnisia ani się spostrzeże, jak zajdzie tak daleko, iż powrót będzie już niemożliwy. Im skromniejsza zresztą jest dziewczeczka, tym mniej zna sposoby, którymi mężczyzna uwodzi kobietę. Urok zaznawanej przyjemności trzyma ją na manowcu i popycha wciąż dalej i dalej; nie może się oprzeć czarowi nowości, a nadarzająca się sposobność dokonywa reszty. Rzeczą jest, na przykład, najzupełniej możliwą, że doszedłbym do dobrego końca z Jadwigą nawet bez żadnej pomocy Helenki, lecz pewny jestem, że nigdy bym z Helenką nie doszedł do ładu, jeśliby mi jej kuzynka nie pozwoliła na takie poczynania z sobą, które, jak dwa razy dwa cztery, musiały mocno urażać wstydlivość i skromność młodziutkiej dziewczeczki. Żem tyle miał przygód miłosnych, nie odczuwam wyrzutów sumienia; nie chciałbym atoli, aby za wzór brane, przyczyniły się do demoralizowania płci pięknej, zasługującej w tylokrotnej mierze na hołdy i cześć, rad był bym przeto bardzo, aby powyższe uwagi i spostrzeżenia, zaczerpnięte z mnogich doświadczeń, oddały przysługę ojcom i matkom, pozyskując mi, choćby na tej drodze, ich szacunek.

Rychło po odejściu pastora trzykrotnie zapukano we drzwi mego schowania. Otworzyłem. Atlasowa rączka ujęła mnie za dłoń. Wszystkie moje zmysły drgnęły. Była to Helenka. „Idź pan za mną” — rzekła półgłosem. Nie wytrzymałem; delikatnie wciągnąłem ją do mego ukrycia, zamknąłem drzwi, wziąłem w objęcia i dałem jej poznać, co ze mną wyprawia sama tylko jej obecność. Z miłym zdziwieniem przekonałem się, że jest

<sup>249</sup>trzy kwadranse na siódmą (daw.) — kwadrans po szóstej. [przypis edytorski]

mi z całą świadomością powolna. Żachnęła się jednak po chwili i szepnęła: „Dość! Dość! Bądź pan grzeczny i idź pan za mną cichutko”. Poszedłem za nią po omacku, w zupełnej ciemności. Doszliśmy do końca jakiejś długiej galerii; weszliśmy do zupełnie ciemnego pokoju, którego drzwi zamknęły się za nami; po chwili Helenka otworzyła w głębi pokój cały oświetlony, gdzie ujrzałem Jadwigę prawie zupełnie rozebraną. Ujrzawszy mnie, zerwała się, podbiegła ku mnie i zarzuciła mi cudne ramiona na szyję, przeprasząc, że moja cierpliwość wystawiona była na tak okrutną próbę.

— Boska kobieto! Jeśli bym cię do szaleństwa nie kochał, to bym przecie i kwadransa w tym ohydny zakamarku nie wytrzymał. Rozkaż jednak, a choćby co dzień będę tam siedział bite cztery godziny i więcej. Byle ciebie mieć. Nie traćmy czasu, najdroższe przyjaciółeczki moje, i bądźmy szczęśliwi!

— Idźcie spać — odezwała się Helenka — ja się położę na kanapie.

— Za nic, kuzynko! Co mnie, to i tobie.

— Tak, nie inaczej, cudna Helenko! — pośpieszyłem wtrącić. — Kocham was obie; nie potrzebujemy wcale ceremonii, tylko marnujących drogocenny czas. Pójdźcie tu obie do mnie; ta na tę, tamta na tamtą stronę i, proszę usilnie, nie gościć światła!

Filozofując z uczoną moją teolożką na temat wstydlivosti, rozebrałem się powoli, niemal do cna. Jadwiga ze swej strony, cytując mi orzeczenie Klemensa Aleksandryjskiego<sup>250</sup>, że właśnie koszula budzi w nas uczucie wstydlivosti, wyzuła się niepostrzeżenie z ostatnich osłonek bielizny. Głośno jałem zachwycać się przedziwną pięknoscia jej kształtów — dla dodania kurażu Helence, która powoli zaczęła iść w nasze ślady; kuzynka jęła jej docinać za przesadną wstydlivosc i wyznać muszę, że te jej zachęcania i tłumaczenia wywarły na Helenkę stokroć silniejszy wpływ niż moje zachwyty nad perfekcją ciała niewieściego. I oto nareszcie ukazała się w całej pełni swych cudnych wdzięków... istna Wenus, wychodząca z morskiej toni. Nie wiedziała tylko biedaczka, co począć z rękami. Zasłaniała jedną ręką to, drugą owo, czerwieniejąc się po małej uszka, iż wszystkiego drobnymi rączkami zasłonić nie może. W nieopisany zachwyty wprawiły mnie i ta jej pełna skromności wstydlivosc, i ta walka uchodzącej wstydlivosti z opanowującym ją uczuciem rozkoszy. Jadwiga była wyższa niż Helenka, karnację miała bielszą, pierś pełniejszą; Helenka miała więcej w sobie życia, a zarazem łagodniejsze linie kształtów, pierś zaś najzupełniej Afrodyty Medycejskiej<sup>251</sup>. Powoli nabrała pewności siebie i biorąc przykład z kuzynki, zaczęła coraz śmieiej przyglądać się nam tak, jak my jej... aż wreszcie natura dopomniała się o swoje prawa. Nie myśleliśmy się jej opierać.

Rozwiodłem się na temat mego gorącego pragnienia używania raz po raz chwil tak upajających przez cały czas mego pobytu w Genewie. Wzdychając, tłumaczyły mi, że to niepodobiestwo. Może... może... za pięć, sześć dni nadarzy się sposobność zejścia się znowu razem. „Zaprosz nas pan na kolację do swojej kwatery — rzekła po namyśle Jadwiga. — Może uda się choć chwilę mieć swobodną”. Oczywiście zgodziłem się najchętniej. Noc wydała się nam niemiłosiernie krótka, aczkolwiek nie zmarnowaliśmy ani chwili. Rozstaliśmy się z żalem o świecie. Udało mi się niepostrzeżenie wymknąć się i dopaść do zajazdu „Les Ballances”, gdzie spał jak suseł do samego południa.

Po południu złożyłem wizytę pastorowi, unosząc się nad jego siostrzenicą, co go niezmiernie jednało. Na tak przygotowany grunt padło moje zaproszenie na kolację do „Les Ballances” i zostało łaskawie przyjęte. Zaprosiłem, rozumie się, Helenkę — z matką.

Wina były doskonałe. Pastor i matka Helenki lubili akuratnie pociągnąć... i pofolgowali sobie, aż miło. Rozpoczęło się nieskończone wspomnianie dawnych dobrych czasów i roztkliwianie się coraz obfitsze. Widząc to, dałem znak moim przyjaciółkom, aby przeszły do przyległego pokoju, sam zaś zająłem się ponczem. Poczestowawszy nim pastora i jego „towarzyszkę mlodości”, rzekłem, iż zaniosę ponczu obu panienkom, oglądającym w sąsiednim pokoju kopersztychy<sup>252</sup>. Tam Jadwiga mogła mnie z czystym sumieniem

<sup>250</sup>Klemens Aleksandryjski, właśc. *Titus Flavius Clemens* (ok. 150–ok. 215) — teolog wczesnochrześcijański piszący po grecku, nauczyciel Orygenesusa. [przypis edytorski]

<sup>251</sup>Afrodyta Medycejska — dziś zwykle: Wenus Medycejska, marmurowy posąg nagiej bogini Afrodyty, będący kopią brązowej rzeźby Praksytelesa *Afrodyta z Knidos*; znaleziony w Rzymie, trafił do kolekcji Medyceuszy. [przypis edytorski]

<sup>252</sup>kopersztych (daw., z niem.) — miedzioryt, rycina. [przypis edytorski]

zapewnić, że nigdy by nie wiedziała, co to jest rozkosz, jeśliby szczęśliwy wypadek nie był mnie zaznajomił z jej wujem. O godzinie drugiej po północy jeszcześmy dokazywali...

We dwa czy trzy dni potem Helenka dała mi znać, że Jadwiga znowu będzie u niej nocowała i że drzwi od ulicy zostawi otwarte. Stawiłem się punktualnie i jak za pierwszym razem zaraz po dziesiątej zażyliśmy niewysłowionego szczęścia. Przekonałem się wówczas, że nauki moje nie poszły w las i że obie moje uczennice stały się istotnymi mistrzyniami zarówno w uszczęśliwianiu, jak i w używaniu szczęścia. Była to też i ostatnia nasza czarowna noc.

Nazajutrz poszedłem pożegnać sędziego i jego przyjaciółki. Zastałem Helenę. Udała, że mój odjazd tyle ją obchodzi, co i resztę towarzystwa. Nawet dla lepszej niepoznaki w mojej obecności pozwoliła sędziemu się pocałować. Poszedłem za jej przykładem i poprosiłem ją, aby zechciała złożyć moje najserdeczniejsze pożegnania swojej kuzynce i jej wujowi, ponieważ osobiście nie będę już mógł tego uczynić.

Wczesnym rankiem wyjechałem z Genewy prosto do Lyonu.

## INTERMEZZA

*Nad Bosforem — Margrabina d'Ufré — Madrycka para*

Natychmiast po przybyciu do Konstantynopola pośpieszyłem submitować<sup>253</sup> się baszy<sup>254</sup> karamańskiemu, czyli byłemu hrabiemu de Bonneval<sup>255</sup>, awanturnikowi, co szukał szczęścia przy dworze sułtana — i je znalazł. Przyjął mnie z wyróżniającą uprzejmością. Lecz najdonioślejszym wypadkiem podczas całego mego przebywania nad Bosforem było poznanie się z Jussufem Alim.

Liczył już sześćdziesiąt; bywałem w jego domu bardzo częstym gościem; zazwyczaj prowadziliśmy długie dyskursy na tematy filozoficzne, przeważnie dotyczące religii. Aż razu jednego zgadało się nam o miłości. I wówczas to Jussuf uczynił mi następującą propozycję:

— Mam córkę — rzekł — która odziedziczy wszystko, co posiadam, a i za życia mego jeszcze mogę jej zapewnić więcej niż dobrobyt. Pięć lat temu pojąłem za żonę młodą kobietę, lecz dotąd nie mam z nią potomstwa i domniemanie mieć nie będę. Córnka moja, Zelma, ma obecnie lat piętnaście i jest niepospolicie piękna, charakter ma łagodny, dałem jej najstaranniejsze wykształcenie, mówi biegle po grecku i po włosku, gra na harfie i śpiewa, maluje, jest przy tym zawsze w doskonałym humorze. Uległa jest mi całkowicie: śmiało wyrażę się, że moja wola jest jej wolą. Nikt nigdy jej jeszcze nie oglądał, chyba z daleka. Dziewczyna ta to skarb! Otóż dałbym ci ją pod następującym warunkiem: musiałbyś cały rok przemieszkać u jednego z moich krewnych, tam nauczyć się języka tureckiego, poznać naszą religię i obyczaje. Po upływie tego roku, jeżeli zgodzisz się zostać prawym muzułmaninem, dam ci moją córkę za żonę. Otrzymasz w posagu dom z całym wewnętrznym urządzeniem oraz z niewolnikami, których życia będziesz panem, tudzież rentę, z której będziesz mógł żyć, opływając w dostatki. Nie potrzebujesz mi dawać odpowiedzi dziś, jutro lub któregośkolwiek z góry oznaczonego dnia. Dasz mi odpowiedź, kiedy będziesz czuł, żeś się zdecydował. Rzuciłem w duszę twoją ziarno, Opatrzność rzędzi, czy ma zakiełkować, czy zginąć. Znam cię i jestem święcie przekonany, iż Zelma da ci szczęście, ty zaś stać się możesz luminarzem<sup>256</sup> państwa tureckiego.

To rzekłszy, przycisnął mnie do łona i odszedł szybko, jakby nie dając mi czasu na zbyt pospieszną odpowiedź.

Nie mówiłem, rzecz prosta, nikomu o tej nadzwyczajnej propozycji, w obawie, aby czyjekolwiek zdanie nie zaważyło na mojej decyzji. Nie spieszyłem też powziąć jej. Czekalem, aż poczuję, jak wyrażał się Jussuf, wolę bożą. Spotykaliśmy się z Jussufem, rozma-

<sup>253</sup>submitować się (daw., z łac.) — pokornie, uniżenie się kłaniać. [przypis edytorski]

<sup>254</sup>pasza a. basza (z tur.) — wysoki urzędnik turecki; pan. [przypis edytorski]

<sup>255</sup>Bonneval, Claude Alexandre de (1675–1747) — francuski oficer; walczył w armii francuskiej, następnie austriackiej, ostatecznie w służbie Imperium Osmańskiego; przyjął islam i stał się znany jako Humbaradży Ahmet Pasza. [przypis edytorski]

<sup>256</sup>luminarz (z łac. *lumen*: światło) — osoba wybitna, sławna, znakomitość. [przypis edytorski]

wialiśmy, lecz unikając poruszania materii, która nas obu w jednakowej mierze zaprzętała. Wreszcie przyszedł taki moment, że daliśmy folę nurtującym nas perpleksjom<sup>257</sup>.

— To dla mnie jest rzeczą pewną — wyraziłem się — że z chwilą, kiedy powezmę postanowienie przyjąć twoją propozycję, już, szlachetny Jussufie, będziesz miał nade mną ojcowską władzę.

Wówczas Jussuf, mając oczy pełne łez rozrzewnienia, położył lewą dłoń na mej głowie, dwoma pierwszymi palcami prawej ręki dotknął mi czoła i rzekł:

— Trwaj synu mój, trwaj w takich intencjach, a nie doznasz zawodu.

Zauważyłem, iż może Zelma nie zechce mnie mieć za męża.

— Bądź o to spokojny — Jussuf na to. — Gdy z sobą rozmawiamy, patrzą najczęściej na nas i Zelma, i moja żona, i Zelmy guwernantka, i słyszą, co mówimy. Zelma cię zna, spodobałaś się jej. Powiem bez ogródek: już cię pokochała.

— Ale może nie wie, żeś mi ją za żonę przeznaczył?

— Owszem, wie dobrze.

— No to szczęście — rzekłem — że mi nie dajesz jej oglądać, gdyż byłbym na pewno ołśniony i wówczas by na mojej decyzji serce zaważyło.

Jussuf słuchał mnie z nietajoną radością, ja zaś czułem, że niech no mi się owa Zelma spodoba, to nie zawaham się zostać muzułmaninem, byle tylko ją posiąść — potem bym tego żałował. Ambicją moją było zawsze zasłynąć wśród nacji cywilizowanych, bądź na polu literatury, bądź sztuki, w ogóle odznaczyć się, dokonać jakichś czynów niepowszednich, a wzniosłych... Nie mogłem przeto zapaść w muzułmaństwo, odgradzające mnie od świata. W dodatku nie uśmiechało mi się wcale siedzieć przez cały rok w Adrianopolu<sup>258</sup>, ucząc się barbarzyńskiego języka, do którego czułem nieprzechwyconą awersję i którego bym przeto nie wyuczył się nigdy.

Pewnego dnia jedliśmy śniadanie, ja i hrabia Bonneval, u jednego ze znakomitszych konstantynopolińskich magnatów, którego zwać będę Izmailem. Dla rozrywki gości popisywała się przed nami neapolitańska pantomina, wystawiana, rozumie się, przez niewolników Izmaïla. To naprowadziło rozmowę na narodowy taniec włoski, na forlanę. Izmaïłowi okrutnie się zachciało zobaczyć ją tańczoną. Wziąłem tedy do ręki skrzypce i akompaniując samemu sobie, próbowałem dać mu wyobrażenie o forlanie. Oczywiście, demonstracja taka niewiele była warta. Natychmiast tedy posłano do pałacu ambasady weneckiej po co najprzedniejszego skrzypka, a gdy grać zaczął... o dziwo!... otwierają się drzwi i wchodzi przepyszna kobieta, o boskich kształtach, z twarzą osłoniętą szczelnie czarną maską, którą w Wenecji zowią *moretta*. Towarzystwo klaszcze, nie posiadając się z uciechy, piękna nimfa staje do forlany, ja staję naprzeciwko niej i tańczymy sześć forlan z rzędu. Partnerka moja po przedstawieniu tej serii (a wiadomo, że nie ma tańca tak fa-tygującego, jak właśnie forlana) nie okazywała najmniejszego zmęczenia, podczas gdy ja zniewolony byłem bodaj chwil kilka wypocząć. A tańczyła znakomicie: wątpię, czy w samej Wenecji znalazłaby się równa jej tancerka, właśnie dla forlany. Zawstydzony moim nie dotrzymaniem placu wątpiej niewieście, wypocząwszy chwilkę, zbliżyłem się znów do pięknej nieznanjomej, mówiąc:

— *Ancora sei, e poi basta, se non volete vedermi a morir*. Jeszcze sześć, a potem dosyć, jeżeli nie chce pani, abym skonał.

Byłaby mi niewątpliwie cośkolwiek odpowiedziała, lecz jak wiadomo, z *morettą* na twarzy nie sposób słowa wymówić. Uścisnęła mi tylko rękę, aż nadto wymownie. Zaledwieśmy skończyli tańczyć, eunuch<sup>259</sup> otworzył szeroko drzwi i moja nadzwyczajna partnerka znikła w nich jak sen. Izmaïł jał mi dziękować najgorętszymi wynurzeniami, ja dziękowałem mu nawzajem, gdyż Bogiem a prawdą, owa forlana była pierwszą przyjemnością, której zaznałem w Konstantynopolu. Spytałem go, czy niewiasta, która była przed chwilą wśród nas, jest wenejanką. Uśmiechnął się tylko tajemniczo i nic mi nie odpowiedział.

Gdyśmy wracali do domu, Bonneval rzekł mi: „Ten zacny Izmaïł nie wie, co robi! Dla popisu naraża swą opinię. Pozwolił panu tańczyć ze swoją niewolnicą... Czyż w dodat-

<sup>257</sup> *perpleksja* (daw., z lac.) — zmieszanie, zakłopotanie, niepokój. [przypis edytorski]

<sup>258</sup> *Adrianopol* — założone w starożytności miasto na Nizinie Trackiej; ob. Edirne, w europejskiej, płn-zach. części Turcji, w pobliżu granicy z Grecją i Bułgarią. [przypis edytorski]

<sup>259</sup> *eunuch* — wykastrowany mężczyzna lub chłopiec pełniący rolę strażnika haremu. [przypis edytorski]

ku nie zastanowił się, żeś pan niewiastę rozpałił? Teraz ona niechybnie będzie usiłowała wciągnąć pana w jaką intrygę; radzę, miej się na bacności!... Wszelkie intrygi tu u nas są nie bardzo bezpieczne”.

Jakoż dobrze przewidział, gdyż już we trzy, cztery dni potem zjawiała się u mnie jakaś stara niewolnica, proponując, abym od niej kupił wcale piękny, złotem wyszywany woreczek do tytoniu. Kupiłem. Podając mi go, wyraźnie mi pokazała, że w woreczku znajduje się list. Rzuciłem starej wiedźmie piasra<sup>260</sup> za fatygę. List był niezapiecztowany, bez adresu i skreślony wcale dobrą włoszczyzną. „Jeżeli — stało w liście — pragniesz pan poznać tę, z którą tańczyłeś forlanę, a która jest rodowitą wenecką...” — tu następowały dokładne wskazówki, jak i gdzie mógłbym się z nią zobaczyć — w ogrodzie. List czytałem w parku Jussufa, czekając na powrót gospodarza. W chwili, kiedym chował list do kieszeni, wyrosła przede mną jak spod ziemi jakaś stara baba i zaprezentowała mi jako „nauczycielka” Zelmy, jęła pod niebiosa wynosić swoją uczennicę. „Jaka szkoda — biadowała — że panu nie wolno jej poznać osobiście! Zakochałbyś się w jednej chwili... O! Tam, za tą zieloną żaluzją stoi ona, biedaczka, Zelmutka moja, i patrzy na nas...” Spytałem, czy mam Jussufowi powiedzieć, że mnie zagabnęła. Błagała, abym mu nie mówił. Rzeczą było aż nadto jasną, iż gotowa jest ułatwić mi widzenie się z Zelmą, bylebym choć w najłżejszej mierze na to nastawał. Zawahałem się... Nie chciałem uczynić kroku, który by mógł nie podobać się najdroższemu mojemu przyjacielowi. Nadszedł Jussuf. Wydał mi się nawet zadowolony z tego, że rozmawiam z „nauczycielką” Zelmy — niech wtrąć — z rodowitą rzymianką. Winszował mi, żem tańczył z najpiękniejszą huryską<sup>261</sup> Izmaila. Więc wiedział? Więc mówiono już o tym na mieście?

— Nic dziwnego — objaśnił mnie Jussuf. — Należy to do wielkich rzadkości. Zazwyczaj żadna z kobiet haremowych nie pokazuje się, osobliwie cudzoziemcowi. Ale Izmail robi, co chce... Wolno mu... Jest we własnym domu panem absolutnym... Zresztą, to człowiek umiejący i lubiący żyć na wielkiej stopie...

Jak polecał mi list, udałem się pod wieczór do Izmaila i nie zastawszy go w domu, poszedłem przejść się po parku. Jest akurat kiosk, jest w nim dziewczyna przyrządzająca limonadę! Mam właśnie — jak brzmiała wskazówka w liście — poprosić ją o szklanekę limonady, kiedy strażnik parku podbiega i prosi mnie, abym opuścił park, gdyż panie z haremu wyszły i przechadzając się, idą w tę stronę. Schadzka moja nie doszła do skutku. Nazajutrz otrzymałem od Izmaila zaproszenie na łowienie ryb przy świetle pełni księżycowej. Cudna to zabawa! Po ogromnym basenie pływałem samowtór<sup>262</sup>, a gdyśmy się i łowami, i niezapomnianym widokiem ubawili, Jussuf rzekł mi, iż uraczy mnie jeszcze piękniejszym. Wstąpimy do tego oto kiosku i przez okna wychodzące na basen będziemy mogli do woli napawać się widokiem pań haremowych, mających zwyczaj kąpania się podczas pełni miesiąca<sup>263</sup>. Jakoż po pewnym czasie ujrzeliśmy płynące po mocno oświetlonej wodzie trzy prześliczne gracje<sup>264</sup>; raz po raz stawały na szerokich marmurowych stopniach, wskakiwały na cembrowania, przybierając pozy to nieopisanie malownicze, to działające diabło mocno na zmysły.

Nazajutrz po tej przedziwnej uczcie... dla zachwyconych oczu, zaproszony przez Jussufa na obiad, zastałem, ku memu niemałemu zdziwieniu, siedzącą w jadalni za stołem — damę. Na mój widok szybko zakryła twarz welonem, długim aż do ziemi. U okna siedziała niewolnica, wyszywająca na krosienkach. Chcę cofnąć się, przepaszając i tłumacząc się. Dama zatrzymuje mnie, oświadczając, iż sam Jussuf, zmuszony wyjść na chwilę, polecił, aby mnie zabawiła; prosi, abym usiadł; przemawia do mnie tonem pełnym słodyczy i serdeczności. „Kto to być może? — pytam sam siebie. — Czyżby Zelma?”

— Pan nie może odgadnąć, kim jestem? — pierwsza odzywa się dama.

— W samej rzeczy...

<sup>260</sup>*piastr* — srebrna moneta bita w imperium osmańskim od 1687; początkowo odpowiadająca talarowi, wskutek szybkiej dewaluacji stała się drobną, zdawkową monetą. [przypis edytorski]

<sup>261</sup>*hurysa* — w islamie: jedna z wiecznie pięknych i młodych dziewcząt, czekających wiernych w raju muzułmańskim; przen.: piękna dziewczyna o orientalnej urodzie. [przypis edytorski]

<sup>262</sup>*samowtór* (daw.) — sam z kimś drugim (wtórym), w dwie osoby. [przypis edytorski]

<sup>263</sup>*miesiąc* (daw., poet.) — księżyc. [przypis edytorski]

<sup>264</sup>*Gracje* (mit. rzym.) — trzy boginie wdzięku, piękna i radości. [przypis edytorski]

— Otóż jestem żoną Jussufa, poślubioną mu przed pięciu laty. Urodziłam się na wyspie Scio<sup>265</sup>. Miałam trzynaście lat, gdy Jussuf wziął mnie za żonę.

Nie wychodziłem ze zdumienia, że mój przyjaciel-filozof wyemancypował się aż do zezwolenia na to, abym rozmawiał z jego żoną, i z jaką jeszcze! Wyobraźnia moja już snuła dalszy ciąg alabastrowych, poodslanianych ramion... Musiała być i na twarzy niepospolicie piękna. Nie miała na sobie zwykłego stroju Turczynek; ubrana była, jak się ubierają kobiety na wyspie Scio. Suknia odsłaniała śliczne linie nóg i zdradzała boskie kształty bioder. Nie wytrzymałem; mimo woli, odruchowo, sięgnąłem ku welonowi, aby odsłonić twarz czarującej kobiety... Była to z mej strony bezprzykładna śmiałość... Ona podniosła się i z niezmierną majestatycznością w głosie i postawie rzekła:

— Niegodny pan jesteś przyjaźni Jussufa, którego żonę śmiesz obrażać!

— Wybacz pani! — zawołałem. — Nie miałem zamiaru cię obrazić. Według obyczajów i zwyczajów ogólnoeuropejskich najpospolitszy człowiek ma prawo oglądać twarz nawet królowej.

— Lecz nie będzie zdzierał z jej twarzy welonu, którym się zasłoniła. O panie! Jussuf mnie pomści.

Rzuciłem się jej do nóg i dopiąłem tego, że się uspokoiła.

— Siadaj pan! — rzekła, sama siadając z podwiniętymi nogami.

Wzrok mój na mgnienie oka wślizgnął się w najtajniejsze ukrycia jej wdzięków, coomalże mnie nie przyprawiło o postradanie wszelkiego panowania nad sobą.

— Aleś pan rozgorzał! — wymknęło się jej.

— Święty by nie wytrzymał. Chcesz mnie upiec na wolnym ogniu.

— Uważaj pan! Mój mąż nadchodzi.

Jakoż ukazuje się Jussuf, dziękuje żonie, że mnie zabawiła podczas jego nieobecności, podaje jej ramię i odprowadza do dalszych apartamentów. Ona, przekraczając próg, podnosi zasłonę, ściska męża i jakby przypadkiem i mimo woli daje mi oglądać swój profil, iście kameowy<sup>266</sup>.

Znikła. Za chwilę wrócił Jussuf i z wesołą miną powiedział mi zaraz, że żona kazała mu zaprosić mnie na obiad, na który sama przyjdzie.

— Bardzo jest piękna? — spytałem. — Piękniejsza od Zelmy?

— Inny typ. Zofia to piękność wyniosła i dumna, Zelma natomiast miła i słodka. Gdy umrę, szczęśliwy będzie ten, co weźmie Zofię za żonę. Leguję mu ją nie jako wdowę, lecz pannę.

Gdym moją przygodę opowiedział Bonnevalowi, jął mi urągać.

— Trzeba było — mówił — skorzystać z okazji. Ona sama tego najwidoczniej chciała, i teraz będzie miała nietęgę wyobrażenie o odwadze Włochów. Ta piękna Greczynka — tłumaczył mi dalej — taka jest akurat jak wszystkie Turczynki. Byle twarz była szczerze zasłonięta!...

Do zapowiedzianego obiadu nie przyszło. Jussuf natomiast, zauważywszy podczas naszej wspólnej włóczki po bazarze, że mi się niezmiernie podobały pewne dywany i pasy, i chustki, i fajki, i że tylko stan mojej kasy nie pozwolił mi ich nabyć, kupił je wszystkie i przysłał mi w podarunku. Było tego za czterysta, a może i za pięćset piastrow. Zbierałem się do wyjazdu. Jussuf prawie mnie nie odstępował, a żegnając się ze mną, rozplakał się; moje też łzy popłynęły. Oświadczył mi, że nie utracił ani krzty szacunku i przyjaźni dla mnie przez to, że odrzucił jego propozycję. Przeciwnie, to odrzucenie nawet wzmogło jego dla mnie atencję i uczucia; nie cenilby mnie wyżej, jeśli bym został jego zięciem. Na pokład statku przed samym odpłynięciem przysłał mi jeszcze jeden hojny podarunek: przepyszna skrzynię, a w niej dwa centnary<sup>267</sup> kawy najlepszego gatunku, sto funtów<sup>268</sup>

<sup>265</sup>Scio (daw., wł.) — Chios, wyspa na Morzu Egejskim w pobliżu wybrzeży Azji Mniejszej. [przypis edytorski]

<sup>266</sup>kameowy — taki jak na *kamei*, ozdobie z kamienia szlachetnego lub półszlachetnego z wypukłą płasko-rzeźbą, często przedstawiającą profil jakiejś osoby. [przypis edytorski]

<sup>267</sup>centnar (z łac. *centum*: sto) — dawna jednostka wagi wynosząca 100 funtów, tj. ok. 50 kg. [przypis edytorski]

<sup>268</sup>funt — dawna jednostka wagi, równa ok. 0,5 kg. [przypis edytorski]

przedniego tytoniu w liściach i dwie duże flaszki z tabaką, również najdoskonalszą, wreszcie jaśminowy, przesłizny cybuch, którym sprzedał na Korfu<sup>269</sup> za sto cekinów.

\*

...Udałem się do Paryża, polegając na zręczności, wymowie i uzdolnieniu, które nie dadzą mi zginąć na bruku stolicy świata.

Jakoż poszczęściło mi się. Dotarłem aż do ministerialnych progów. Umiejętnie przywłaszczając sobie cudzy pomysł i cudzy plan, wręcz zaimponowałem finansistom, nawet najbieglejszym w swym zawodzie. Chodziło mianowicie o zorganizowanie loterii państwowej. Potrafiłem zainteresować dla tej imprezy „sfery miarodajne”; gdy zaś sprawa ruszyła z miejsca, zapewniłem faktycznemu twórcy całego planu wcale pokaźne zyski — sobie, naturalnie, największe. Z poniedziałku na wtorek stałem się osobistością, z którą rząd francuski zaczął się liczyć. Dochody moje tak podskoczyły, iż mogłem sobie pozwolić na życie wielkopańskie. Stały przede mną otworem najwyszukańsze koła towarzyskie. Mogłem zadowalać najwyszukańsze fantazje, a szczęście u kobiet, rzecz prosta, dopisywało mi jak nigdy jeszcze w życiu. Z polecenia rządu francuskiego przeprowadziłem w Holandii pewne operacje finansowe, mogące mi zapewnić obfity dobrobyt do końca życia. Cóż, kiedy niestworzony byłem do spokojnego używania darów Bożych! Ciągnęło mnie w świat; żadnych więzów nie znosiłem; strwonić kapitał było dla mnie rzeczą powszednią i jakby nałogiem. Spróbowałem odbić się na założonej przeze mnie fabryce sukna, lecz w tym wypadku szczęście mnie zawiodło; w proficje miałem tylko całe stado dziewcząt pracujących w mojej fabryce, które wszystkie po kolei przeszły przez moje ręce... Miałem przez pewien czas formalny harem. Lecz pieniądze topniały i topniały.

W owym czasie poznałem się z margrabiną d'Urfé, nieopisanie dziwną osobą, wielkoświatową damą, posiadającą całe laboratorium chemiczne. Tonęła w dziełach treści mistycznej i abstrakcyjno-naukowej, a pasją jej życia było szukanie sposobu robienia złota. Drugą niedającą jej spokoju chimera<sup>270</sup> było rzekome obcowanie z duchami. Obie te słabości zwariowanej margrabinie potrafiłem znakomicie wyzyskać dla moich osobistych celów i mego pożytku. Uwierzyła, że jestem szczerym adeptem jej wierzeń i poszukiwań, odkryła mi wszystkie swoje „tajemnice”, ja zaś ze swej strony ją inicjowałem w „kabałę”, która mi i przy tej sposobności oddała znakomite usługi. Oczywiście, niejedni już szarlatan wyzyskiwał łatwowierność i niemal niepoczytalność margrabinę, lecz zdaje mi się, że nikomu nie okazywała tak daleko idącego zaufania jak mnie.

Pewnego razu zwierzyła mi się, iż dlatego ma tak utrudnione obcowanie z duchami, ponieważ jest kobietą. Duchy — rozumowała — chętniej obcuja z mężczyznami, jako z istotami mniej doskonałymi niż kobiety. Ja — mówiła — wiem, w jaki sposób reinkarnować ją, margrabinę, to znaczy, przedzierzgnąć ją w pacholę, urodzone z filozoficznego oddania się pewnej „śmiertelnej” pewnemu „nieśmiertelnemu”... Oczywiście, mogłem spróbować leczyć notoryczne wariactwo margrabinę, lecz byłaby to akcja zgoła bezcelowa wobec jawnej nieuleczalności jej obłądki. Nie pozostawało nic innego, jak go wyzyskiwać.

Utwierdziłem ją przeto w nadziei, że uda mi się przemienić ją w mężczyznę, lecz zarazem zaleciłem szereg takich zabiegów, o których wiedziałem, że nie dadzą się wykonać. To pozwoliło mi sięgać raz po raz do kasy margrabinę, po sumy najrozmaitsze, których wysokość ode mnie tylko zależała. Wciąż łudziłem ją, że pod wpływem tych lub owych moich poczynań zamrze i odrodzi się mężczyzną! Nie czułem przy tym najlżejszych wyrzutów sumienia, że tak bezczelnie zwariowaną damę okłamywałem i wyzyskiwałem. Margrabina d'Urfé była nieskończenie bogata, a przy tym skąpa. Fortuna jej, rzucona na los spekulacji giełdowych, wzrastała w oczach... Marnowała olbrzymie sumy na realizowanie rzeczy niedających się zrealizować. Czyż przeto nie lepiej było, że ta lub owa część tych sum szła na zaspakajanie moich nie tylko potrzeb, lecz i przyjemności? Rzecz inna, jeśli bym je sobie przywłaszczal i ciulał tą drogą kapitał! Lecz w rękach mi nie został literalnie grosz jeden. Wydawałem wszystko, co do szeląga. To usprawiedliwia mnie

<sup>269</sup>Korfu — wyspa w płn. części Morza Jońskiego, w czasach Casanovy pod władzą Wenecji. [przypis edytorski]

<sup>270</sup>chimera — tu: urojenie, coś nierealnego, uluda. [przypis edytorski]



i uspokaja. Były to przecie pieniądze *przeznaczone* wierutne głupstwa; no, i poszły na głupstwa; tylko moje własne.

Kiedy moja wyżej wspomniana fabryka sukna zbankrutowała i kiedym znowu musiał tulać się z kąta w kąt po świetle, margrabina d'Urfe nigdy mi sukursu<sup>271</sup> nie odmówiła, ilekroć się do niej zwróciłem. Dawała się mistyfikować z zawsze jednakową łatwością, z czego obficie korzystałem, gdyż przez czas dłuższy jedynymi źródłami moich dochodów były gra w karty oraz usłużność moich przyjaciół.

\*

Po iście awanturniczej peregrynacji<sup>272</sup> po Europie całej postanowiłem udać się do Hiszpanii, której jeszcze nie znałem. Panowała tam niepodzielnie Święta Inkwizycja i wiedziałem, że mój tryb życia może mnie w Hiszpanii narazić na niejeden konflikt z tą surową wszechwładzą.

Przygody miłosne w Hiszpanii obracają się zazwyczaj w atmosferze niepokoju i wśród ponurych nastrojów, gdyż mają za cel uciechy niedozwolone. Z drugiej strony, jako takie, mają w sobie pewną pikantność i tajemniczość nie do pogardzenia. Hiszpan jest małego wzrostu, źle zbudowany i brzydki, natomiast Hiszpanki są urocze, miłe i pełne ognistego temperamentu. Zawsze są gotowe grać rolę w najniebezpieczniejszej nawet intrydze; okrutnie lubią wyprowadzać w pole zazdrosnych mężczyzn oraz damy do towarzystwa, strzegące cnoty swych pupilek. Hiszpanka ze wszystkich swych adoratorów odda preferans najodważniejszemu, który się nie ulęknie niebezpieczeństw, na które może go narazić stosunek z ukochaną; same chętnie wywołują niebezpieczeństwa i najdrażliwsze sytuacje, aby pierwsze pokonywać, a z drugich szukać wyjścia.

W parę dni po przybyciu do Madrytu poszedłem na bal maskowy, aby się przyjrzeć i bawiącym się, i zabawie. Przy bufecie wszcząłem rozmowę — po francusku — z jakimś dobrze już siwiejącym jegomościem. Spytał mnie, czy zgubiłem gdzie w tłumie moją damę.

Odrzekłem:

— Nie mam wcale damy.

— Jednak miarkuję, że chyba tańczyć pan lubi?

— W samej rzeczy, nawet przepadam za tańcem.

On mi zaś na to:

— Jeżeliś pan tu przybył bez własnej damy, to nie będziesz tańczył wcale. Każda z dam, które tu widzisz, ma własnego tancerza; zwą go po hiszpańsku *parejo*. Wyłącznie z nim tańczy.

— To już nogą w Madrycie nie ruszę. Nie znam żadnej damy, która by mi chciała na bal towarzyszyć.

— Jesteś pan w błędzie. Jest w Madrycie aż nadto dziewcząt i hoźych, i ładnych, które aż się palą, by pójść na bal. Niedawno dopiero nasz minister, hrabia Aranda, pozwolił urządzać bale publiczne i są one w tej chwili niezmiernie w modzie. Popatrz pan... oprócz przyglądających się zabawie jest tu ze trzysta tancerek na sali, a ile ich siedzi po domach, rozpaczając, że nie są na balu!

— A bez towarzysza nie może pójść na bal?

— Nie może. Policja zabrania.

— Ale pierwszy lepszy mężczyzna nie może przecie narzucić się damie za towarzysza?

— Kochany panie! — rozmówca mój na to. — Tu u nas teraz w Madrycie nie ma takiego ojca, nie ma takiej matki, którzy by dali ci odkosza<sup>273</sup>, jeżeli uczciwie, a bez wszelkiej ceremonii poprosisz o zaszczyt zaprowadzenia ich córki na bal.

— Osobliwe obyczaje!

— Rzecz główna, abyś pannie zafundował domino<sup>274</sup>, maskę i rękawiczki oraz abyś miał powóz do jej dyspozycji.

— A jeżeli otrzymam odpowiedź odmowną?

<sup>271</sup>sukurs (daw., z łac.) — wsparcie, pomoc. [przypis edytorski]

<sup>272</sup>peregrynacja (z łac.) — wędrówka. [przypis edytorski]

<sup>273</sup>odkosz a. kosz (daw.) — odmowa w zalotach. [przypis edytorski]

<sup>274</sup>domino — płaszcz z kapturem używany jako strój maskaradowy. [przypis edytorski]

— Nic pan sobie z tego nie rób. I szukaj szczęścia gdzie indziej. Lecz bądź spokojny... nigdzie ci drzwi nie zamkną przed nosem.

Spodobało mi się to wszystko; nowe było i niepospolite. Wymieniliśmy z siwiejącym jegomościem nazwiska, po czym on, zająwszy się mną gorliwie, zaprowadził mnie do swej loży i przedstawił pewnej wcale jeszcze okazałej damie, mającej po całej stolicy nader rozległe stosunki. Zaprosiła mnie do siebie.

Pod koniec balu zaczęto tańczyć fandango. Widziałem, jak je tańczono we Włoszech i we Francji, ale ani się umyło do hiszpańskiego. Byłem oczarowany. Ile wyrazu w epizodach tego tańca, z jakim zajęciem publiczność przygląda się tańczącym, jak ten ognisty taniec elektryzuje całą salę! Zaraz nazajutrz odszukałem metra<sup>275</sup> tańców i we trzy dni jużem wcale znośnie tańczył fandango. Jednocześnie zacząłem u pewnego aktora brać lekcje języka hiszpańskiego. Teraz mogłem już rozpocząć szukanie partnerki. Do panny „z wyższych sfer towarzyskich” nie miałem śmiałości zwrócić się; nie chciało mi się z drugiej strony ani mężatki, ani kurtyzany... W dniu św. Antoniego<sup>276</sup> — kto cokolwiek szuka, niech go wzywa! — jestem w kościele de la Soledad na mszy. Rozglądam się. Patrzę: od konfesjonau odchodzi właśnie jakieś dziewczę, ze spuszczonej skromnie ku ziemi oczami, a zgrabna, najwidoczniej ognista — w sam raz partnerka dla fandanga! Widać, że nie z tak zwanej wyższej sfery, lecz wcale dobrze ułożona, nawet elegancka — i ładna, bardzo nawet ładna. Poczekalem, aż przystąpi do komunii; potem wysłuchałem jednej jeszcze mszy, gdyż moja donna diabło długo potrzebowała się modlić, i wyszedłem za nią z kościoła. Doprowadziła mnie do skromnego, jednopiętrowego domu. Weszła. Ja za nią. Pukam.

— Kto tam?

— *Gente de paz!* — odpowiadam. (Wszyscy w Hiszpanii mieniają się „spokojnym człowiekiem”: policjant, przychodzący ci aresztować, kredytor z wekslem w ręku na pytanie, kto puka, odpowie ci przez drzwi: *Gente de paz*, człowiek spokój miłujący!).

Otwierają się drzwi. Spostrzegłem w izbie moje dziewczę w towarzystwie starszego mężczyzny i starszej kobiety — ojca i matki. Zwracam się wprost do ojca i powiadam:

— Jestem, señor<sup>277</sup>, cudzoziemcem; pasjami lubię taniec i nie mam tancerki, która by mi pozwoliła towarzyszyć sobie na bal.

Ojciec popatrzył na matkę, matka na córkę.

— Przychodzę przeto — ciągnąłem dalej — do państwa na chybił trafił i proszę o pozwolenie zaprowadzenia ich córki na bal.

— Señor! My señora nie mamy zaszczytu znać. Nie wiem, czy moja córka zechce z señorem pójść.

Panna mocno pokraśniała i odrzekła bez namysłu:

— Bardzo będę rada, jeśli mi pozwolicie towarzyszyć na bal temu panu.

Nastąpiła tedy prezentacja. Wymieniłem imię moje i nazwisko i podałem adres. Ojciec — don Diego — obiecał dać mi odpowiedź nazajutrz o południu. W oznaczonym terminie sam mi przyniósł pozwolenie, pod warunkiem, że matka pojedzie z nami i czekać będzie w powozie, aż się córka wytańczy do woli. W trakcie rozmowy powiedział mi, że jest z zawodu szewcem.

— Doskonale! — rzekłem. — Bierz pan miarę i zrób mi trzewiki.

— Nie mogę, señor. To by mi ubliżyło.

— A jednak pański zawód...

— Zmuszałby mnie do tego, chce pan powiedzieć? Tak. Jeślibym był szewcem. Lecz ja nim nie jestem.

— To kimże pan jest?

— *Zapatero de viejo*, łaciarzem. Nie biorę niczyjej nogi w rękę, chyba że klient jest takimże jak ja sam szlachcicem.

— Mości hidalgo<sup>278</sup>, masz zupełną rację! Nie rób mi tedy trzewików nowych, tylko racz mi wyłatać moje stare. Czy Wasza Miłość zgodzi się na to?

<sup>275</sup> *metr* (daw., z fr. *maître*) — mistrz; nauczyciel, zwłaszcza muzyki, tańca, języków. [przypis edytorski]

<sup>276</sup> *Antoni z Padwy*, właśc. *Fernando Martins de Bulhões* (1195–1231) — portugalski franciszkanin, święty Kościoła katolickiego, patron rzeczy zagubionych. [przypis edytorski]

<sup>277</sup> *señor* (hiszp.) — pan; panie (proszę pana). [przypis edytorski]

<sup>278</sup> *hidalgo* (hiszp.) — szlachcic. [przypis edytorski]

— Z miłą chęcią. Wylatam panu trzewiki tak, że będą jak nowe. Jestem rzemieślnikiem rzetelnym, jestem *zapatero* w piątym już pokoleniu i nikt z moich przodków nigdy grosza nie wziął za wiele. Zapłaci mi señor *uno pezzo duro*<sup>279</sup>.

Nazajutrz posłałem mojej „parejce” domino, maskę i rękawiczki; wieczorem zajechałem przed jej dom w powozie; oczekiwano mego przybycia z nieukrywaną niecierpliwością. Mama, rozsiadłszy się w powozie w jakiejś mantyli<sup>280</sup>, usnęła niemal natychmiast. Już tańczono, gdy z donną Ignacją wszedł na salę. Natychmiast też stanęliśmy do kontredansa, a po paru godzinach tańczenia zaprowadziłem moją towarzyszkę na kolację. Nie rozmawialiśmy ze sobą wcale; ciężko mi jeszcze było skleić hiszpański frazes<sup>281</sup>, a donna Ignacja mówiła tylko swoim rodowitym językiem. Uderzenie w bębny zapowiedziało o jedenastej rozpoczęcie się fandanga. Moja zwinna i lekka partnerka tańczyła przedziwnie, oddając z nieporównaną gracją całą zmysłowość płomiennego tańca. Podniecony do najwyższego stopnia, czułem, że mi się język rozwiązuje i uczyniłem mojej tancerce najoryginalniejszą w świecie deklarację miłosną, łącząc ze sobą wyrazy francuskie z włoskimi, a włoskie z hiszpańskimi. Mała w lot zrozumiała wszystko, zwłaszcza iż suto dopełniałem moją narrację strzelistymi spojrzeciami. Dała mi do zrozumienia, że się... zastanowi i że da mi odpowiedź w bileciku przyszytym do domina, które mi odeśle po balu. Niech po nie przyśle...

W powozie zastaliśmy mamę chrapiącą w najlepsze. Obudzona, utrzymywała, iż zdrzemnęła się tylko chwileczkę. W powozie było ciemno. Podczas gdy donna Ignacja opowiadała matce o wszystkich przyjemnościach, których zaznała na balu, trzymałem w moich dłoniach jej drobne rączęta, marząc o innych uściskach... Mama prosiła, aby powóz nie zajeżdżał bezpośrednio przed kwatery jej wysoko urodzonego małżonka; obawiała się plotek. W odesłanym mi nazajutrz domino znalazłem bilecik donny Ignacji. Był krótki. „Don Francisco de Ramos, mój narzeczony — pisała — przyjdzie do pana i objaśni, w jaki sposób może mnie pan uszczęśliwić”.

Przyszedł istotnie. Zwierzył mi się, nie szczędząc słów, że donna Ignacja zdecydowała się zostać jego narzeczoną dopiero po nieskończonych zwlekaniach i poprosił mnie o pożyczanie mu 200 dukatów, aby mógł założyć sklepik kolonialny. Wymówiłem się. Odszedł urażony. W kilka dni potem zjawił się u mnie ojciec donny Ignacji. Hidalgo sam własnoręcznie odniósł mi trzewiki i zaszczylił mnie czułymi uściskami.

— Oczarowałeś pan moją córkę — rzekł. — Od rana do nocy tylko o panu mówi.

„Wolałbym — pomyślałem w duchu — mieć z nią do czynienia od nocy do rana”. Głośno zaś odpowiedziałem:

— Na honor, córka pańska jest panną równie piękną jak miłą, doskonale ułożoną...

— I urodzoną! — wtrącił.

— Któż by wątpił! Pragnąłem złożyć jej moją czołobitność, lecz obawiałem się plotek, na które małżonka pańska jest tak wrażliwa.

— Proszę bardzo, proszę bardzo! — zawołał. — Racz pan nas odwiedzić. Będziemy wielce radzi.

Znaczyło to mniej więcej: zalecaj się pan mojej córce.

Nie omieszkałem odwiedzić hidalga i ponownie zaproponowałem donnie Ignacji bal maskowy. Dałem jej rodzicom dwa dublony<sup>282</sup> na domino i rękawiczki. Wszelkie moje atoli sondowania uczuć niezmiernie skromnej panią nie doprowadziły mnie do żadnego pozytywniejszego rezultatu. Udało mi się tylko wydrzeć jej wyznanie, że musi walczyć z sobą. Musi? Dlaczego? Jadąc z nią na bal, wziąłem do powozu parę butelek ratafi<sup>283</sup>, a do kieszeni mojej tancerce nasypałem tak zwanych *bonbons diaboliques*<sup>284</sup>. Nie przyjęła złotego dublona.

— Daj go pan — rzekła — memu narzeczonemu. On tak bardzo potrzebuje monety.

— Nie przyjmie. Szlachecka duma nie pozwoli...

<sup>279</sup>*uno pezzo duro* (wł.) — jeden twardy kawałek; tu zapewne zniekształc. hiszp. *uno peso de oro*: jedną sztukę złota. [przypis edytorski]

<sup>280</sup>*mantyla* — krótka peleryna damska lub lekki szal, zwykle z czarnej koronki, zakrywający ramiona i głowę kobiet. [przypis edytorski]

<sup>281</sup>*frazes* (daw.) — zdanie, zwrot; dziś: stwierdzenie bez głębszej treści, slogan. [przypis edytorski]

<sup>282</sup>*dublon* — złota moneta hiszpańska bita od XVI do XIX w. [przypis edytorski]

<sup>283</sup>*ratafia* — słodka nalewka owocowa na spirytusie. [przypis edytorski]

<sup>284</sup>*bonbons diaboliques* (fr.) — diabelskie cukierki. [przypis edytorski]

— Owszem, owszem! Niech to będzie zaliczką na owych dwieście dukatów, o które prosił. On taki biedny.

— I tak zakochany...

— O, co do tego, to niech pan żadnych przytyków nie czyni. On tylko ziębnie i marznie pod mymi oknami, i tyle. Czeka zawsze na mój powrót z balu.

— Na ulicy?

— Tak.

— To mi go żal. Gdybym o tym wiedział, byłbym mu zaproponował, aby na panią oczekiwał w naszym powozie, dotrzymując towarzystwa mamie.

Zdawało mi się, że fandango, ratafia i cukierki zrobiły swoje. Dziewczyna była o wiele rozmowniejsza, w oczach miała rozmarzenie i pozwalała mi na pełne subtelnej rozkoszy dotknięcia, widocznie w nich gustując. Ale do pocałunków i tym razem jeszcze nie przyszło. Rozstając się, naznaczyła mi schadzkę w kościele de la Soledad. Przyszła z jakąś nad wyraz szpetną przyjaciółką; popatrzyłem z daleka i umknąłem. Wieczorem byłem u niej, ekskuzując<sup>285</sup> się... Sama zaprosiła mnie na najbliższy bal, pytając, czy pozwolę, aby towarzyszyły jej dwie kuzynki.

— Przystojne?

— To już mniejsza. Niech pan to dla mnie uczyni.

— Dobrze. A gdzież ich mam szukać, aby zaprosić?

— Weź pan te koronki. Tam, na ulicy Nowej, mniej więcej na jej środku, jest nieduży sklep „Pod św. Teresą”. Oddaj pan tylko te koronki, resztę sama załatwię.

— Pani kuzynki... to praczki?

— Szlachcianki!

Kuzynki były wręcz okropne. Starsza podobna była jak kropla do kropli do Dulcynei z Toboso<sup>286</sup>, jak ją opisał Cervantes; druga miała wzrost, postawę i maniery dragona<sup>287</sup> w spódnicy. Swoją drogą nie było mi przykro, że donna Ignacja takie właśnie wybrała sobie towarzyszki. Było to dobrą oznaką. Kobieta obojętnego jej mężczyznę dopuści do najpiękniejszej nawet niewiasty, natomiast takiego, który zaczyna ją obchodzić, pokaże tylko szpetnej co się zowie.

Zaprosiłem do siebie na obiad donnę Ignację i obie jej kuzynki. Gdyśmy dobrze z kieliszków pociągnęli, przyszła mi do głowy dziwaczna myśl.

— Zatańczmy — rzekłem — kadryla! Lecz do tego, aby poszedł gładko i raźnie, trzeba, aby najroślejsza z pań przebrała się po męsku.

Młodsza kuzynka aż wzięła się za głowę.

— Grzech! Grzech! — jęła wołać. — Nigdy się nie zgodzę wziąć takiego grzechu na sumienie.

Ignacja, znająca na wylot wszystkie „święte” legendy, uspokoiła jej skrupuły przypomnieniem, że przecież błogosławiona Maryna<sup>288</sup> przez całe swoje życie chodziła w męskim ubraniu.

— Zgoda wreszcie — odparła płochliwa kuzynka. — Któż mnie jednak przeberze?

— Ja, jeśli pani pozwoli — pośpieszyłem wtrącić. — A nawet nikt inny w tym towarzystwie nie mógłby mnie zastąpić.

— Ach, mój Boże!...

— Możesz śmiało! — uspokajała ją Ignacja. — Pan Casanova jest najprzyzwoitszym i najzacniejszym kawalerem w całej Hiszpanii.

Tedy przebrałem kuzynkę tak zręcznie, że nikt by się nie domyślił kobiety. Siostra jej zaczęła mnie wypytywać, czy potrafię ubrać tak zgrabnie kobietę, jak mężczyznę.

— Jeśli donna Ignacja pozwoli — odparłem — chętnie bym złożył jej dowody mojej eksperencji<sup>289</sup>. Ubiore ją w domino.

<sup>285</sup> *ekskuzować się* (daw., z lac.) — usprawiedliwiać się, przeproszać. [przypis edytorski]

<sup>286</sup> *Dulcynea z Toboso* — ukochana Don Kichota, bohatera powieści Miguela de Cervantesa, wyimaginowana księżniczka, w rzeczywistości wiejska dziewczyna o imieniu Aldona Lorenzo. [przypis edytorski]

<sup>287</sup> *dragon* — żołnierz dragonii, walczący pieszo, a poruszający się konno. [przypis edytorski]

<sup>288</sup> *Maryna Mnich* (V w.) — chrześcijańska święta z azjatyckiej części państwa rzymskiego; kiedy jej ojciec chciał wydać ją za mąż i osiąść na starość w klasztorze, ogoliła głowę, przebrała się w męskie ubranie i żyła razem z nim jako mnich we wspólnocie klasztornej, ukrywając swoją płeć aż do śmierci. [przypis edytorski]

<sup>289</sup> *eksperienca* (daw.) — doświadczenie. [przypis edytorski]

Gdy nastąpiła zgoda, udaliśmy się we dwoje do przyległego pokoju. Zamknąłem drzwi na klucz i zabrałem się do dzieła, z powolnością aż nadto usprawiedliwioną. Rozebranie, rzecz prosta, zabrało mi o wiele mniej czasu niż ubieranie. Kuzynki niecierpliwiły się. Nareszcie ukazałyśmy się... przekładając, iż domino rozdarło się i trzeba było je zaszywać. Kuzynki w śmiech... Ja byłem w siódmym niebie i nie ukrywałem mego ukontentowania<sup>290</sup>.

Przetańczyliśmy kadryla; potem wśród zabawy czas zbiegł tak szybko, żeśmy się ani spostrzegli, jak przyszła pora kolacyjna. Zjedliśmy kolację, a gdyśmy nareszcie przybyli na salę balową, była już północ. Wchodzimy, a tu muzyka przestaje nagle grać, pary się rozprzegają, światła zaczynają gasnąć... Co się stało? Co takiego?

— Popielec! Post. Z zabawami i tańcami basta aż do Wielkiejnocy!

Zaproponowałem wrócić do mnie i tam się jeszcze zabawić. Panny zgodziły się chętnie. Donna Ignacja zapragnęła tylko wpięć wstąpić do kawiarni, aby się lodami ochłodzić. Wchodzimy do kawiarni, a tu wita nas uniżenie don Francisco. Czatował na nas; Donna Ignacja przyjmuje go nie tylko ozięble, wręcz impertynencko. Lecz wypadło go poprosić do kompanii, a potem odwiedzić najprzystojniej Ignację do rodziców. Zdążyła mi tylko szepnąć, że mnie kocha...

Pilne sprawy powoływały mnie niebawem potem do Aranjuezu<sup>291</sup>. Stamtąd napisałem do mego wysoko urodzonego łaciarza, aby mi się wystarał o kwaterę, złożoną z umeblowanego pokoju i alkowy, tudzież zgodził dla mnie służącego. W parę dni potem otrzymałem adres mego nowego mieszkania. Była to własna kwatera ojca donny Ignacji. Wprowadziwszy się do niej, zaprosiłem mego gospodarza-hidalga raz na zawsze na obiad, gdyż nie znoszę jadać sam. Dziękował gorąco, zastrzegł jednak, że zastępować go przy moim stole będzie córka, ilekroć pilne zajęcia nie pozwolą mu obiadować ze mną.

Już nazajutrz, miałem przy stole *vis-à-vis*<sup>292</sup> siebie donnę Ignację. Gdy ją osypywać zaczął komplementami, posmutniała i rzekła:

— Ach, cóż mi z tego, że podobno ładna! Są chwile, że wołałabym być brzydka jak szatan. Umyślnie chodziłam do przyjaciółki chorej na ospę, aby się zarazić...

— Byłby to wielki grzech! — zawołałem.

— Tak też mi powiedział mój spowiednik. Piękna twarz, mówił, jest odbiciem pięknej duszy, jest przednim darem Stwórcy, za który dziękować Mu trzeba nieustannie, nie zaś przeciwnie, starać się siebie własnowolnie oszpecać. Byłaby to, mówił, wielka względem Pana Boga niewdzięczność.

— A kiedy — spytałem — znów masz zamiar iść do spowiedzi?

— Jutro rano.

— Wybornie! A masz na sumieniu jaki ciężki grzech?

— Nie, żadnego nie mam...

— Nic tedy nie będziesz miała do wyznania swemu spowiednikowi? Postarajmy się...

Położyła mi szybko rączkę swą na usta. Za chwilę donna Ignacja była na moich kolanach, a znowu za chwilę nie ja trzymałem ją na sobie, lecz odwrotnie. W decydującym zaś momencie donna Ignacja zrywa się, biegnie przed wiszący na ścianie obraz Matki Boskiej i pada przed nim na kolana. Wiedzieć trzeba, że w każdym mieszkaniu w Hiszpanii musi obowiązkowo znajdować się obraz Matki Boskiej. Zazwyczaj wisi w rogu pokoju lub izby, w szafce mającej od frontu zasłonę.

Podczas gdyśmy byli ze sobą, obraz Madonny był odsłonięty... Ignacja, pomodliwszy się, ściągnęła zasłonę i przyszła znowu usiąść przy mnie; była niezmiernie wzburzona.

— Co ci jest, dziecko moje? — spytałem.

— Panie Boże, odpuść! — zawołała. — Nie tylko popełniłam grzech śmiertelny, lecz w dodatku świętokradztwo. Nigdy nie odważę się wyznać memu spowiednikowi, jaka byłam z panem... przed tym obrazem!

Jej naiwne słowa przerywało głośne łkanie, a łzy sypały się jej gradem z oczu. Żadne moje uspokajanie nie miało nad nią mocy.

Seks, Spowiedź

<sup>290</sup>ukontentowanie (z łac.) — zadowolenie. [przypis edytorski]

<sup>291</sup>Aranjuez — miasto w środkowej Hiszpanii, letnia rezydencja królów hiszpańskich ze wspinałymi ogrodami pałacowymi ozdobionymi dziesiątkami fontann i rzeźb. [przypis edytorski]

<sup>292</sup>vis-à-vis (fr.) — naprzeciw. [przypis edytorski]

W dwa dni potem zwierzyła mi się, że wyznała wszystko swemu spowiednikowi i otrzymała absolicję, pod warunkiem atoli, że sprawi do izby nową Madonnę, a sprofanowaną usunie. Obiecałem jej kupić jak najładniejszy obrazek; ona zaś ze swej strony wykonała solenny jurament<sup>293</sup>, iż nigdy odtąd więcej nie zapomni zasłonić Madonny, ilekroć przyjdę ją odwiedzić.

Niestety, nie było mi już sądzone korzystać w całej pełni z chwil upajającej szczęśliwości. Licho przyniosło do Madrytu niejakiego barona de Froiture, szulera i urwipółcia spod ciemnej gwiazdy. Zadałem się z nim... skompromitowałem się... Pewien zacny księgarz dał mi sto pistolów<sup>294</sup> zaliczki i mogłem w porę Hiszpanię opuścić.

---

<sup>293</sup>jurament (daw., z łac.) — przysięga. [przypis edytorski]

<sup>294</sup>pistol — francuska nazwa dublona, złotej monety hiszpańskiej. [przypis edytorski]

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/casanova-de-seingalt-od-kobiety-do-kobiety/>

Tekst opracowany na podstawie: J.J. Casanova de Singalt, *Od kobiety do kobiety*. Wyjątki ze słynnych pamiętników, Warszawska Spółka Nakładowa, Warszawa 1921.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Dofinansowano ze środków Ministra Kultury, Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego. Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową w Warszawie w egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Biblioteki.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopec-Gryz, Aleksandra Sekuła, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-6684-3

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).